

---

KATARZYNA KOŚĆ

**„ZESŁANI NA ZAWSZE...”<sup>1</sup>  
STOSUNEK DEPORTOWANYCH  
W LATACH 1940-1941 POLAKÓW  
DO ŚMIERCI I ZMARŁYCH RODAKÓW <sup>2</sup>**

**Wstęp**

Wspomnienia zesłańcze określane bywają nierzadko literaturą ze śmiercią w roli głównej.<sup>3</sup> Występuje ona jako stały motyw większości z nich i praktycznie nie ma takich, w których nie byłoby opisów chorób, konania i emocji towarzyszących pochówkom. Rzadko kiedy były to zgony „wśród swoich”, przynoszące spokój i pogodzenie się z losem, które w kulturze tradycyjnej określano mianem „śmierci dobrej”, w przeciwieństwie do „śmierci złej” – niegodnej. Konanie na zesłaniu było na ogół złowrogie, zdehumanizowane, często samotne, w boleściach, zdeskralizowane i nieestetyczne. Brak możliwości dokonywania obrzędów pogrzebowych pozostawiał wrażenie niedokończoności ludzkiego życia, które zostawało brutalnie przecięte, ale w sensie religijnym – niesfinalizowane. Odczucie takie często towarzyszyło deportowanym przez wielu latach, o czym opowiadali w swoich relacjach. Psychologiczne mechanizmy obronne sprawiały, że z czasem, w większym lub mniejszym stopniu, oswajali się ze stałą obecnością chorych i zmarłych; w przeciwnym bowiem razie trudno byłoby w ogóle w miarę sprawnie funkcjonować. Zwłaszcza, że rzeczywistość zesłańcza w wielu aspektach stanowiła przeciwność porządku świata uważanego za normalny, czy też naturalny,

---

<sup>1</sup> Sformułowanie użyte przez jednego z narratorów na opisanie losów jego zmarłej na zesłaniu rodziny.

<sup>2</sup> Artykuł ten powstał w oparciu o rozprawę doktorską przygotowaną przez autorkę pt. *Kulturowo-religijny wymiar śmierci w relacjach Polaków zesłanych do Związku Radzieckiego w latach 1940-1941*. (Promotor: Prof. dr hab. Antoni Kuczyński)

<sup>3</sup> Zob. E. Czaplejewicz, *Polska literatura łagrowa*, Warszawa 1992, s. 82–83; por. P. Czaplinski, *Na początku jest śmierć. O prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii. Medycyna - Antropologia kultury – Humanistyka*, red. J. Kolbuszewski, t. 1, 1997, s. 325-335.

np. fakt, że zdecydowanie więcej było zgonów niż narodzin. Wspomina o tym jeden z deportowanych:

Wszyscy my – Sybiracy [...] byliśmy doświadczeni przez zło w najrozmaitszej postaci, od bólu fizycznego i cierpienia psychicznego aż do upadku człowieka. [...] Śmierć krążyła wokół nas, zbierała swe żniwo w różnych okolicznościach. Człowiek, który dopiero co mówił coś, nagle zamilkł, szedł drogą i nagle padł jak długi, stał w kolejce po czerpak bałandy [wodnistej zupy – K. K.], trzymając miskę w rękę i nagle walił się z nóg. Ginęli ludzie przywaleni drzewem przy wyрубie lasu, także ginęli od ciosu noża, siekiery lub łomu. [...] właściwie nie starałem się rejestrować (celowo) w pamięci zdarzeń, obserwacji, zaistniałych sytuacji. Nie czyniłem tego, bo nie wierzyłem, że kiedyś powrócę do tych zdarzeń w formie wspomnień – natomiast wierzyłem, że nie przeżyję tej tułaczki i dlatego nie wystrzyłem swojej uwagi, myśli, nie rejestrowałem faktów. Czas objęty ramionami świtu i nocy miał być w jakiś sposób przeżyty i zepchnięty w czas przeszły. Broniłem się przed konstruowaniem pomostu między teraźniejszością a przeszłością, bo to pociągnęłoby jednocześnie odniesienie do przeszłości, o której chciałem zapomnieć, chciałem wymazać ją z pamięci.<sup>4</sup>

Analizując zjawisko deheroizacji śmierci w warunkach łagrowych, P. Bortkiewicz zauważył, że pozbawienie śmierci elementów metafizycznych i odarcie z głębokiej warstwy znaczeniowej doprowadziło ją do banalności, niemalże mechanicznego, rutynowego zejścia – zgonu.<sup>5</sup> Potwierdzają to również relacje, w których wspomina się, że śmierć nierzadko była problemem wyłącznie „technicznym”, związanym np. z utylizacją – pozbyciem się – martwego ciała (szczególnie zimą ze względu na grubą pokrywę śniegu i głęboką zmarzlinę). Mizerność takiego kresu życia – jego anonimowość, masowość, cielesność i świeckość – stała w sprzeczności z historyczno-politycznym kontekstem wydarzeń, w których brali udział umierający<sup>6</sup> oraz deklarowanej przez nich religijności.

Lęk przed śmiercią i takimi jej wyznacznikami, jak czas, miejsce i styl, bardzo silnie warunkowany jest kulturowo – mówi się nawet, że jest kulturowo wyuczony. Tym m.in. interpretuje się silną obawę zesłańców przed pochowaniem w obcej ziemi, nie pomiędzy „swymi” oraz niepokój i smutek związany z koniecznością pozostawienia grobów w miejscu wywózki. W wielu relacjach opisywany jest głęboki żal za bliskimi zmarłymi pochowanymi na zesłaniu, które tym samym stawało się „wiecznym zesłaniem”, np.:

Odchodząc z posesiłka wzrok mój padł na smutną mogiłę pod lasem naszej babci. Pożegnałam ją ze łzami. Biedna, nie doczekała wolności i zamiast leżeć w rodzinnym grobowcu we Lwowie, zostaje tu wśród obcych na pustkowiu. Mama podała nam buteleczkę z wodą święconą i wszyscyśmy się pożegnali przed podróżą w nieznane.<sup>7</sup>

<sup>4</sup> M. Ostowski, *Powrót z innego świata*, „Sybirak”, 1990: 1 (4), s. 36-37.

<sup>5</sup> P. Bortkiewicz, *Deheroizacja śmierci w warunkach łagrowych. W świetle wybranej polskiej literatury łagrowej*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii*, red. J. Kolbuszewski, t. II, Wrocław 1998, s. 300.

<sup>6</sup> Por. *Ibidem*.

<sup>7</sup> *Isfahan miasto polskich dzieci*, [w:] *My deportowani. Wspomnienia Polaków z więzień, łagrów i zsyłek w ZSRR*, oprac. B. Klukowski, Warszawa 1989, s. 27.

O pozostawionych na miejscu przesiedlenia mogiłach deportowani myśleli często w kategoriach opuszczenia lub nawet porzucenia. Towarzyszyło im przy tym nieuzasadnione poczucie odpowiedzialności (np. matek wobec rodziny w Polsce, że nie potrafiły ochronić dzieci przed chorobą, głodem, śmiercią) i winy – tzw. syndrom „winy ocalonych”.<sup>8</sup> Nierzadkie w tych warunkach było przywożenie z sobą do Polski symbolicznej „garści ziemi” z miejsca pochówku zesłańca, aby postawić mu w kraju umowny grób *pro memoria* (upamiętniający daną osobę) i pełniący funkcję swoistego „znaku pamięci”.<sup>9</sup>

Ciężka choroba i świadomość zbliżającego się kresu, nierzadko prowokują odwołania do wiary, a śmierć stawia pod znakiem zapytania sens życia i wartości, które dotychczas stanowiły jego podstawę.<sup>10</sup> W sytuacji niepewności człowiek szuka czegoś co wykracza poza jego skończoność – cielesność, ułomność, niestałość – i pozostawia nadzieję na trwanie. Wielu badaczy kultury, poszukując zależności między społecznością a znaczeniami nadawanymi przez nią konaniu, głównych powiązań poszukuje w roli religii i jej związku z trwogą i nadzieją związaną ze zgonem.<sup>11</sup> Konotacje te obrazują, w jaki sposób zakorzenienie w danej kulturze wpływa na postrzeganie i doświadczanie przez jednostkę śmierci oraz w jakim stopniu rola rytuałów i symboli religijnych polega na sprawowaniu „kontroli” nad zjawiskami wyłamującymi się poznaniu zmysłowemu. Znaczenia nadawane śmierci w danej kulturze pełnią m.in. rolę porządkującą przeżycia emocjonalne i poznawcze związane z cierpieniem i umieraniem.

Znajomość tła kulturowego danej społeczności pozwala lepiej zrozumieć wiele aspektów umierania, które mogą być rozważane w perspektywie indywidualnej lub zbiorowej. Tradycje i zwyczaje ludowe związane ze zgonem do niedawna jeszcze funkcjonowały obok praktyk religijnych – w tym przypadku katolickich. Przykłady tego można zaobserwować również we wspomnieniach zesłańczych, w których z jednej strony mówi się o dyskomforcie psychicznym towarzyszącym umieraniu bez spowiedzi, ostatniego namaszczenia i obecności księdza, a z drugiej – o znakach zapowiadających zgon, snach wieszczych i przecuciach. Ilustruje to, iż nawet w sytuacjach ekstremalnych (głód i wycieńczenie) przywiązanie do kulturowych modeli zachowania jest silne i dominujące – zarówno dla jednostki

<sup>8</sup> Syndrom „winy ocalonych” na ogół charakteryzuje byłych więźniów obozów koncentracyjnych i wiąże się z zaburzeniami posttraumatycznymi. Zob. A. Szymusik, *Astemia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu*, „Przeгляд Lekarski”, 1964: 1, s. 23-29.

<sup>9</sup> Kilka tego typu symbolicznych mogił można znaleźć na cmentarzach komunalnych, np. we Wrocławiu na cmentarzu św. Wawrzyńca i św. Rodziny.

<sup>10</sup> Por. B. L. Block, *Człowiek w obliczu śmierci*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii. Medycyna – Antropologia kultury – Humanistyka*, red. J. Kolbuszewski, t. II, 1998, s. 64.

<sup>11</sup> Por. J. Bowker, *Sens śmierci*, Warszawa 1996, s. 27-29; J. Keller, *Zwyczaje, obrzędy i symbole religijne*, Warszawa 1974, s. 28.

(tzn. umierającego), jak i społeczności (tj. rodziny i bliskich). Relacje z wywózki pełne są opisów wytrwałych prób podejmowanych przez ludzi w celu dopełnienia czynności obrzędowych przewidzianych w momencie zgonu, pomimo towarzyszących im trudności, np.:

Pogrzeby odbywały się zawsze wieczorem, kiedy statek z barżami stał przycumowany do brzegu. Nie było trumien ani prześcieradeł, nie było księży. Zawijano zmarłego w co się dało, najczęściej tylko w to, w czym umarł. Często nie znaleźmy jego nazwiska. Wychodziliśmy na brzeg rzeki Amu-darii i wśród pozółkłych trzciny i szuwarów wygrzebywaliśmy płytki dół, nieraz tylko rękoma. Na dno kładliśmy trochę kamieni, które wkrótce zalewała woda i w tę wodę właśnie, co było najokropniejsze, wkładaliśmy zwłoki. Zasypywaliśmy je tą samą mokrą ziemią. Z kamyczków lub z patyków układaliśmy krzyż, księdza zastępowały kobiety.<sup>12</sup>

Śmierć będąca podstawowym zjawiskiem dezorganizującym życie ludzkie i głównym źródłem strachu wywołuje również i kształtuje zachowania religijne w danej kulturze,<sup>13</sup> stąd też zasadnicza rola religii polega m.in. na dostarczaniu znaczeń, które pozwalają radzić sobie z konaniem i zgonem, zmniejszając przy tym napięcie psychologiczno–egzystencjalne, które im towarzyszy. Jej wpływ podtrzymywany jest i wzmacniany przez rytuały i bogatą, czytelną symbolikę, które oswajają ludzkie lęki i obawy przed śmiercią. Dostarczają przy tym nadzieję w głębszy sens życia oraz wiarę, że śmierć nie jest wydarzeniem przerażającym i ostatecznym.<sup>14</sup> Tym też m.in. można interpretować wagę i znaczenie, jakie dla deportowanych Polaków miały starania, aby dopełnić zwyczajowych pochówków. Nawet jeśli odbiegały one od nakazanych przez tradycję, to i tak były lepsze niż ich brak (zgodnie z twierdzeniem, że człowiek i kultura nie znoszą próżni).

Analiza relacji zesłańców zdaje się potwierdzać, że trwoga i lęk tak długo pozostają niejawne, jak długo rytuały i obrzędy religijne są czynnie i poprawnie wykonywane przez jednostkę; przestrzeganie tej zasady pozostaje przy tym w interesie społecznym. Opisane przez deportowanych sposoby radzenia sobie ze śmiercią potwierdzają silne przywiązanie do zewnętrznej, obrzędowej sfery religijności i jej roli w kulturowo akceptowanej regulacji uczuć i emocji.

### Zgony w trakcie deportacji

Podróż w przeludnionych eszelonach wiązała się z częstą wśród zesłańców zapadalnością na różne choroby, najczęściej układu oddechowego, pokarmowego i nerwowego.<sup>15</sup> Leczenie w wagonach sanitarnych,

<sup>12</sup> A. Raszkievicz, *Wędrownica*, „Karta”, 1991: 6, s. 106.

<sup>13</sup> B. Malinowski, *The Role of Magic and Religion*, [w:] *Reader in Comparative Religion: An Anthropological Approach*, ed. W. A. Vogt, E. Z. Lessa, Harper and Row: New York 1965, s. 83-88.

<sup>14</sup> *Ibidem*, s. 85.

<sup>15</sup> Por. R. Gaik, *Ufaj, że wrócę*, AN PTL, sygn. 30/s II, s. 229; T. Fudała, *Na środkowym Uralu*, AN PTL, sygn. 188/s, s. 13.

które zgodnie z instrukcją powinny znajdować się w każdym składzie, okazało się fikcją. W większości transportów nie było osobnych pomieszczeń wyznaczonych w tym celu; zdarzało się za to, że był personel medyczny w osobie felczera i pomagającej mu pielęgniarki, którzy nie posiadali jednak niezbędnych medykamentów. W rzeczywistości okazywało się więc, że „opieka zdrowotna w trakcie wywózki” stanowiła „biurokratyczną atrapę”<sup>16</sup>

Najmniej odporni, czyli dzieci i starcy, słabli z każdym dniem i coraz częstsze były wśród nich zgony. Ze zmarłymi obchodzono się na ogół w sposób bezceremonialny i pozbawiony szacunku, czego przykładem może być jedno z utrwalonych wspomnień:

Cała rodzina, zanosząc się od płaczu, żegnała na zawsze to martwe niewiniątko. Ojciec, przytulając je do piersi, wolno podchodził do uchylonych drzwi, otoczony pozostałymi członkami rodziny. Zniecierpliwiony żołnierz ze złością krzyknął: „Bystriej” (Szybciej). Podawane ze czcią zmarłe dzieciątko schwylił za nóżkę i rzucił obok siebie w śnieg. Rodzice płacząc wychylili się przez uchylone drzwi i zapytali go, czy chociaż ich dzieciątko zostanie po ludzku pochowane? Na to on odpowiedział: „Nie tarapities, pochoronim” (Nie obawiajcie się, pochowamy), a na pytanie: „gdzie?” – nie udzielił żadnej odpowiedzi. Odwracając głowę w stronę sąsiedniego wagonu i wskazując ręką na leżące w śniegu obok niego martwe dziecko, krzyknął do swoich kolegów: „Wozmitie i eto” (weźcie i to). Rodzice spojrzeli w tym kierunku i ujrzeli dwóch żołnierzy, którzy kładli zwłoki starszej kobiety na mostek przejściowy sąsiedniego wagonu. [...] Z trzaskiem zasunięto drzwi. Ostatnim spojrzeniem przez zwężającą się szczelinę ujrzeli, jak jeden z żołnierzy uchwycił ich martwe dziecko za kołnierz ubranka i poniósł w stronę mostku pociągu, na którym przed chwilą złożone zostały zwłoki kobiety. Domyśliliśmy się, że trupy naszych zmarłych rodaków, składane na mostkach przejściowych wagonów z całą pewnością zostaną wyrzucone w śnieg obok torów, w czasie przejazdu przez większe masywy leśne lub tereny niezamieszkałe.<sup>17</sup>

Z uczuciami rodziny i bliskich osób zmarłych nie liczone się wcale; można nawet odnieść wrażenie, że podejście do zwłok było częścią przemyślanego planu mającego na celu pognębienie i poniżenie deportowanych Polaków. Trudno bowiem, nawet przy uwzględnieniu znacznych różnic kulturowych, wytłumaczyć w racjonalny sposób motyw takiego traktowania ludzi – zarówno żywych, jak i martwych. Tych ostatnich, jeśli skonałi w pociągu, wynoszono z wagonów i pozostawiano na najbliższym postoju lub porzucano „przy torach”<sup>18</sup>; zdarzało się, że zwłoki wrzucone za ręce i nogi na stertę innych martwych ciał wywożono wózkami bądź saniami – nie wiadomo gdzie:

<sup>16</sup> Sformułowanie użyte przez E. Kowalską, *Przeżyć aby wrócić! Polscy zesłańcy lat 1940–1941 w ZSRR i ich losy do roku 1946*, Warszawa 1998, s. 104.

<sup>17</sup> S. Paluch, *Wspomnienia zesłańca*, [w:] *Polacy w Rosji mówią o sobie*, wybór i oprac. E. Walewander, Lublin 1993, s. 42, 47; por. L. Zabrocka, *Litery na desce*, [w:] *Syberia: poza życiem*, red. M. J. Dudziak, Witnica 1999, s. 38; M. Bosek, *Dzieciństwo i młodość na zesłaniu*, AN PTL, sygn. 32/s, s. 36.

<sup>18</sup> D. Glezner, *Wspomnienia*, AN PTL, sygn. 195/s, s. 6; B. Obertyńska, *W domu niewoli*, Londyn 1988, s. 283.

[...] Zapamiętałam szczególnie smutny moment. Wyrzucono umarłą kobietę. Ręce jej opadły, wzdłuż wózka, a wiatr porywał siwe, długie włosy. Została tam na stacji kolejowej bez pożegnania bliskich, bez jednej czyjejs łzy na ostatnią drogę.<sup>19</sup>

Charakterystyczną cechą wielu relacji z wywózki jest ilość zawartych w nich opisów zgonów oraz ich specyficzna rzeczowość, plastyczność a czasami nawet cynizm. Z jednej strony wynikać to może z potrzeby dokładnego odmalowywania zachowanych w pamięci obrazów, a z drugiej, być formą odreagowania i „wyrzucenia z siebie” bolesnych i ciągnących przez lata wspomnień, np.:

Zmarli i inni, których nazwisk nawet nie znam. Wyrzucano ich jak zwykły balast wprost na tory. Przyszedł ktoś, wziął za nogi, wsadził je sobie pod pachy i ciągnął, a głowa nieboszczyka tłuła po podkładach dziwnie unosząc się i opadając jak gdyby w pożegnalnych dla nas ukłonach lub przytakiwaniu naszemu tragizmowi.<sup>20</sup>

Makabryczność tego typu narracji polega m.in. na dystansie i obojętności, jaka w nich uderza. Przypuszczalnie w większości przypadków są to celowe zabiegi stylistyczne ich autorów, niemniej jednak adekwatnie oddają realną atmosferę tamtych chwil.

Inną równie częstą formą pozbywania się zwłok w trakcie podróży było pozostawianie ich w specjalnie przeznaczonych do składowania umrzyków komórkach – trupiarniach.<sup>21</sup> Wyznaczeni do tego przedstawiciele administracji radzieckiej w najmniejszym nawet stopniu nie dbali o zachowanie norm obyczajowych czy też, po prostu, o poszanowanie ludzkiej godności. Przede wszystkim zajmowali się usuwaniem martwych ciał, a czynność ta wykonywana była mechanicznie i bez emocji, w czym bardziej przypominała pozbywanie się zbędnych resztek (utyliczację śmieci) niż pochówek. Dochodziło przy tym do licznych nadużyć wobec zmarłych, których często okradano i poniewierano nimi:

Znowu w transporcie było kilka trupów i gdy znów była duża stacja podjeżdżały sanie i zabierały swoje żniwo. Rodzina obchodziła się z szacunkiem wobec zwłok swoich bliskich i miała problem, jak je umieścić na saniach. Wyrecał ich w tym woźnica, który brał po prostu za nogi i wrzucał na sanie jeden na drugiego. Rodziny przed odjazdem poszły się pożegnać ze zmarłymi, ale jakież było ich zdumienie i rozpacz, gdy w kostnicy natknęli się na stos nagich ciał wśród, których nie mogli rozpoznać swoich bliskich.<sup>22</sup>

Szczególnie drastyczny przykład niehumanitarnego traktowania martwych ciał opisał jeden z zesłańców, który wspominał o wzburzeniu

<sup>19</sup> B. Obertyńska, op. cit., s. 153-154.

<sup>20</sup> W. Ignaczewski, „Sam zdechniesz”, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, opr. J. Przewłocki, t. 4, Warszawa 1991, s. 15-16.

<sup>21</sup> Por. A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1941*, Łódź 1998, s. 331; A. Kuczyński, *Wysiedlenie i podróż w nieznanie*, [w:] *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946*. Studia, red. S. Ciesielski, Wrocław 1997, s. 67.

<sup>22</sup> M. Bosek, op. cit., s. 36; por. S. Paluch, op. cit., s. 50.

towarzyszącym deportowanym Polakom nienawykłym do takiego traktowania szczątków ludzkich:

Wchodząc do szopy podobnej do ubikacji kobieta wyskoczyła stamtąd z przeraźliwym piskiem. Głos przerażenia dobywał się z jej gardła, choć zatykała dłonią usta. Radziecki żołnierz zbeształ ją za to, że bez zezwolenia oddała się.

– Przecież tam stoją ludzie zamarznięci na śmierć – wykrztusiła. W ubraniach, w czapkach, nawet w kapeluszach, a zamarznięci.

Okrążyliśmy kobietę pytając, jacy ludzie? Przybiegł oddział żołnierzy. Nie wpuszczono nas do tej szopy, a starszy lejtnant uniósł do góry ręce, chcąc coś powiedzieć.

– Spokojnie, towarzysze Polacy. Ludzie wszędzie umierają, w transportach też. Wyciągamy martwych z wagonów, nie mogą przecież jechać z żywymi, to chyba zrozumiałe, a transporty z Polakami przejeżdżają tędy codziennie. Nie ja je wysyłam. Ludzie umierają wszędzie. Polak nie Polak. Co mamy robić z trupami? Przechowujemy w budce ubikacyjnej, innej nie mamy. A na wiosnę, jak śnieg stopnieje i ziemia roztaja, zakopujemy jak obywateli.

– A dlaczego przechowujecie w ubikacji?

– Nie mamy innej szopy. Zresztą ta ubikacja jest już nieczynna.

– Dlaczego na stojąco? – zapytała przerażona wciąż kobieta.

– A dlaczego na leżąco? – odpowiedział pytaniem lejtnant i odszedł.

Nasz major Grodzicki wyjaśnił: obliczyli, że na stojąco więcej się zmieści.<sup>23</sup>

Przykład ten w plastyczny sposób ilustruje stosunek władzy radzieckiej do człowieka jako jednostki oraz reifikujące podejście do jego ciała. W systemie sowieckim wartość osoby ludzkiej nierzadko postrzegana była w kategoriach czysto utylitarnych. W momencie gdy tracił on swoją zdolność do pracy, stawał się społecznie bezużyteczny i niepotrzebny, stąd też kwalifikował się do „wyrzucenia”. Była to zresztą najczęstsza forma pozbywania się zmarłych w transporcie osób; wykorzystywano ją zarówno w stosunku do dorosłych, jak i do dzieci, co szczególnie boleśnie przeżywały zrozpaczone i bezsilne matki:

Dzieci zamarzały po kilkoro jednej nocy. Sine, zeszywniałe trupki wypychało się przez zakratowane okienka i wyrzucało w śnieg.<sup>24</sup>

Zdarzało się czasami, że zwłoki usuwano z wagonów w kilka dni po śmierci, w trakcie kolejnego postoju. Spowodowane to było m.in. tym, że konwojenci, bojąc się odruchów niezadowolenia ludności, nie otwierali zaryglowanych drzwi. Dopiero obawa przed wybuchem epidemii i głośny sprzeciw deportowanych zmuszały ich do podjęcia zdecydowanych działań. Bywało, że sami zesłańcy ukrywali przed towarzyszami podróży fakt zgonu; najczęściej sytuacje takie zdarzały się w wypadku matek, które nie chciały pogodzić się z nagłą śmiercią dziecka. Przesiedleńcy zmuszeni byli wtedy przez wiele godzin czy nawet kilka dni po-

<sup>23</sup> E. Kurowski, *Zniewoleni przez Stalina. Opowieść zesłańca*, Warszawa 1990, s. 19-20.

<sup>24</sup> B. Obertyńska, op. cit., s. 299-300.

dróżować ze zwłokami – spać obok nich, spożywać posiłki, wykonywać toaletę i wychowywać dzieci.<sup>25</sup>

Jak nietrudno sobie wyobrazić, doświadczenia takie musiały być traumatyczne<sup>26</sup> i na długi czas odciskać swoiste piętno na psychice ludzi. Sytuacje te na tyle odbiegały od tego, co uważa się za normalne, że często na trwale zaburzały wrażliwsze i mniej odporne emocjonalnie jednostki; tym też można tłumaczyć nierzadkie wśród deportowanych przypadki obłąkania i rozstroju nerwowego.<sup>27</sup> Długotrwałe przebywanie z trupami, w dusznych i przeludnionych wagonach musiało być dla ludzi wstrząsające, budzące lęk i zagubienie w świecie wyznawanych dotychczas wartości. Dezorientację pogłębiała niejednoznaczność granicy między zdrową a chorą reakcją na nienormalną czy nawet patologiczną sytuację. Świadczą o tym m.in. zachowane wspomnienia, które pomimo upływu czasu nie straciły na wyrazistości, np.:

Mój maleńki brat (półtora roku) zachorował. Oblodzony wagon, zima. [...] W wagonie nie było kropli wody. Ja, jako małe dziecko, zapamiętałam i do końca życia będę pamiętała, jak to dziecko wołało pić! Mama, jak są te nacieki z lodu, ten szron na gwoździach, to po troszeczkę drapała i języczek temu dziecku moczyła. Ale co tam! Dziecko chciało pić! Umarło... Przyszli Ruscy. Chcieli dziecko zabrać. Mama nie chciała się zgodzić, nie oddała brata. Chciała jakiejś trumienki dla niego. Nie dali, tylko mówili „Oddaj, oddaj!” Nie oddała. W wagonie zrobili mu taki mały stolik i tak leżał. Jednej nocy pociąg stanął. Wszyscy śpią. Ruscy weszli do naszego wagonu, chłopca zabrali! I co? Pewnie go w śnieg rzucili i koniec!<sup>28</sup>

Nierzeczywistość niektórych opisanych sytuacji powoduje, że bardziej przypominają one surrealistyczne wizje niż autentyczne zdarzenia. Trudno wręcz uwierzyć, że zdarzyły się naprawdę; na tym też w znacznym stopniu polega dramat osób, które przeżyły wywózkę, tzn. na nieprawdopodobieństwie i niewiarygodności rzeczywistych ich doświadczeń; przykładem może być jedno z opisanych zdarzeń:

[...] zmarła młoda kobieta. Ubrano ją w białą suknię (prawdopodobnie jeszcze ślubną) i na najbliższym postoju tak ubraną wyrzucono na stojący obok pociąg załadowany węglem. Biała kobieta na tle czarnego węgla sprawiała ogromne wrażenie na wszystkich z transportu.<sup>29</sup>

<sup>25</sup> M. Bosek, op. cit., s. 41; por. A. Bezrąk, *Wspomnienia z lat 1940-1946*, AN PTL, sygn. 141/s, s. 19.

<sup>26</sup> Zob. C. Herbert, *Zrozumieć traumę*, Gdańsk 2004, s. 30.

<sup>27</sup> B. Sidorska, *Nieujawniony życiorys Sybiraka*, AN PTL, sygn. 193/s, s. 28; B. Obertyńska, op. cit., s. 323; E. Golema, *W imię ojca i syna...*, [w:] *Syberia: poza...*, op. cit., s. 43; J. Frontczak, *Wspomnienia z sześćdziesięciu dziewięciu miesięcy*, [w:] *Syberia: poza...*, op. cit., s. 20; M. Bosek, op. cit., s. 44.

<sup>28</sup> L. Ząbrocka, op. cit., s. 38; por. R. Gaik, op. cit., s. 213; M. Bosek, op. cit., s. 39, 41; B. Baj, *Wspomnienia 11 Sybiraków*, (VIII wspomnienie Jana Myślińskiego) AN PTL, sygn. 146/s, s. 3, 8;

S. Kurpiowski, „Zapomnijcie o Polsce”, [w:] „Wspomnienia Sybiraków”, red. J. Przewłocki, t. 4, op. cit., s. 129.

<sup>29</sup> M. Maciejewski, *Wspomnienia*, AN PTL, sygn. 73/s, s. 19.



Wielu zesłańców umierało również podczas dalszych etapów wywózki, np. podczas spływu syberyjskimi rzekami na prowizorycznych stateczkach, barkach – nie bez przyczyny nazywanych „barzami śmierci”, gdyż często dochodziło na nich do tragicznych wypadków.<sup>30</sup> Ludzie konali też w skutek różnych chorób (np. czerwonki), a zwłok pozbywano się, np. wrzucając je wprost do wody. Zdarzały się także zatonięcia, a i nierzadkie były wypadki, że pasażerowie wypadali z przeludnionego pokładu w otmęty rzeki.<sup>31</sup> Początkowo próbowano ich ratować, rychło jednak uczono się, że radziecki kodeks etyczny nie przewiduje takiego postępowania, zwłaszcza jeśli samemu chce się zachować życie; sugestywnym przykładem może być opis jednego z zesłanych mężczyzn:

Kiedy dwóch innych wskoczyło do wody na ratunek i w końcu zostali sami na brzegu, bo statek się nie zatrzymał, żeby ich zabrać, to nikt już nie próbował więcej tego robić. Rzucano najwyżej koło ratunkowe. Wokół była tylko pustynia, tamtych dwóch zostało więc bez możliwości ratunku. [...] Ci, którzy umierali, nie przeszkadzali tym, którzy jeszcze żyli.<sup>32</sup>

Ostatnie zdanie najlepiej oddaje charakter stosunków i wzajemnych relacji między ludźmi w sytuacji permanentnego zagrożenia i walki o przetrwanie swoje oraz najbliższych. W warunkach takich trudno czasami znaleźć miejsce na współczucie, odruchy serca, szczerłość, czy życzliwość.

Równie często zdarzały się śmiertelne wypadki podczas podróży kolejną, np. wpadnięcia pod koła, zmiżdżenia, uszkodzenia ciała wskutek zahaczenia odzieżą o ruszający transport itp. Zasadniczo pomocy w takich sytuacjach nie udzielano; czekali aż osoba się wykrwawi i przestanie ruszać.<sup>33</sup> Najbardziej tragiczne były zbiorowe masakry pochłaniające niekiedy wiele ofiar, jak np. opisana przez jednego z zesłańców, kiedy to cofający niespodziewanie pociąg zmiądzzył sporą grupę załatwiających potrzeby fizjologiczne kobiet.<sup>34</sup> W takich przypadkach szczególnie trudno było mówić o dopełnieniu obrzędów pogrzebowych, tym bardziej że konwojenci i strażnicy nie wyrażali na to zgody, poza tym kategorycznie zabraniali opuszczania wagonów. Do wyjątków należą sytuacje, w których pozwalano na pochówek, lecz nawet wtedy odbywało się to w warunkach, które w niewielkim stopniu przypominały zwyczajową formę złożenia zmarłego do grobu, np.:

Na postoju poszedł po zupełną stołówkę i wracając – przechodził przez tory – wpadł pod lokomotywę. Kawalki ciała trzeba było pozbierać do skrzynki, bo

<sup>30</sup> K. Niemczyk, *Długa droga do Polski*, [w:] *Polacy w Rosji...*, op. cit., s. 230; B. Obertyńska, op. cit., s. 374.

<sup>31</sup> B. Baj, op. cit., s. 3.

<sup>32</sup> K. Niemczyk, op. cit., s. 226.

<sup>33</sup> B. Sidorska, op. cit., s. 14; M. Bosek, op. cit., s. 45-46; B. Obertyńska, op. cit., s. 276, 283.

<sup>34</sup> E. Kurowski, op. cit., s. 13. Wstrząs wywołany przeżyciem poświadczą wypowiedź autora: „[...] było to tak straszne, że przez wiele nocy nie mogłem spać, a z pamięci nie wymażę tego dramatu nigdy”; *ibidem*.

trumny nie było i pochować w dole wypełnionym wodą. Musieliśmy się spieszyć by zdążyć z tym przed odjazdem naszego pociągu.<sup>35</sup>

Deportowani stosunkowo szybko uczyli się, że szlaki wywózki wyznaczają specyficzną „geografię śmierci”,<sup>36</sup> a jej etapy nieubłaganie zbliżają ich do sytuacji granicznych, które zweryfikują odporność na ból, cierpienie, głód, zimno i nędzę. Cel podróży przesiedleńców dosyć jednoznacznie i adekwatnie określił pewien strażnik, którego wypowiedź przytoczona przez B. Obertyńską, jak się z czasem okazało, miała wymiar nie tylko metaforyczny:

–Długo będziemy tak iść? – pytam go ni w pięć, ni w dziewięć. – Do samej śmierci – odpowiada mi przez ramię, obojętnie, rzeczowo, bez śladu kpin. Dał po prostu wyczerpującą odpowiedź i poszedł dalej.<sup>37</sup>

Liczba i szczegółowość relacji dotyczących umierania dowodzi, że pomimo upływających lat ludzie nie do końca oswoili się z zesłańczymi koszmarami i nie zaakceptowali zdehumanizowanej postawy wobec zmarłych. Niezgoda i opór wewnętrzny wobec pozbawionego godności podejścia do zwłok świadczy z jednej strony o zdrowo funkcjonującym systemie wartości i morale, a z drugiej, o granicy adaptowalności do warunków ekstremalnych. Jednostkom takim przypuszczalnie trudniej było przetrwać zesłanie, ale nie ulegając presji otoczenia w wypaczonym postrzeganiu świata i rządzących nim praw oraz broniąc się przed powszechnie panującą psychozą (głodu, śmierci),<sup>38</sup> szybciej na ogół akulturowały się one po powrocie do kraju (i „normalności”). Przetrawienie wywózki oraz ponowne przystosowanie się do życia z zesłańcą przeszłością uzależnione było w niemałym stopniu od sprawnie funkcjonujących mechanizmów obronnych (np. racjonalizacji). Ułatwiały one zrozumienie i akceptację wielu przykrych doświadczeń oraz pomagały przystosować się do warunków, w których obowiązywały czytelne i jednoznaczne zasady (np. nie kradnij, nie zabijaj, „umarłych pogrzebać”). Ten ostatni chrześcijański imperatyw moralny, mimo że wiąże się z zespołem praktyk dotyczących konania i zgonu, to przede wszystkim bezwzględnie nakazuje, aby ciało, które zgodnie z wierzeniami jest siedliskiem duszy, pochować w określony i godny sposób.

W trakcie transportu nie było możliwości odprawienia pogrzebu, zdarzało się jednak, że protesty rodziny i zdecydowany sprzeciw wobec

<sup>35</sup> L. Kałuża, *Wspomnienia z pobytu na zesłaniu na Syberii*, AN PTL, sygn. 108/s, s. 17.

<sup>36</sup> Sformułowanie użyte przez P. Bortkiewicza na określenie masowości zgonów na trasie wywózki. Zob. P. Bortkiewicz, *Zachowanie wartości moralnych w sytuacjach granicznych. Studium na podstawie polskiej łagrowej literatury pamiętnikarskiej*, Łódź 1994, s. 167.

<sup>37</sup> B. Obertyńska, op. cit., s. 157.

<sup>38</sup> Wielu zesłańców wspominało, iż oprócz głodu, bardzo często występowała psychoza głodu, podobnie jak psychoza śmierci, czyli obsesyjny lęk i natręctwo myślowe skoncentrowane na ich unikaniu, przewidywaniu, zabezpieczeniu się na wszelką ewentualność. Por. E. Czaplejewicz, op. cit., s. 166.

porzucenia zwłok powodowały zgodę konwojentów na pospieszny pochówek w trakcie postoju. Kopano wtedy płytki grób w pobliżu torowiska, na skraju lasu, w polu czy w stepie, odmawiano modlitwę i ze smutkiem powracano do zakratowanych wagonów. Niezapomniano zazwyczaj oznaczyć prowizorycznej mogiły splecionym z gałązek czy zbitym naprędce krzyżem; bywało też, że oznaczano je różańcem albo obrazkiem świętym, w zależności od tego co kto posiadał. Czasami jednak nawet i takie starania były trudne lub wręcz niemożliwe, zwłaszcza w okresie wywozek zimowych, gdy srogi mróz i głęboka pokrywa zmarzliny uniemożliwiały wykopanie grobu. Zdarzało się wówczas, że zwłoki tylko przysypywano śniegiem wiedząc, że i tak zapach ciała ściągnie wkrótce w to miejsce wygłodniałe zwierzęta, gdyż widok taki nie należał do rzadkości. Najboleśniej odczuwana była przy tym świadomość, że już nigdy nie wrócą na miejsce pochówku bliskiego zmarłego. Jedną z takich przygnębiających ceremonii wspominał zesłany jako dziecko mężczyzna:

[...] Rodziny tych, którzy muszą tu pozostać po wsze czasy dostają ataku szału, nie można ich od tych grobów odciągnąć. Leżą na tym niewielkim kopczyku i niemal gryzą ziemię. Rozpacz, żal, ból [...].<sup>39</sup>

Realia deportacyjne brutalnie obnażały zdehumanizowany stosunek władz sowieckich do wartości życia ludzkiego. Człowiek był tanią siłą roboczą, co znajdowało odbicie m.in. w popularnym powiedzeniu: „*Jest głowa, to i jarzmo się znajdzie*”. Równie beznamiętnie reagowano na rozpacz zesłańców spowodowaną śmiercią kogoś bliskiego: *Pomior i wsio*.<sup>40</sup>

Zmarłych w podróży przeważnie grzebano w codziennej odzieży, tej samej, w której skonali; brak warunków uniemożliwiał obmycie zwłok. Zdarzało się, że dzieci chowano w ubrankach z Pierwszej Komunii Świętej, a starszych w strojach odświętnych (sukni ślubnej, stroju ludowym lub garniturze, jeśli ktoś miał ze sobą).<sup>41</sup> Najczęściej jednak zwłoki zawijano w koc albo prześcieradło, które po wyniesieniu zmarłego wracało do właścicieli, nadal pełniąc swoje dotychczasowe funkcje – mało kto mógł sobie bowiem pozwolić na utratę takiego pożytecznego i drogiego w tych warunkach przedmiotu. Z czasem pewne sytuacje powszedniały, nawet jeśli do końca nie były akceptowane, to świadomość własnej bezsilności powstrzymywała od reakcji. Z jednej strony było to efektem znieczulenia na nadmiar cierpienia, a z drugiej, odrętwienia emocjonalnego wywołanego długotrwałym szokiem.<sup>42</sup> Najtrudniej jednak przychodziło pogodzić się ze zgonami bezbronnych i niewinnych dzieci; tym bardziej że nierzadko dochodziło do nich w wyniku nieszczęśliwych i absurdalnych wypadków. Sytuacje takie wzmagały lęk i obnażały kruchość ludzkiego życia, jak np. we wspomnieniach jednego z autorów relacji:

<sup>39</sup> R. Gaik, op. cit., s. 229-230.

<sup>40</sup> A. Kuczyński, *Wysiedlenie...*, op. cit., s. 72.

<sup>41</sup> Por. M. Bosek, op. cit., s. 36, 39; B. Baj, op. cit., s. 4.

<sup>42</sup> Por. R. Gaik, op. cit., s. 241.

Żołnierze zaczęli nas bić i wypędzać z wagonów, a później załadowano nas na samochody i przykryto plandekami śmierdzącymi po jakimś smarze. Wtedy to udusiła się moja siostra. Jak przyjechaliśmy do miejsca, gdzie mieliśmy się przesiąść na sanie konne, już nie żyła i tam ją położono na śniegu, a my pojechaliśmy dalej na saniach.<sup>43</sup>

Bezmiar nędzy i cierpienia załamywał nawet najsilniejszych i tylko względne zobojętnienie (psychologiczny mechanizm obronny) pozwalało przetrwać i nie rozpamiętywać w nieskończoność drastycznych obrazów zaobserwowanych w ciągu dnia, np.:

[...] idąc ławą wzdłuż szyn ku dworcowi mijamy leżące na nasypie, brudnym płaszczem przyrzucone zwłoki. To ktoś z naszego transportu. Wycieńczenie i „krwawy ponos” (biegunka – K.K.). Spod płaszcza sterczą zdeптane, niepotrzebne już nogi.<sup>44</sup>

Wystawianie umierania na widok publiczny obcych i nie powołanych do tego osób, np. dzieci i kobiet ciężarnych, konanie wśród brudu i nędzy ludzkiej – poniżało i uwłaczało godności ludzkiej oraz powodowało u zesłańców silny uraz psychiczny, który przyczyniał się do powstania wielu zaburzeń w ich funkcjonowaniu psychospołecznym po powrocie do kraju.

### Postawy deportowanych wobec konających

Stała obecność śmierci w trakcie deportacji („takiej śmierci”) miała w sobie coś nierzeczywistego, coś co sprawiało, że zesłańcy czasami nie wierzyli, że to wszystko dzieje się naprawdę i nie jest koszmarem, z którego można się wybudzić; wspomina o tym wielu zesłańców, np.:

Ojciec dostał zapalenia płuc i po 10 szczęśliwych dniach zmarł. [...] Dla mnie to był cios okropny! Tak bardzo kochałam ojca! Długi czas cierpiałam skrycie, wyobrażając sobie, że to może pomyłka, że to może nie ojciec umarł, a ktoś obcy, podający się za niego. Byłam zbuntowana przeciwko całemu światu. Matka też zapewne cierpiała ogromnie, ale ze względu na mnie, nie chciała tego okazać.<sup>45</sup>

W normalnych warunkach trudno jest sobie wyobrazić, że w krótkim czasie można stracić całą rodzinę dzieci, rodziców, sąsiadów, i w przeciągu kilku tygodni zostać wdową, sierotą i matką opłakującą swoje dzieci. Początkowo przesiedleńcy dziwili się, że jednego dnia jeszcze ktoś chodził, rozmawiał, a drugiego już go nie było; stąd tak częste w relacjach kolokwialne wyrażenie, że „ludzie marli jak muchy”. Płeć i wiek umierających nie miały tutaj żadnego znaczenia. Jak zauważył P. Bortkiewicz, dramat własnej, niepowtarzalnej egzystencji rozumianej jako istnienie ku-śmierci (Heideggerowskie „sein-zum-Tode”) w realiach deportacyjnych dodatkowo podkreślała bezceremonialność i anonimowość zgonów, czyli konieczność pozostania tam bez żadnego śladu w pamięci

<sup>43</sup> B. Baj, op. cit., s. 3.

<sup>44</sup> B. Obertyńska, op. cit., s. 283.

<sup>45</sup> M. Zawałkiewicz-Maciąg, *Przez Zbrucz za Ural*, AN PTL, sygn. 137/s, s. 3.

ocalonych.<sup>46</sup> Obawiano się tego niemniej, jak samego kresu, przy czym strach przed śmiercią był raczej strachem przed takim jej rodzajem<sup>47</sup> – pozostawiającym pustkę, osamotnienie i poczucie beznadziei; opisał to jeden z zesłańców:

Bałem się śmierci. Widziałem ją codziennie i może nie bałem się tak śmierci, jak tego, że mnie, a raczej mój szkielet, wyniosą jak innych w prześcieradle rzucą do wspólnej skrzyni, następnie wysypią do wspólnego dołu, zakopią razem tak, aby nie było po nas żadnego śladu na ziemi. Nie istniał taki – tego się bałem.<sup>48</sup>

Proces umierania w trakcie przesiedlenia cechował się swoistą dwuznacznością. W pierwszym przypadku konanie odbierane było jako nieuchronne fatum, rzeczywistość masowa i stan chroniczny danej grupy; zgony były tłem, na którym toczyło się życie lub jego pozory (ludzie jedli, spali, pracowali).<sup>49</sup> Symptomatyczne było tutaj złudzenie, że to wszystko dzieje się niejako gdzieś obok, zdarza się innym i nie dotyczy bezpośrednio danej jednostki. W drugim przypadku konanie było prywatnym aktem pożegnania z życiem, intymnym i skromnym – zgaśnięciem iskry w żarze – niedostrzeganym niejednokrotnie przez innych. Towarzyszyła mu często świadomość umierania, i jakkolwiek poznawczo nie można przeżyć własnej śmierci, to można jej doświadczyć, asystując bliskiej osobie przy konaniu; znalazło to swój ślad w licznych wspomnieniach

Refleksyjność konających, ich przytomność, a czasami nawet gniew połączony z negacją i zakwestionowaniem wartości życia, czyni te relacje bardzo przejmującymi. W takich sytuacjach osoby pozostałe przy życiu, przeżywające stratę kogoś bliskiego nierzadko same traciły wiarę w sens życia:

Nadeszła najboleśniejша chwila w moim życiu. Pewnego dnia, po powrocie z pracy usłyszałam słowa: „Moje drogie dziecko, dobrze, że już jesteś... Nie mogę spokojnie umrzeć... nie mogę skonać, bo mi ciebie żal. Jak sobie poradzisz, gdy zostaniesz sama?” Za chwilę zakończyła życie, zamknęła rozdział swojej życiowej gehenny. Męczarni, którą trudno sobie wyobrazić. Dla mnie to straszliwy cios. Życie wtedy straciło sens. Już nie miałam dla kogo żyć. Jeszcze dzisiaj mam przed oczami obraz jej twarzy wykrzywionej cierpieniem, pooranej głębokimi liniami zmarszczek, twarzy zszarzałej, na której śmierć położyła swoją lodowatą dłoń.<sup>50</sup>

<sup>46</sup> P. Bortkiewicz, *Deheroizacja śmierci w warunkach łagrowych. W świetle wybranej polskiej literatury łagrowej*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii. Medycyna – Antropologia kultury - Humanistyka*, red. J. Kolbuszewski, t. II 1998, s. 292.

<sup>47</sup> Por. Ibidem, s. 297.

<sup>48</sup> E. Polak, *Katorga 1945–1956*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków*, t. 4, op. cit., s. 62; por. M. Wańkowicz, *Dzieje rodziny Korzeniewskich*, Warszawa 1981, 25–26.

<sup>49</sup> Niektórzy zesłańcy wspominali o przechowywaniu zwłok w domu przez kilka dni, podczas gdy w tej samej izbie gotowano, jedzono i spano, np.: „Zwłoki mego ojca [...] leżały obok nas przykryte prześcieradłem przez trzy dni. [...] Żadna z nas nie czuła ani odrazy, ani strachu wobec ciała zmarłego ojca”. Zob. A. Bezrąk, *Wspomnienia z lat 1940–1946*, AN PTL, sygn. 141/s, s. 19. Istnieją również wspomnienia mówiące o administracyjnym zakazie przechowywania trupów w pomieszczeniach mieszkalnych (zwłaszcza w dużych barakach), które wobec tego pozostawiano na korytarzu. Zob. S. Paluch, op. cit., s. 88.

<sup>50</sup> L. Kałuża, op. cit., s. 11.

Tragizm i groza zgonów podczas wywózki w znacznym stopniu polegały na ich trywialności i wymuszonej prostocie pozbawionej patetyczności stosownej śmierci; przykładem może być wspomnienie utrwalone przez zesłańca:

Parę dni przed śmiercią ojciec powiedział wieczorem do mamy, że przez cały dzień marzył o tym, aby zjeść chociaż jednego gotowanego kartofla. Od rana czuł jego zapach i smak. Odpowiedzią mamy był płacz, gdyż nie była w stanie spełnić być może ostatniego przed śmiercią życzenia swojego męża. Wkrótce tata zaczął puchnąć, co oznaczało rychłą śmierć. Zdając sobie sprawę z tego, że dni jego życia są już policzone, wieczorem, gdy opuchlizna objęła całe ciało, poprosił mamę i nas, starsze dzieci, abyśmy zbliżyli się do niego. Staaliśmy wszyscy przy nim, a mama ujęła go za wyciągniętą rękę. Obrzucił nas wszystkich swoim smutnym spojrzeniem i słabym, przyciszonym i przerywanym głosem prosił, abyśmy opiekowali się naszym młodszym rodzeństwem i nie tracili nadziei, ponieważ na pewno nastanie dzień powrotu do Polski.<sup>51</sup>

Sytuacja, gdy w chwili konania człowiek marzy „tylko” o ziemniaku lub skibce chleba, a i tego życzenia nie można w żaden sposób spełnić, obnaża bezwzględny mechanizm konania na obcej ziemi. Masowość i powszechność zgonów podczas deportacji przyczyniła się do metaforycznego określania ich wyrażeniem – „śmierć jak kromka chleba”. Frazę tę można rozumieć na wiele sposobów m.in., że umieranie było codzienną strawą zesłańców i czymś normalnym w swojej nienormalności. W tej sytuacji często próbowano odczytać przyszły los przez interpretację „znaków” dotyczących np. zdrowia lub choroby.<sup>52</sup> Odwoływano się przy tym do tradycyjnej symboliki i doszukiwano się zwiastunów śmierci, znanych z popularnych w kulturze ludowej wierzeń. Ilustracją może być wieszczba opisana przez jedną z kobiet:

Zwiastunem śmierci ojca był malutki ptaszek, który trzy razy zapukał w okienko budki. Przeraziłam się. Swoimi niepokojami podzieliłam się z bratem. Niestety miałam rację, za cztery godziny przybył goniec [...], który oznajmił nam o śmierci ojca. To był straszny cios. Mama była zrozpaczona. Nie było trumny ani nawet desek, cmentarza zresztą też – mój ojciec został pochowany w krzakach.<sup>53</sup>

Inną metodą przewidywania przyszłości na zesłaniu było analizowanie snów. Zdarzało się czasami, że komuś przyśnił się sen dziwny i adekwatny do aktualnych wydarzeń, a tym samym zyskiwał miano „snu proroczego”:

Drugiej czy trzeciej nocy po pogrzebie, nad ranem nasz zmarły ojciec przyśnił się mamie.[...] rozmawiając z nim we śnie, wiedziała, że on nie żyje. Ojciec pocieszał ją, że wszystko to przetrzyma i wróci do Polski. Mama we śnie rozpa-

<sup>51</sup> S. Paluch, op. cit., s. 88-89.

<sup>52</sup> Jedną z kobiet przytaczała interesującą interpretację tej tendencji wśród zesłańców: „Organizmy nasze, krańcowo wycieńczone i wyniszczone, podatne były niezmiernie na różne przeczucia i wyczucia. Miało się wrażenie, że duch, pozbywszy się zupełnie zbyt ciężkiej wagi ciała, pracuje o wiele intensywniej, wyczuwa i widzi rzeczy dotąd dla niego niedostępne”. Zob. M. Krzysztowska, *Pamiętnik matki 1940-1942*, Poznań 1994, s. 106.

<sup>53</sup> L. Kałuża, op. cit., s. 6.

czała i żaliła się przed nim, jak sama poradzi w tych okropnych warunkach z tyłoma dziećmi. Na to on jej odpowiedział: „Nie martw się o nasze dzieci, gdyż ja się nimi z tobą podzielę”.<sup>54</sup>

W trakcie kilku kolejnych miesięcy okazało się, że faktycznie połowa dzieci z tej rodziny zmarła („zabrał je ze sobą ojciec”), co dało podwaliny do posądzania owej kobiety – żony zmarłego, o dar profetycznych wizji. Analiza marzeń sennych była częstym sposobem radzenia sobie z trudną i nieprzewidywalną rzeczywistością. Znaki odczytywano zgodnie z potocznymi interpretacjami, np. wysoki kościół to nieprzyjemne wydarzenie (najczęściej choroba albo zgon),<sup>55</sup> podobnie jak wypadające zęby i krwawiące dziąsła. Wierzono, że można samemu sobie wyśnić śmierć, np. pewnej dziewczynie śniło się na kilka dni przed tym jak umarła, że znana jej młoda kobieta, która jakiś czas temu skonała zamierzając przysłała prosić ją na swoje wesele za druhnę.<sup>56</sup>

Ogólnie rzecz biorąc, najczęściej na zesłaniu ludzie umierali w wyniku chorób, głodu i zimna. Zdarzały się również wypadki śmiertelne (utopienia, przywalenia przez drzewo, zmiżdżenia przez maszyny itp.), zamarznienia lub samobójstwa.<sup>57</sup> Konaniu towarzyszyła bezsilność członków rodziny i bliskich, którzy pozbawieni możliwości działania musieli bezwolnie przyglądać się cierpieniu ukochanej osoby. Wiele relacji porusza wątek poczucia winy i niezaspokojonego żalu trwającego nawet latami – do siebie, losu, administracji radzieckiej i jej opieszałości w załatwianiu kluczowych dla przetrwania spraw (np. dostawy leków, zwiększenia racji żywnościowych, zezwolenia na paczki z kraju itp.). Szczególną uwagę zwracają wspomnienia, w których zarzuty pod swoim adresem kierują ówczesne dzieci; jest to dowodem patologii wojny, jej degradującego wpływu na dojrzewanie jednostki oraz traumatycznych przeżyć, które wypaczały obraz własnej osoby. Wiążą się one m.in. z samoobwinianiem o niewypełnienie nakazanych tradycją powinności wobec umierających i niespełnienie określonych ról społecznych (np. rodziców mających obowiązek ochraniać dzieci przed zagrożeniami oraz dzieci

<sup>54</sup> S. Paluch, op. cit., s. 91; por. M. Mazur-Górska, *Z pustyni do Polski. Wspomnienia zesłańca*, Szczecin 1995, s. 40. Jedna z zesłanych kobiet opisała, jak odwiedził ją duch zmarłej matki i dodawał sił do przetrwania zsyłki: „Nagle poczułam zimną dłoń mamy na swoim ciele. »Nie płacz moje dziecko, bo jest ciężko. Przeżyjesz wszystko i jeszcze ci będzie w życiu dobrze.«” Zob. L. Kałuża, op. cit., s. 13. por. M. Włodkowska, AW II/3197, (18.III.1941).

<sup>55</sup> M. Furganowska, *Dzienniczek z Syberii*, AW II/2413, s. 7.

<sup>56</sup> Ibidem, s. 64. Podobnie interpretowano dziwne i niespotykane zjawiska atmosferyczne, które w klimacie syberyjskim zdarzały się dosyć często – teraz jednak odczytywano je jako znaki z niebios (s. 39).

<sup>57</sup> I. Nowak, *Wspomnienia*, AN PTL, sygn. 147/s, s. 9; H. Suszak, *Życiorys*, AN PTL, sygn. 248/s, s. 1a; C. Kuntusz, *Wspomnienia byłego Sybiraka*, AN PTL, sygn. 79/s, s. 22; J. Homan, *Pamiętnik*, „Sybirak”, 1989: 3, s. 62; J. Hryniewska, *Wspomnienia*, AN PTL, sygn. 77/s, s. 6, 17; Z. Zimny, *Zachować od zapomnienia. Pamiętnik syna zesłańca*, AN PTL, sygn. 23/s, s. 22.

wspierających rodziców). Jak silną zadrę stanowiły przez długie lata te niezawinione występki, dowodzą relacje:

[...] wiadomość była wstrząsająca, ojciec zmarł jeszcze przed przyjęciem Go przez lekarza. [...] W latach późniejszych, gdy dorosłem i powróciłem do kraju, często wracałem pamięcią do ostatnich dni życia ojca i do wczesnego poranka kiedy odprowadziłem go do stacji kolejowej. Wówczas zaczął powstawać niesmak, pretensja do samego siebie: dlaczego gdy wsiałem do wagonu, nie odwoziłem ojca do szpitala. Może w czymś w tych ostatnich godzinach życia mógłbym Mu pomóc. Miałem wówczas już 15 lat, byłem świadomy dużego niebezpieczeństwa grożącego życiu rodzica. Uczyniłem wówczas tylko to, o co prosił ojciec: odprowadziłem Go do pociągu, a sam nie zdobyłem się na samodzielność postępowania – nie pojechałem z nim.<sup>58</sup>

Podczas zesłania przeważały zgony, które w oparciu o tradycyjną kategoryzację można by uznać za „śmierci złe”, niegodne i niehumanitarne.<sup>59</sup> Sporadycznie zdarzało się jednak, że konanie przebiegało zgodnie z wyznacznikami „śmierci dobrej”. Opisy takie nieprzypadkowo koncentrują się na charakterystycznych jej cechach, np. dotyczących stylu umierania: „śmierć miała lekką i spokojną przeszłą do wieczności”, „przez całą dobę leżała w mieszkaniu na łóżku”, „przychodzili nie tylko Polacy, ale i Rosjanie, aby modlić się i śpiewać”, „pozwolono zapalić przy łóżeczku świecę i modlić się”; „ojciec odchylił głowę do tyłu, zaczerpnął powietrza i wyszeptał »O Jezus« i wyzionął ducha”; określonych zachowań, np.: „przy łożu ojca staliśmy z zapalonymi łuczycami w ręce”, „spółdzielnia dała wózek i osiołka, które posłużyły za karawan pogrzebowy”, „na pogrzebie było bardzo dużo miejscowych i Polaków”, „jedna Polka zaintonowała »Anioł Pański« i wszyscy płakali”, „panie Polki umyły go i ubrały”, „bez trumny, ale uczciwie z modlitwami i pieśniami pogrzebowymi”, „wzięłam na pamiątkę odrobinę piachu z grobu i gałązkę piołunu”; oraz atrybutów, np.: „zrobiliśmy wieniec z piołunu stepowego”, „fotograf zrobił szarfy z czarnego papieru z podpisem »Najukochańszej Mamie – córki«”, „pochowaliśmy ją w trumnie zrobionej z magazynowych desek”, „Polakowi, który pracował w kuźni, udało się wykuć żelazny krzyż, który wkopano głęboko do grobu”.<sup>60</sup> Zgony takie uchodziły na zesłaniu za rzadkość, budziły zazdrość i określano je mianem „pięknych śmierci”. Na ogół konano w samotności, po cichu, niezauważenie. Bywało też, że śmierć przychodziła wyjątkowo znienacka i zaskakiwała nieprzygotowaną na to rodzinę, a czasami towarzyszył jej skandal:

Zmarła pewna inteligentna matka [...] wychowująca dwoje małych dzieci. Mieszkała z dziećmi samotnie w małej lepiance z klepiskiem. Sąsiedzi zauważyli, że ta pani rano nie wyszła ze swojej lepianki. Zaglądają przez okienko i widzą

<sup>58</sup> J. Winnicki, *Czy zobaczę jeszcze mój dom rodzinny*, AN PTL, sygn. 136/s, s. 53.

<sup>59</sup> Por. K. Kość, *Dehumanizacja kresu życia w warunkach zesłania*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii...*, op. cit., t. VI, s. 255-260.

<sup>60</sup> J. Stefanik, *Okruchy koszmarnych wspomnień*, AN PTL, sygn. 12/s, s. 14; por. S. Paluch, op. cit., s. 89; R. Gaik, op. cit., s. 291; H. Górską, AW I/207, s. 40; D. Glezner, op. cit., s. 7.



leżącą ją na klepisku,. Zaraz zaalarmowali Polaków. Przybiegam i ja. Zobaczyłam wstrząsający widok: kobieta martwa leży na ziemi, starsze dziecko śpi obok niej, a młodsze gryzie główkę małego kotka, w garnku zaś znajdował się tułów tego kotka, który najwidoczniej miał być ugotowany... Wszyscy płakali... Zwłoki zmarłej zawinięto w koc i zagrzebano w piasku. A dzieci oddano do sierocińca.<sup>61</sup>

Niemniej tragiczne, a przy tym bardzo częste były zgony przez zamarznięcie. Ofiary takiej śmierci odnajdywano nierzadko dopiero na wiosnę, po roztopach, kiedy znalezione szczątki ludzkie identyfikowano już tylko po zachowanych szczegółach, np. obrączce, skrawku materiału itp. Zesłańcy, którzy zmarli na skutek wyziębienia często byli w drodze (np. do domu, miasta, pracy),<sup>62</sup> stąd też ich spóźnienie rzadko kiedy prowokowało szybkie poszukiwania. Okrucieństwo takiej śmierci polegało na tym, że człowiek konający miał świadomość tego, co się z nimi dzieje i wiedział, że już nie dojdzie do celu. W poczuciu bezsilności poddawał się utracie sił, bólowi kończyn i senności; wtedy też przystępowała do niego „kostucha” i przerywała tę niedokończoną podróż, pozostawiając w symbolicznym zawieszeniu „pomiędzy” różnymi punktami egzystencji (zabierała ducha, porzucała ciało). Jedną z bardziej przejmujących historii tego typu opisała córka tragicznie zmarłych bohaterów opowieści:

Rodzice zdecydowali się iść piechotą. Ojciec pierwszy nie wytrzymał tego wysiłku, ponieważ był spuchnięty z głodu, usiadł i został na wieki. Mama z 16-letnią córką Barbarą poszła dalej. Po drodze minął ich brygadzysta filii wiozący konnym zaprzęgiem worek mąki i nie chciał zostawić tego worka w stepie, a ich podwieźć [...] Bygadzysta ten wysłał wierzchem na koniu Kazacha, żeby zabrał te dwie idące kobiety, ale niestety mama już sztywniała z zimna i nie mogła się utrzymać na koniu. Spadła dwa razy i musiała zostać w stepie. Prosiła córkę Basię, żeby pojechała i uratowała życie, ale siostra nie zgodziła się i zamarzły obydwie. Basia by przeżyła, ale powiedziała, że tatuś zamarzł, mamusia zamarzła i ona ich nie zostawi. Rękami odgrzebała śnieg, ułożyła tam mamusię i położyła się obok niej. I tak je Kazach zostawił. Potem opowiadał o tym siostrze Annie, która tej samej nocy

16 grudnia 1943 roku wracała z przymusowej pracy przy budowie tamy z innego kołchozu. Powrót sióstr był również tragiczny. Powtórzyła się ta sama historia co z rodzicami. Woły się położyły i nie chciały ciągnąć sań. Siostry nie mogły zostawić wołów, bo za to groziła kara śmierci. Czekwały w stepie całą noc. Młodzież, która wracała z moimi siostrami, doszła do Dżuruna piechotą, natomiast jedna z moich sióstr – Stanisława miała rany na nogach i rękach od odmrożenia i dlatego nie mogła iść w grupie, a siostra Anna nie zostawiła jej, bo by ją samą w stepie wilki zjadły, dlatego pozostały w stepie aż do przyjazdu konnego zaprzęgu [...].<sup>63</sup>

Zdarzało się, że zesłańcy umierali samotnie w domach, z krzykiem zamarłym na ustach, brudni i obleźli przez wszy, gdzie odnajdywano ich

<sup>61</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 13.

<sup>62</sup> Por. R. Marcinkowski, *Śmierć naszej matki*, [w:] T. Mikulski, *Fotografia zbiorowa Polaków deportowanych do okręgu pawłodarskiego*, Wrocław 1995, s. 245.

<sup>63</sup> I. Tańska, *Spoczęła w jakuckiej ziemi* (T. Hendrysiak, *Nasi zamarznięci rodzice*), „Zesłaniec”, 2003: 13, s. 65-66.

dopiero po kilku dniach od zgonu.<sup>64</sup> Innych znajdowano w lesie czy też w stepie, gdzie śmierć zastawała ich podczas szukania czegoś do zjedzenia.<sup>65</sup> Psychoza głodu była tak silna, że lepszy wydawał się syty zgon niż życie w niedożywieniu:

Poszedł raz ten mój syn do lasu. Poszedł i widać zbłądził gdzie, bo do domu już nie przyszedł! [...] Nadszedł jakiś Polak i mówi, że znalazł kogoś w lesie i ten ktoś nie żyje [...] Ja zemdlalam! Jakoś przyszła do siebie, poszła i to był on: leżał pod kupką siana, taki młody! Leżał, a przy sobie to miał kilka grzybków, co je chyba w lesie znalazł. Tak leżał i chyba... głodny nie umarł...<sup>66</sup>

Osobnym zagadnieniem związanym z poruszaną tutaj problematyką, jest nadśmiertelność dzieci na zesłaniu.<sup>67</sup> W opinii deportowanych liczba zgonów nieletnich wielokrotnie przewyższała umieralność dorosłych, przy czym przyrost naturalny był bardzo mały, wręcz minimalny. Główną przyczyną tego stanu była utrata menstruacji przez większość kobiet wskutek niedożywienia, ciężkiej pracy, zmiany klimatu i silnego stresu; poza tym dzieci, które się narodziły, miały małe szanse na przeżycie i często umierały jeszcze w okresie niemowlęctwa. Odporniejsze na zesłańcze warunki były dopiero roczniki powyżej 3 roku życia, zaś powyżej 6 lat odsetek zgonów wśród dzieci malał w sposób widoczny. Najczęstszą przyczyną śmierci w tym przedziale wiekowym była zachorowalność na odrę, szkarlatynę, dyfteryt, zapalenie opon mózgowych oraz na skutek powikłań przeziębieniowych.<sup>68</sup> Masowość śmierci była jednym z bardziej dramatycznych i depresjonujących czynników podczas wywózki. Bezsilność rodziców i opiekunów wobec tego faktu była obezwładniająca, a relacje dowodzą, że wielu z nich przez długi czas nie mogło pogodzić się ze stratą dziecka oraz koniecznością pochowania go w obcej ziemi. Duża liczba małoletnich skazana była poniekąd na zagładę przez sam fakt osierocenia ich przez rodziców. Często zdarzało się, że najpierw umierali rodzice, a wkrótce potem ich latorośle, gdyż nikt nie mógł zapewnić im odpowiedniej opieki i utrzymania. Bywało, że pomoc oferowali sąsiedzi, współtowarzysze albo instytucje do tego powołane, ale przy skali zjawiska, jakim było sieroctwo podczas wywózki stanowiło to namiastkę w stosunku do potrzeb. Wobec tego wiele polskich dzieci zaginęło bez śladu wskutek wy narodowienia w radzieckich sierocińcach.<sup>69</sup>

<sup>64</sup> Por. D. Glezner, op. cit., s. 6; R. Gaik, op. cit., s. 291.

<sup>65</sup> M. Kowalska, *Ile tam moich śmierci?!*, [w:] *Syberia: poza...*, op. cit., s. 60; por. D. Glezner, op. cit., cz. IX, s. 1.

<sup>66</sup> M. Kowalska, op. cit., s. 60.

<sup>67</sup> Szerzej w: K. Kość, *Dramat śmierci matek i ich dzieci w literaturze zesłańczej*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii...*, op. cit., t. VII, s. 371-383.

<sup>68</sup> AAN, MPiOS, sygn. 25, s. 88 (śmiertelność dzieci obywateli polskich – notatka); por. E. Kowalska, *Adaptacja polskich zesłańców lat 1940–1941*, [w:] *Syberia w historii...*, op. cit., s. 426.

<sup>69</sup> Por. D. Boćkowski, *Jak pisklęta z gniazd*, Warszawa–Wrocław 1995, s. 49; D. Nowakowska, *Oczami dziecka*, sygn. 25/s, s. 14-15; E. Łobaza, *Wspomnienia z syberyjskiego dzieciństwa*, AN PTL, sygn. 255/s, s. 4; J. Strączkowska-Saj, *Wspomnienia z życia na zesłaniu w Syberii i Kazachstanie (1940-1946)*, AN PTL, sygn. 44/s, s. 5.

Masowość zgonów w znacznym stopniu oswajała deportowanych ze śmiercią i po pewnym czasie wytwarzała swoisty dystans, który przejawiał się również na poziomie językowym. Ilustracją tego może być np. wyrażenie używane niekiedy na określenie, że ktoś umarł, czyli „już do Polski pojechał”.<sup>70</sup> Eufemizm ten z jednej strony jest wyrazem specyficznego w tych warunkach poczucia humoru, a z drugiej – zawartego w nim pragnienia powrotu do kraju oraz nadziei, że rozwiąże to wszystkie problemy egzystencjalne.

Zesłańcze „geografie śmiertelności” miały to do siebie, że dotyczyły całej trasy wywózki łącznie z drogą powrotną do kraju, podczas której zejścia śmiertelne były szczególnie tragiczne i przygnębiające. Towarzyszyła im świadomość, że tyle się przetrzymało, tylu bliskich pogrzebało, tyle cierpienia, nędzy i poniżenia zniosło i teraz kiedy upragniona wolność i powrót do ojczyzny są tak bliskie – trzeba się poddać i przestać kurczowo trzymać życia, które nieubłaganie z człowieka uchodzi. Bezradność w takim momencie niejednokrotnie rodziła w osieroconych bliskich bunt, gniew i poczucie niesprawiedliwości. Przewrotność losu dopiero teraz objawiała się w całej swojej bezwzględności, stąd też zdarzało się, że nawet najwytrwalsi tracili wiarę i nadzieję, nie mówiąc już nawet o poczuciu sensu dalszego życia. Osierocone na ostatnim etapie wywózki żony, dzieci czy też rodzice przekraczali granicę utęsknionej ojczyzny z poczuciem ogromnego bólu i żalu deprecjonującego ich dotychczasowe wysiłki w godnym znoszeniu zsyłki. Tym co charakteryzowało zgony w drodze powrotnej, było zaskoczenie, choć z obiektywnego punktu widzenia był to czas zgonu równie prawdopodobny, jak każdy inny. Niemniej repatriantom często towarzyszyło irracjonalne przekonanie, że opuszczając miejsce wywózki, zostawiają tam również całe zło i wszystkie swoje dolegliwości, ze śmiercią włącznie. Poruszający opis zgonu matki w trakcie powrotu do Polski zamieścił w relacji zesłany jako dziecko mężczyzna:

W pozycji siedzącej oparłem się plecami o ścianę wagonu i nocą zasnąłem. Nad ranem, budząc się, stwierdziłem z przerażeniem, że leżąca na mych kolanach głowa mamy jest zimna jak lód. Była martwa. Współmieszkańcy jeszcze spali, nikogo nie budziłem. Nieboszczkę położyłem obok siebie a sam w dalszym ciągu siedząc rozmyślałem nad wytworzonym nieoczekiwanym zdarzeniem. Rano zaczęli budzić się ze snu mieszkańcy wagonu, oznajmiłem o nieszczęściu. [...] Rozpoczął się przemarsz osobliwego konduktu pogrzebowego. Lekarka szła przodem, za nią niesiono na noszach zwłoki a niedużego wzrostu chłopiec z opuszczoną głową samotnie kroczył za niesioną martwą rodzicielką. [...] Na widok „konduktu” w pootwieranych drzwiach transportu tłoczyli się rodacy. Widząc smutne twarze ludzi naszego transportu, nerwy nie wytrzymały napięcia, rozplakałem się jak małe dziecko. Odprowadzałem ostatnią najbliższą mi osobę, z którą jeszcze dnia poprzedniego liczyłem na wspólny powrót do Ojczyzny i po długich latach katorgi, ułożenia sobie lepszego życia. Stało się inaczej:

---

<sup>70</sup> H. Janowiak-Stawówna, op. cit., s. 2.

pomimo oglądania i współuczestniczenia w mej tragedii powracających rodaków z całego transportu, poczułem się zupełnie osamotniony. Nosze ze zwłokami mamy wniesiono do magazynu – trupiarni a mnie zaprowadzono do majora NKWD urzędującego na dworcu, który zabrał dokument wystawiony na mamę, a na moim odnotował fakt zgonu. [...] Poniesiona strata była ciosem trudnym do przeżycia. Wokół panowała radość z powodu powrotu z zesłania, mnie dławiała samotność, przesłaniając dobrodziejstwo powrotu do Polski. Doznane tragedie, a szczególnie ta ostatnia, wywarły niewątpliwy wpływ na me usposobienie i psychikę. Mama umarła w wieku 46 lat.<sup>71</sup>

W fakcie zgonu na zesłaniu najbardziej przytłaczający i pozbawiający nadziei był właśnie tragizm poczucia pustki. Jak zauważa P. Bortkiewicz, stwarzał go przede wszystkim dysonans pomiędzy pełnią obecności człowieka, który przed chwilą był obok, a pełnią obecności rzeczy bez człowieka, co rodziło bolesną sprzeczność. Uświadomienie sobie, że ukochanej osoby „już nie ma i nigdy nie będzie” było niekwestionowanym wyrazem tragedii.<sup>72</sup> Tworzyło specyficzną obecność „nieobecnego” – „życie z umarłym”, o którym bez przerwy się pamiętało i myślało, ponieważ był ważnym elementem wymarzonego i po wielokroć wyobrażanego życia po powrocie do kraju.

### **Obrzędowość pogrzebowa**

W realiach deportacyjnych praktycznie trudno było mówić o obrzędach pogrzebowych w tradycyjnym i religijnym rozumieniu. Za każdym razem jednak podejmowano próby ich dopełnienia, chociażby w symbolicznej i okrojonej formie. Nierzadko odbywało się to z narażeniem własnego zdrowia i bezpieczeństwa, wbrew zakazom administracyjnym i na przekór trudnościom klimatycznym i formalnym. Dowodzi to m.in. silnego przywiązania do zwyczajowych form zachowań w obliczu śmierci i zmarłego, którego należało pożegnać i wyprawić w zaświaty w odpowiedni i zgodny z normami kulturowo-religijnymi sposób. Analizując relacje zesłańcze niejednokrotnie można odnieść wrażenie, że doświadczanie dehumanizacji i desakralizacji kresu życia było powszechne. Większość wspomnień oparta jest na motywie dramatu rodzinnego, przedwczesnych zgonów oraz próbach przetrwania zarówno biologicznego, jak i moralnego. Trudno przy tym zakładać, że narratorzy powielali zasłyszane opowieści albo też ubarwiali je w celu zwiększenia walorów literackich. Wiele wskazuje, iż zejścia podczas wywózki odbierane były w sposób głęboko traumatyczny i powodujący niezgodę na takie umieranie. Desakralizacja obrzędów pogrzebowych wywoływała opór zesłańców, którzy nie godzili się z nią i próbowali zaradzić temu stanowi rzeczy na wszelkie dostępne sobie sposoby.

Jak zauważa P. Bortkiewicz, poprzez deheroizację śmierci odkrywał się dla zesłańców okrutny proces dehumanizacji własnego życia. Wiązała się z tym silna potrzeba usensownienia cierpienia, obrony przed unice-

<sup>71</sup> J. Winnicki, op. cit., s. 86-87.

<sup>72</sup> Zob. P. Bortkiewicz, *Zachowanie...*, op. cit., s. 177.

stwieniem i przeżywaniem tego zniweczenia; służyły temu wartości, takie m.in. jak: osoby ludzkiej, biologicznego i duchowego życia, pracy, kultury osobistej, więzi społecznych, celu oraz również Boga i religii.<sup>73</sup> Jakkolwiek występują przykłady załamania się wiary i wierności tradycyjnym wartościom, nie wyklucza to jednak stałej ich świadomości i internalizacji.

Zmarłych starano się chować w ziemi, to znaczy w przyjęty zwyczajowo w kulturze chrześcijańskiej sposób. Zdarzało się jednak, że okoliczności zmuszały do pozbycia się zwłok i wrzucenia ich np. w śnieg lub do wody (gdy zgon nastąpił podczas wielodniowej podróży barką).<sup>74</sup> W takiej sytuacji trudno w ogóle mówić o pogrzebie. Bywało, że co najwyżej zprawiano nad umrzykiem modlitwę. Podobnie, gdy silny mróz i grubą pokrywą śnieżną uniemożliwiała wykopanie grobu zwłoki chowano w zaspach, czekając do wiosny, aby powtórnie je pogrzebać tym razem w ziemi. Po pewnym czasie przy osadach zesłańczych zaczęły powstawać rozrastające się stopniowo cmentarze; z początku jednak zmarłych chowano wszędzie: w lesie, przy chałupie, w najbliższych krzakach, w stepie.<sup>75</sup> W trakcie pobytu przekonywano się o konieczności zabezpieczenia grobów żerdziami, gdyż inaczej rozgrzebywane były przez zwierzęta – zimą przez żerujące wilki, a latem przez pasące się bydło (krowy, kozy, wielbłądy, owce).<sup>76</sup> Zdarzało się nawet, że nie oznaczone mogiły były rozdeptywane przez ludzi idących za własną potrzebą.<sup>77</sup> Księży na ogół wśród zesłanych nie było, więc pochówki odbywały się bez posługi kapłańskiej i sakramentów; w początkowym okresie wywózki starano się ich w jakiś sposób zastąpić, chociażby formalnie. Jeśli zesłańcy posiadali książeczkę do nabożeństwa, to duchownego czasami zastępowały kobiety i odmawiano stosowne w takich okolicznościach modlitwy oraz odprawiano symboliczne nabożeństwo. Początkowo przyjęte było zbiorowe uczestnictwo w pogrzebach rodaków, stąd też w ostatniej drodze nieboszczyka często towarzyszył mu liczny kondukt. Z czasem, w miarę nasilania się zgonów, procesje pogrzebowe stawały się mniejsze i ograniczone tylko do najbliższej rodziny.<sup>78</sup> Zdarzało się, że występowały znaczne różnice lokalne w swobodach dotyczących pochówku zmarłych i nie zawsze możliwe były zbiorowe pożegnania, gdyż w niektórych osadach restrykcyjne rozporządzenia zabraniały pochówków katolickich. Zakazywano np. aby pogrzebem zajmowały się więcej niż dwie osoby, bywało że nie wolno było usypywać mogił, nie wspominając już nawet o stawia-

<sup>73</sup> P. Bortkiewicz, *Zachowanie...*, op. cit., s. 189.

<sup>74</sup> Por. W. Vrabec, *Wywóz Lwów-Kazachstan*, AN PTL, sygn. 186/s, s. 6.

<sup>75</sup> J. Łuszczek, *Ciernista droga*, AN PTL, sygn. 68/s, cz. I, II, s. 188.

<sup>76</sup> J. Strączkowska-Saj, op. cit., s. 5; por. S. Paluch, op. cit., s. 98, 117. Autor ten bezpośrednio wyraził opinię, że przyzwolenie władzy radzieckiej na beczczenie polskiego cmentarza było: „[...] kolejnym dotkliwym ciosem wymierzonym w naszą psychikę, godność narodową i katolicką. Czuliśmy się znów upokorzeni, ale pokładaliśmy nadzieję w Bogu, że to wszystko odmieni się na lepsze” (s. 117).

<sup>77</sup> Por. Ibidem.

<sup>78</sup> J. Winnicki, op. cit., s. 24.

niu krzyży, za co groziły srogie kary.<sup>79</sup> Nie zniechęcało to jednak zesłańców do powszechnego łamania tych przepisów, tym bardziej że odbierano je jako absurdalne i naruszające resztki pozostawionej im wolności osobistej.<sup>80</sup> Znaczenie nadawane obrzędom przez polskich deportowanych początkowo budziło duże zdziwienie nie tylko przedstawicieli administracji radzieckiej, ale też miejscowej ludności, która w niemałym stopniu odwykła już od celebracji życia i jego kolejnych etapów – ze śmiercią włącznie. Podobnie wielu Polaków było zaskoczonych i oburzonych tym, że Rosjanie tak małą wagę przywiązywali do kultu zmarłych, oddawania czci ich pamięci oraz dbałości o groby; niejednokrotnie dawali temu wyraz w swoich wspomnieniach, np.:

Nie ma krzyży, czasem ktoś postawi, później spalą, partyjnemu na kiju czerwona gwiazdę pięcioramienną postawią, kij zgnije lub dzieci wyrwą, ziemia zrówna się, nic nie widać. Nad mogiłą kiedy chowają, żona lub matka albo siostra, zawodzi żalonym wielkim śpiewającym głosem z płaczem narzekaniem daleko słychać.<sup>81</sup>

Trudno jednak na podstawie kilku utrwalonych przez zesłańców opisów generalizować podejście narodu rosyjskiego do śmierci i zmarłych, tym bardziej że istnieją także liczne narracje ukazujących to zagadnienie w nieco innym kontekście. Opisy te zwracają uwagę na duże wzruszenie towarzyszące miejscowej ludności, która wręcz zazdrościła Polakom ich tradycji i zwyczajów, a nierzadko nawet sama włączała się w uczestnictwo w niektórych z nich. Jedna z deportowanych kobiet wspominała:

Na cmentarzu w stepie, kiedyś poświęconym przez popa, stały tylko gwiazdy. Włodek niósł krzyż na początku procesji, a nasze panienki trumienkę. Za nimi szli wszyscy nasi rodacy i śpiewali, a głos niósł się po stepie wysoko i daleko. Na ten pogrzeb biegły też Sowietki z dziećmi. Płakały, nie za moim synkiem, lecz za swoją przeszłością. Mówiły: „I u nas tak kiedyś chowali. Teraz nie wolno”.<sup>82</sup>

Wobec nieobecności duchownych katolickich, jeśli tylko była taka możliwość korzystano z posługi popów, gdy przebywali oni w bliskiej okolicy. Jeden z zesłańców wspominał nawet o zorganizowaniu specjalnej zbiórki funduszy na pogrzeb z prawosławnym kapłanem, a inny o sprzedaży przydziałowego tytoniu i opłaceniu za uzyskane pieniądze *swiaszczennika* (duchownego), aby ten pomodlił się nad zwłokami ojca.<sup>83</sup> Najczęściej jednak wyczekiwano okazji, gdy w okolicy przebywał ksiądz katolicki, wtedy też dokonywano zbiorowego obrzędu poświęcenia wszystkich mogił rodaków pochowanych na miejscowym cmentarzu. Wielu deportowanych wspominało o tym z ulgą i radością, gdyż jak pod-

<sup>79</sup> Por. S. Paluch, op. cit., s. 88.

<sup>80</sup> Autor wspominał, że po pogrzebie ojca odwiedził ich komendant i próbował krzykiem i straszaniem wymusić usunięcie krzyża z grobu. Polecenia tego nie wykonano, ale rodziny również nie ukarano. S. Paluch, op. cit., s. 91; por. Ł. Łowicka, *Garść ziemi*, AN PTL, sygn. 143/s, s. 12-13.

<sup>81</sup> J. Łuszczek, op. cit., s. 188.

<sup>82</sup> Ł. Łowicka, op. cit., s. 12-13.

<sup>83</sup> T. Fudała, op. cit., s. 51.

kreślali, przed dopełnieniem tego rytuału towarzyszyło im dokuczliwe poczucie niepokoju o duszę zmarłego, która jak się obawiano, mogłaby po wieki wieków błąkać się „po zesłaniu”<sup>84</sup>

Obrzędowość pogrzebowa na osiedleniu przeważnie sprowadzała się do odprowadzenia umrzyka na miejsce pochówku oraz mówienia modlitwy za jego duszę, sporadycznie zaś do odśpiewania pieśni żałobnych. W Kazachstanie, gdzie na rozległym stepie nie rosły drzewa, problemem było zdobycie drewna na trumnę, które było towarem deficytowym, stąd też większość deportowanych w te rejony Polaków wspominało o niedogodnościach z tym związanych. Wobec braku możliwości zakupu kilku nawet desek na zabicie prowizorycznej skrzyni czy też platformy,<sup>85</sup> nieboszczyka zanoszono na cmentarz w kocu albo prześcieradle i wrzucano bezpośrednio do wykopanego dołu.<sup>86</sup> Za każdym razem wzbudzało to jednak w zesłańcach zażenowanie i świadomość naruszenia tradycyjnej formy pochówku, dla której trumna była jednym z ważniejszych atrybutów przypisanych śmierci i zmarłemu. Z tego powodu zadawano sobie sporo trudu, aby zdobyć choć kilka deszczulek niezbędnych do zbiccia skrzyni. Nierzadko posuwano się nawet do kradzieży, dewastacji czy też wyprzedawania się z ostatnich wartościowych sprzętów, za które w innej sytuacji można było zakupić pożywienie. Zdarzało się, że zdesperowana rodzina decydowała się na rozbicie jedynej posiadanej pryczy, aby uzyskać deski na trumnę.<sup>87</sup> Tradycyjne wyznaczniki „dobrej śmierci” rozumianej w kategoriach potocznego stwierdzenia „umrzeć jak należy”, w warunkach zesłania wzbogacały się o jeszcze jeden, który można by nazwać „być pochowanym w trumnie”. Wiele wyrzeczeń ponoszono, aby spełnić ten warunek, jakkolwiek głównie od operatywności członków rodziny zmarłego zależało, czy się powiedzie. Liczne relacje przekonują jednak, że była to kwestia dalece nieobojętna zesłańcom, np.:

Muszę jeszcze wspomnieć, że Mama była pochowana w trumnie. Oto z półek magazynowych jeden Polak zrobił zwykłą pakę, gdy nie miał odpowiednich narzędzi. Nie mogliśmy się pogodzić, by naszą mamę pochować zawiniętą w koc.<sup>88</sup>

Obecność najbliższych krewnych zapewniała, chociażby w najmniejszym stopniu, że zmarły zostanie pochowany w odpowiedni sposób. W innym bowiem przypadku zdarzały się liczne nadużycia wobec nieboszczyka i jego rodziny, np.:

Leżał biedny na pryczy miał otwarte oczy, twarz skrzywioną. Widocznie cierpiał, widocznie kogoś o coś prosił, ale nikt jego głosu nie słyszał. Umarł w samotności, daleko od kraju, daleko od rodziny. [...] W kołchozowej stolarni

<sup>84</sup> D. Glezner, op. cit., s.4.

<sup>85</sup> Por. J. Winnicki, op. cit., s. 24; T. Fudała, op. cit., s. 26.

<sup>86</sup> Por. L. Kałuża, op. cit., s. 13-14; J. Strączkowska-Saj, op. cit., s. 5; J. Mrowiński, *Obrazki z dzieciństwa (okres 1940-1946)*, AN PTL, sygn. 139/s, 12.

<sup>87</sup> B. Baj, *(I Opowiadanie Bolesław Tur)*, op. cit., s. 2.

<sup>88</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 14.

zrobiono mu trumnę. Załatwiono u Hnidenki na tę trumnę deski. [...] Ale później się okazało, że trumna wyszła za mała. Ciało nieboszczyka nie mieściło się do niej. Po czasie wyszło szydło z worka, stolarze w kolchozie też chcą żyć i ... skręcili dla siebie trochę naszego przydziału na trumnę. Potwierdziła się tu stara prawda, że żeby tu żyć, trzeba kombinować. Ci nawet okradli nieboszczyka.<sup>89</sup>

Szczególnie rażące były przypadki, w których dochodziło do jawnej desakralizacji zwłok czy też nawet do celowego ich zhańbienia i pozbawienia godności przypisanej człowiekowi i jego śmierci:

Do nogi trupa przywiązali sznur i konie ciągnęły go, bez żadnej trumny. W tym czasie były straszne śniegi. Takie pogrzeby naszych ludzi odbywały się często. Gdzie w naszym państwie było nie do pomyślenia, żeby traktować ludzi jeszcze gorzej, jak zwierzęta. To było nieludzkie.<sup>90</sup>

Jakkolwiek można się zgodzić z ostatnim zdaniem przytoczonej reakcji, to zastanawia brak reakcji ze strony rodaków podążających w tym „kondukcje pogrzebowym”. Czyżby proces oswojenia się z nienormalnością i adaptacja do warunków na zesłaniu był tak daleko idący, że słabła zdolność oceny określonych zdarzeń w kategoriach etyczno-moralnych? Być może zdawano sobie sprawę z bezsensu reakcji i nieadekwatności w tych warunkach tradycyjnych norm i wartości. Nie usprawiedliwia to jednak zbiorowej znieczulicy, która w przypadku zesłańców przypuszczalnie była efektem długotrwałego pozbawiania ich poczucia godności i szacunku należnego jednostce ludzkiej. Dopelnianie obrządków pogrzebowych przede wszystkim jednak utrudniały ograniczenia klimatyczne i środowiskowe. Tym też w znacznym stopniu można interpretować reifikujące podejście do zwłok, które w tych warunkach stawały się balastem, którego należało się, jak najszybciej pozbyć. Nie wyklucza to jednak, że niezależnie od tego, starano się zachowywać zgodnie z wymogami tradycji i religii, czego dowodzi wiele opisów deportacyjnej codzienności:

Niestety, mróz spowodował, że ziemia na cmentarzu była twardości skały. Gdy przyniosłyśmy we dwójkę zwłoki owinięte w prześcieradło, dół okazał się za mały. Na siłę przygięłyśmy kolana i ustawiły zwłoki w pozycji półsiedzącej tak, że wierzch głowy i kolan wystawał ponad powierzchnię gruntu. Przysypałyśmy ciało zlodowaciałą ziemią, wydobytą przy wykopywaniu mogiły. Po kilku dniach, gdy poszłam na cmentarz sprawdzić stan grobu, zobaczyłam ohydę: grób rozkopany przez zgłodniałe wilki, a kawałki ciała i strzępy wnętrzości porozciągane dookoła.<sup>91</sup>

Wiele uwagi i starań poświęcano także wizualnym oznaczeniom miejsc pochówków i mogiłam. Również i w tym przypadku w uprzywilejowanej pozycji byli zmarli, którzy posiadali bliskich, gdyż tylko oni mogli zadbać o zabezpieczenie grobu przed drapieżnikami i oznaczenie go symboliką religijną. Nawet gdy nie było dostępu do drewna, starano się

<sup>89</sup> R. Gaik, op. cit., s. 291.

<sup>90</sup> A. Kluz, *Wspomnienia*, AN PTL, sygn. 120/s, s. 4-5.

<sup>91</sup> A. Bezrąk, op. cit., s. 19-20.



skonstruować chociażby prowizoryczny krzyżyk, który umieszczano na grobie. Zdarzało się, że wykonywano go z gałązek, patyków, drutu, rur metalowych, usypywano z kamyków lub malowano czy też wypalano na nieheblowanej desce kładzonej na kopczyku.<sup>92</sup> Bywało, że wyplatano wieńce pogrzebowe, np. z suchych traw, gałązek, piołunu albo okrywano mogiłę stepowym kwieciem.<sup>93</sup> Często jednak nie było takich możliwości i zmarłych chowano bez krzyża i bez oznaczeń wskazujących kto w danym miejscu leży.<sup>94</sup> Najczęstszym problemem związanym z przygotowaniem grobu było jego wykopanie, zwłaszcza zimą, gdy gleba nie dawała się naruszyć ani kilofem, ani łomem. Najskuteczniejszym sposobem w takiej sytuacji była metoda zapożyczona od miejscowych. Polegała ona na naprzemiennym paleniu ogniska w danym miejscu i kopaniu dołu. Nawet i tą techniką nie zawsze jednak można było uzyskać minimalną głębokość wynoszącą jeden metr, poza tym czynność ta zabierała wiele czasu – bywało że i do dwóch dni.<sup>95</sup> W takich warunkach zdarzało się, że zwłoki chowano w śnieżnym puchu, usypując z niego mogiłę i dopiero wiosną, gdy topniejący śnieg odsłonił ciało, to przekopywano je do grobu w ziemi. Bywało też, że ślad po nieboszczyku ginął i nie dawało się go odnaleźć<sup>96</sup> bądź w jego miejscu znajdowano obgryzione przez zwierzęta kości i czaszkę ludzką.<sup>97</sup> Jedna z zesłanych kobiet wspomina o dużej liczbie szakali, których łepki sterczały z norek wrytych przez nie w górze cementarnej, na której zrobiły sobie żerowisko padliny.<sup>98</sup>

W przypadku Kazachstanu dodatkowym problemem związanym z wykopaniem grobu bywał osypujący się i wywiewany przez burany piasek czy też przeciwnie – kamienisty grunt powodujący, że doły były płytkie. Zabezpieczając mogiły przed tymi czynnikami okładano je kamieniami, wypalonym żwirem, sadzono krzaki, otaczano drutem lub innymi dostępnymi materiałami, jak np. deski, pale, żelazne rury itp.<sup>99</sup> Czasami jednak nawet i takie zabiegi nie chroniły miejsc pochówków przed dewastacją, a niektóre z opisanych przez zesłańców wspomnień bez zbytnej przesady można uznać za przykłady wynaturzenia i degradacji moralnej:

Po cmentarzu chodziło bydło, deptało groby. Poprawiałam grób matki. [...] Na ten cmentarz przywożono trupów na platformach, po piętnastu i więcej i wrzucano do wykopanych dołów. Ofiary były przeważnie bez ubrań, jedna kobieta miała na sobie tylko czerwoną spódnicę. Pamiętam taki grób, po prostu dół, w nim woda, a w wodzie ciało nagiej kobiety leżącej twarzą do dołu, kobieta

<sup>92</sup> Por. Z. Zimny, op. cit., s. 22; J. Winnicki, op. cit., s. 25;

<sup>93</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 14; por. Z. Zimny, op. cit., s. 22; S. Paluch, op. cit., s. 90; W. Szybiński, *Najdłuższa opowieść*, [w:] *Syberia: poza...*, op. cit., s. 50.

<sup>94</sup> U. Gawlikowska-Możejko, op. cit., s. 15.

<sup>95</sup> T. Fudała, op. cit., s. 26; S. Paluch, op. cit., s. 90.

<sup>96</sup> R. Gaik, op. cit., s. 291.

<sup>97</sup> J. Mrowiński, op. cit., s. 12; por. R. Marcinkowski, op. cit., s. 247.

<sup>98</sup> D. Nowakowska, op. cit., s. 13.

<sup>99</sup> Por. T. Mikulski, op. cit., s. 269; Z. Użycki, *Syberia, nie wierzy łzom. Wspomnienia zesłańca*, Warszawa 2002, s. 116.

miała śliczne, długie, czarne włosy, które pływały na wodzie. Dzieci podkładały pod ciało kołek i kołysały je na wodzie. Był to widok przerażający.<sup>100</sup>

Przebieg obrzędowości pogrzebowej wśród przesiedlonych do ZSRR Polaków przeważnie był bardzo skromny i w znacznym stopniu okrojony w stosunku do rytuału religijnego odbywającego się w normalnych warunkach. W początkowym okresie bardzo dbano o jego katolicki i uroczysty charakter, stąd też przestrzegano, aby na czele konduktu niesiony był krzyż wykonany z drewna, a za nim szli mężczyźni niosący na ramionach trumnę. Następnie kroczyli rodacy śpiewając pieśni religijne. Nad grobem zdawano modlitwę, czasami ktoś wygłosił mowę pożegnalną, wszystkim zaś towarzyszył smutek i żal za zmarłym, który nie doczekał powrotu do kraju. Z czasem, gdy zgony stawały się coraz częstsze i były niemalże na porządku dziennym, również i pogrzeby powszedniały. Uczestniczyła w nich już tylko najbliższa rodzina, a niekiedy zaledwie jedna osoba. W miarę przedłużającego się wysiedlenia rytuały pożegnalne stawały się coraz bardziej samotne i przygnębiające.<sup>101</sup> Władze radzieckie na ogół odmawiały rodzinom zmarłych wydania aktu zgonu i nie odnotowywały tego faktu w oficjalnych dokumentach, na ogół tylko komendant nadzorujący pracę zesłańców uaktualniał swój rejestr.<sup>102</sup> Niewykluczone, że procedura ta miała znaczny wpływ na zaniżone oszacowania śmiertelności wśród deportowanych Polaków, szczególnie wtedy, gdy opracowywane były one na podstawie danych NKWD.

### Miejsca pochówków i cmentarze

Doświadczenie straty bliskiej osoby było tak powszechne w trakcie wywózki, że do wyjątków należały osoby, które nikogo nie oplakiwano. Oblicza umierania były przy tym na tyle przykre i obciążające psychicznie, że głęboki żal za nieboszczykiem noszono przez wiele miesięcy, a często nawet do końca życia. Pewnym rodzajem znamiennej dla przesiedleńców żaloby, była trauma pozesłaniowa, z którą musieli sobie poradzić (na ogół samotnie i nie zawsze skutecznie) po powrocie do kraju. Efektem doznanych przez nich urazów psychicznych i wstrząsów emocjonalnych (mówiąc językiem psychologicznym „nieprzepracowanej straty” czy też „wypartego żalu”)<sup>103</sup> mogą być świadectwa niepowodzeń życiowych, o których wspominają w swoich narracjach. Egzystencja na zesłaniu pochłaniała znaczne zasoby sił mentalnych i fizycznych oraz po-

<sup>100</sup> L. Kałuża, op. cit., s. 13-14.

<sup>101</sup> Por. *Pisma rodziny Terajewiczów*, Archiwum Muzeum Niepodległości (dalej: MN), sygn. 6 (Zapiski różne Terajewiczów), k. 4, 6-7; D. Kleinrok, AW, I/ 1575/1k, s. 4-5, 14.

<sup>102</sup> Por. T. Fudała, op. cit., s. 25; S. Paluch, op. cit., s. 90.

<sup>103</sup> Por. K. Kość, *Kulturowe i psychologiczne uwarunkowania żaloby*, [w:] *Problemy współczesnej tanatologii. Medycyna. Antropologia kultury. Humanistyka*, red. J. Kolbuszewski, t. VIII, Wrocław 2004, s. 180-181; por. A. Heben, *Doświadczenie żaloby*, Poznań 2001, s. 21-23.

wodowała, że chcąc przeżyć, człowiek nie mógł poddawać się długotrwałemu zniechęceniu i rozpacz, ale jak najszybciej musiał się na powrót włączyć w wir codziennego życia. W tej sytuacji najbardziej widoczną formą żałoby była troska i dbałość o cmentarze oraz przykrość związana z koniecznością pozostawienia ich po wyjeździe do Polski. Paradoksalnie nawet przeżywanie straty urastało do rangi luksusu, na który nie wszyscy mogli sobie pozwolić.

Powiadają, że stosunek ludzi do zmarłych oraz do miejsc pochówków jest miarą i odwzorowaniem ich podejścia do żywych oraz wyznawanych przez nich wartości. Tam bowiem, gdzie śmierć nie ma poważania i szacunku, trudno mówić o nim również w stosunku do życia. Bez względu na to ile prawdy jest w obiegowych opiniach i mądrościach ludowych, faktem jest, że grób pozostaje jedynym widocznym znakiem obecności umarłych wśród żyjących. Świadomość tego stanowiła jedno ze źródeł kultu grobów i cmentarzy w różnych kulturach. Już sama etymologia słowa „nekropolia” (miasto umarłych) sugeruje, iż stanowią one realne dzielnice obcowania śmierci w świecie żywych, z tym że śmierci „oblaskawionej”, a więc niegroźnej. Biorąc pod uwagę, że kult grobów jest bardzo silnie zakorzeniony w kulturze i tradycji polskiej, nie dziwi zbytnio troska zesłańców i ich obawy związane z losem mogił pozostawionych na prowizorycznych cmentarzach. W większości przypadków repatrianci zdawali sobie sprawę, że już nigdy nie powrócą na miejsce pogrzebania swych bliskich, nie zmówią nad nimi modlitwy, nie zapalą znicza i nie zapłaczą. Co więcej, mieli wszelkie podstawy, aby przypuszczać, że nie dogładane przez nikogo mogiły wkrótce zaginą w pochłaniającej wszystko tajdze albo zostaną zniszczone przez zwierzyńnię, burany, opady śniegu, wylewające rzeki czy też po prostu przez czas.

Zesłańcze cmentarze powstawały w miarę przybywania pierwszych ofiar deportacji. Czasami bywało, że w okolicy osiedlenia Polaków już wcześniej istniało miejsce grzebalne, na którym wyznaczano kwaterę dla przesiedleńców. W innych przypadkach ludzie sami je zakładali albo po prostu przybywające w szybkim tempie groby lokowane były w pobliżu pierwszej mogiły. Zdarzało się też, że wobec braku wydzielonych miejsc pochówków, cały zesłańczy szlak wywózki naznaczony był przez samotne, pojedyncze kopczyki. W przypadku samodzielnego zakładania cmentarzy starano się wybierać na ten cel miejsca nieprzypadkowe, przyjemne i ustronne, np. na wzniesieniu, pod lasem, na polanie itp.<sup>104</sup> Wydzielone placówki zapelniały się w szybkim tempie i wkrótce zyskiwały miano „polskich cmentarzy”.<sup>105</sup> Miejsca te jednak pod każdym względem różniły się od nekropolii znanych z kraju. Tutaj grób zastępowała często mała kupka piachu, ubitego śniegu czy wetknięty w ziemię patyk albo też de-

<sup>104</sup> B. Baj, (*X Opowiadanie Felicja Pokrop zd. Wąsowicz*), op. cit., s. 6-7, 10; (*XI Opowiadanie Tadeusz M.*), s. 4; por. E. Łobaza, op. cit., s. 3.

<sup>105</sup> J. Stefanik, op. cit., s. 12.

ska z wyrytym na niej nazwiskiem zmarłego, jak np. w zachowanym wspomnieniu:

Miejsce to trudno nazwać cmentarzem. Na poboczu kolchozu porośnięty wysokim piolunem i pokrzywami placyk, gdzie słabo widoczne kopce mogił znały zmurszałe kije, świadczące o podobnej pamięci. Na tym cmentarzu złożyliśmy przyjaciela, okrywając mogiłę stepowym kwiatem, a z sobą zabierając smutek i wspomnienie po nim.<sup>106</sup>

Szczególnie dramatycznym i bolesnym momentem dla zesłańców była chwila pożegnania się z grobami bliskich, którzy już na zawsze musieli pozostać w obcej i nieprzyjaznej ziemi, z dala od bliskich osób i rodzinnych stron.<sup>107</sup> Przygnębienie towarzyszące deportowanym w znacznym stopniu kładło się cieniem na radość związaną z powrotem do utęsknionej ojczyzny.<sup>108</sup> Te ostatnie odwiedziny na polskich grobach bardzo często są wspomniane przez zesłańców jako głęboko wzruszające i smutne.<sup>109</sup> Wielu z nich zdawało sobie sprawę, że mogą się uważać za szczęściarzy, gdyż przetrwanie deportacji było wygranym losem na loterii życia lub darowaną od Boga szansą. Świadomość tego towarzyszyła im niejednokrotnie nawet przez całe dalsze życie, a szczególnie mocno ciążyła w pierwszych latach po powrocie do kraju, gdy zastana rzeczywistość nie zawsze odpowiadała wymarzonej i często rozczarowywała. W swojej książce nawiązuje do tego również M. J. Dudziak:

Przeżycie – to był okrutny przywilej. Za sobą zostawiało się wielu bliskich, za cenę własnego przeżycia, musiało zginąć wielu. I to nie dlatego, że „z góry” było wiadomo, że istniały ekstremalne dla człowieka warunki egzystencji – choć to prawda – ale dlatego, że ci co umierali pozbawiali się najczęściej marzeń o przyszłości. Nie tych wielkich marzeń, o dalekiej przyszłości, lecz marzeń najczęstszych, codziennych, które pozwalały przeżyć.<sup>110</sup>

Wiele obaw dotyczących grobów pozostawionych na cmentarzach w odległych zakątkach ZSRR ziściło się w bardzo krótkim czasie o czym donosili w listach do repatriowanych Polaków pozostawieni na miejscu zesłania znajomi. Tylko nieliczne przetrwały w szczątkowej formie zardzewiałych lub zmurszałych krzyży, o czym dowiadawali się przypadkowo po latach.<sup>111</sup> Niektórym dane było bezpośrednio odwiedzić miejsca przesiedlenia. Interesującym zapisem takiej podróży sentymentalnej w poszukiwaniu śladów polskich zesłańców w Kazachstanie jest praca pt.: *Fotografia zbiorowa Polaków deportowanych do okręgu pawłodarskiego*, pod redakcją T. Mikulskiego. Autor ten umieścił w niej spis rodaków pocho-

<sup>106</sup> Z. Zimny, op. cit., s. 22; por. U. Gawlikowska-Możejko, op. cit., s. 15.

<sup>107</sup> Jeden z zesłańców wspomina moment pożegnania z grobami bliskich osób: „Nie ma takich słów, które mogłyby wyrazić ból polskich matek, których zmarłe z głodu dzieci na zawsze pozostały w syberyjskiej tajdze. Na ich mogiłkach nikt nigdy nie zapalił świecy ani nie odmówił modlitwy, gdyż są one porośnięte runem leśnym, krzewami, a nawet rosną na tych miejscach drzewa”. Zob. S. Paluch, op. cit., s. 94.

<sup>108</sup> Por. Ł. Łowicka, op. cit., s. 13; por. D. Nowakowska, op. cit., s. 11, 12.

<sup>109</sup> Por. W. Vrabc, op. cit., s. 6; B. Rubaszewska, *Pomnik Stalina*, [w:] *Syberia: poza...*, op. cit., s. 30.

<sup>110</sup> M. J. Dudziak, *Syberia: poza...*, op. cit., s. 110.

<sup>111</sup> Zob. J. Stefanik, op. cit., s. 14.

wanych na cmentarzu w Majkainie (zarówno wspomnianych w wykazie zatytułowanym „Komendantura Majkain”, jak i nieuwzględnionych w nim), łącznie z numerami aktów zgonu. Szczególnie interesujące są spostrzeżenia i zapiski autora poczynione na podstawie zachowanych po 50 latach pozostałości po pochowanych na tym cmentarzu Polakach.<sup>112</sup>

Z jego obserwacji wynikało, że dotychczas zachowało się ok. 30–40 zesłańczych grobów, o czym świadczą m.in. tabliczki znamionowe, wykonane w większości z blachy aluminiowej lub żelaznej ocynkowanej. Najczęściej przetrwały wywieszki, na których litery i cyfry wybito punktakiem, przecinakiem lub też przyspawano; jeśli inskrypcje malowane były farbami, to na ogół po tylu latach były już nie do odczytania. Tabliczki nagrobne różniły się między sobą kształtem, i występowały zarówno prostokątne, w kształcie serca, jak i wieloramiennej gwiazdy itp.<sup>113</sup> Autora po cmentarzu oprowadzała jedna z dotychczas mieszkających w Majkainie zesłanych kobiet (od wywózki w 1940 r.) – p. Tomaszewska-Ałtibajewa. Opiekuje się ona grobem swojego ojca Józefa (1901-1942), a przy okazji również i innych Polaków tutaj pochowanych. Lokalną zasadą jest, że na miejscu wcześniejszych grobów nie dokonuje się pochówków. Na niektórych jeszcze dotychczas zachowały się z takim trudem stawiane krzyże wykonane z prętów stalowych lub rur wodociągowych; wiele z nich jednak, to już tylko niewielkie pagóreczki.<sup>114</sup>

### Zakończenie

Analiza relacji zesłańczych dowodzi, że nawet w sytuacjach nieprzychylnych zachowaniom zgodnym z tradycyjnym kodeksem norm i wartości, Polacy wykazywali silne przywiązanie do nich. Dotyczyło to zwłaszcza obrzędów pogrzebowych. Jakkolwiek można się zastanawiać, jakie to miało znaczenie, przy całej masowej machinie umierania i dehumanizacji kresu życia ludzkiego w trakcie wywózki, to wspomnienia zesłańcze jednoznacznie pokazują, że dla tych ludzi miało to elementarny sens. Na tych fragmentach normalności i przekonaniu, że „tak należy”, bo „tak jest po bożemu”, opierały się resztki ich i poczucia godności i równowagi psychicznej. Tradycja i religia w tych warunkach stawały się bastionem chroniącym przed wynaturzeniem w systemie, który aprobeował wyrzucanie martwych ciał na sterty przypominające wysypiska śmieci (tutaj śmierci). Przeżycie deportacji i powrót do kraju w znacznym stopniu był dziełem przypadku, a według wierzących – Opatrzności Bożej; tym niemniej poza samym przetrwaniem biologicznym istotna była również jakość życia. Świadomość tego nieobca była deportowanym do ZSRR Polakom, o czym bezsprzecznie przekonują spisane po latach relacje.

<sup>112</sup> T. Mikulski, op. cit., s. 560-563.

<sup>113</sup> Ibidem, s. 563.

<sup>114</sup> Ibidem, s. 564-565. Autor zamieścił również szkice niektórych z zachowanych tabliczek wraz z inskrypcjami umieszczonymi na nich.

---

ANTONI KUCZYŃSKI

## GDZIE STEP SZEROKI – Z DZIEJÓW ZWIAZKÓW POLSKO-KAZACHSKICH. Część II

### W kręgu badaczy kazachskiego prawa zwyczajowego

Polskie opisanie Kazachstanu w XIX i początkach XX stulecia to wielość wątków problemowych, takich jak informacje o kulturze, prace rozpoznawcze dotyczące zasobów surowców naturalnych, działalność kulturalna, gospodarcza, administracyjna i wojskowa. Omawiane zagadnienia z tego zakresu dotyczą niektórych obszarów badawczych i już tylko z tego tytułu tworzą mozaikę lepiej lub gorzej opisanych tematów. W jedno z tych zagadnień, dotyczące prawa zwyczajowego Kazachów, wpisał się Polak Andrzej Szerszeniewicz słuchacz Szkoły Języków Wschodnich w Odessie. Stopień wiedzy o jego dokonaniach badawczych jest zaledwie szczątkowy i opiera się na informacjach zawartych w artykule W. Z. Galijewa z Ałmaty.<sup>1</sup> Ważne jednak jest, że to kazachski uczony identyfikuje go jako Polaka w służbie rosyjskiej i wpisuje jego badania nad prawem zwyczajowym Kazachów w program kontynuacji tych działań, liczących się na gruncie ówczesnej nauki rosyjskiej. Służbę urzędniczą A. Szerszeniewicz rozpoczynał jako tłumacz języka tureckiego w Urzędzie Gubernialnym w Noworosyjsku (1834), następnie w latach 1837-1845 pracował w Tobolsku jako urzędnik do specjalnych zadań przy gubernatorze Zachodniej Syberii. Opracowywał wówczas stosowne dokumenty, mające regulować system zarządzania ludami koczowniczymi tej części Syberii. Był to temat dotyczący ważnej sfery życia tych autochtonicznych etnosów, nie zmienia to jednak narzucającej się opinii, iż główna idea tego opracowania jawi się jako przedsięwzięcie służące w istocie rzeczy do ograniczenia autonomiczności zwyczajowych form życia tubylców, po prostu do rosyjskiej kolonizacji tych obszarów. Realizm, albo inaczej konkretność, charakteryzowały treść jego opracowań, zwłaszcza że były one rezultatem badań terenowych, dających dobre rozpoznanie co do zwyczajów i obyczajów ludów, wśród których przebywał, wzbogacone urzędniczą pracowitością. Rozliczne potrzeby związane z opraco-

---

<sup>1</sup> W. Z. Galijew, *Józef Osmołowski w Kazachstanie*, [w:] *Polacy w Kazachstanie. Historia ...*, s. 191.

wywanym zagadnieniem narzucały konieczność podróżowania, tak więc mobilność ta wynikała z powinności zawodowej utrzymywania kontaktów z tamtejszą ludnością tubylczą i doświadczania w jakimś sensie ich życia. Wkrótce więc zlecono mu kolejną misję. W Orenburskiej Komisji Granicznej zajmowano się zbieraniem i kompletowaniem wiadomości na temat kazachskiego prawa zwyczajowego. Wyjechał więc do Orenburga i w 1845 roku pracował w Komisji jako urzędnik, a od 1847 roku był pracownikiem w kancelarii orenburskiego i samarskiego gubernatora wojskowego, któremu szczególnie zależało na dobrym rozpoznaniu sytuacji w terenie, dotyczącej nastrojów wśród ludności kazachskiej i miejscowych rodowych władców. Te czynności rozpoznawcze wynikały z faktu przenikania Rosjan na te obszary i należało zapewnić im bezpieczeństwo. Toteż dlatego A. Szerszeniewicz otrzymał zadanie przygotowania programu prac nad gromadzeniem materiałów dotyczących różnych aspektów prawa zwyczajowego Kazachów, regulujących społeczne i wierzeniowe sfery ich życia oraz lokalnych tradycji z tym związanych. I znowu, tak jak poprzednio, gdy był w Tobolsku, rozpoczęła się jego wędrówka do tubylczych aulów. W poszukiwaniu znaczeń i funkcji zwyczajowych norm prawnych docierał w rozległe rejony stepów, by najpierw zgromadzić materiał, a potem dokonać rozróżnień i interpretacji oraz budzić dalsze niepokoje poznawcze. To wszystko było przecież istotne dla zrealizowania powierzonego mu zadania, z szacunkiem do szczegółów. Sporządzony opis miał bowiem zawierać konstytuowanie określonych norm zwyczajowych, w których przenikały się już pewne elementy religii muzułmańskiej, tj. adatu i szariat. A. Szerszeniewicz, tworząc program badania tego kulturowo-wierzeniowego fenomenu, uwzględnił w nim zagadnienia dotyczące sądów i sądownictwa, religijności, roli bejów i duchowieństwa, rady starszych, rodzajów przestępstw i kar za nie, prawa rodzinnego, opieki, wymiany towarów itp. Czy materiały te zostały w jakiś sposób wykorzystane przez miejscową administrację? Nie wiadomo. Natomiast ich zawartość znana jest dobrze, jako że zachowały się one w archiwach do naszych dni i warte są udostępnienia w formie edycji książkowej.

Przemieszczanie się między odmętami czasu, w którym polscy zesłańcy mieli sposobność poznawania Kazachstanu i tworzyli wiedzę o kulturze ludzi stepu, jest stosowną okazją, by w miejscu tym wspomnieć o kolejnych profesjonalnych badaniach z tej dziedziny. Prowadził je Karol Gutkowski (1815-1867), syn emerytowanego porucznika wojsk polskich, absolwent Korpusu Kadetów oraz Nikołajewskiej Akademii Wojskowej Sztabu Generalnego w Petersburgu. Jego zawodowe losy przeplatały się ze służbą wojskową w Kazachstanie. W 1838 roku rozpoczął ją jako adiutant generała-gubernatora Syberii Zachodniej Piotra Gorczkowa, później natomiast mianowano go zastępcą wojskowego gubernatora obwodu semipałatyńskiego. W latach 1851-1863 był naczelnikiem obwodowego Zarządu Kazachów Syberyjskich. Ważnym wątkiem jego dzia-

łałności zawodowej były wykłady z dziedziny fortyfikacji, geografii i geodezji w Syberyjskim Korpusie Kadetów w Omsku. Nie tworzyło to żadnej rozbieżności z jego licznymi obowiązkami logistyczno-administracyjnymi, wręcz przeciwnie – miało podstawowe znaczenie dla istoty pracy pedagogicznej i dowódczej funkcji poprzez powstawanie sieci ważnych kontaktów i więzi społecznych. Wśród słuchaczy Korpusu Kadetów był Kazach Czokan Walichanow (1835-1865), który mimo swego krótkiego życia zdobył sławę zdolnego publicysty i uczonego. Interesował się etnografią, historią i folklorem Azji Środkowej, brał udział w pracach przygotowujących reformę sądownictwa kazachskiego oraz prowadził wyprawę naukową do Kaszgaru. Jego biografowie są zdania, że pozostawał pod wpływem K. Gutkowskiego, który jeszcze podczas nauki w Korpusie Kadetów zwrócił na niego uwagę jako zdolnego słuchacza i w pewien sposób przyczynił się do jego kariery i rozwoju osobowości. Stał on bowiem na stanowisku, że właśnie Cz. Walichanow, syn kazachskiego narodu, może być wzorem do naśladowania w zakresie pełniejszego dostępu do szkół umożliwiających kształcenie młodzieży wywodzącej się z rdzennych narodowości, które skutkiem polityki kolonizacyjnej znalazły się w państwowej strukturze Rosji. Takie poglądy były wówczas raczej odosobnione, zatem i K. Gutkowski nie pozyskiwał dla nich pełniejszej aprobaty. W moim przekonaniu ta niepopularna wówczas próba zmiany sytuacji w tym zakresie została przedstawiona z dużym obiektywizmem i rzeczowością opatrzoną postulowaną koniecznością tworzenia wykształconych kadr w obrębie kazachskiego narodu. Przykład Cz. Walichanowa umacniał go w tych poglądach, a po śmierci tego młodego badacza czynił starania w Rosyjskim Towarzystwie Geograficznym, by opublikowało ono wyniki jego ekspedycji do Kaszgaru, które wcześniej z nim przygotowywał, widząc w tych materiałach wiele wartościowych spostrzeżeń o charakterze kulturowo-strategicznym. Można wręcz powiedzieć, używając pewnego uproszczenia, że los zdarzył o spotkaniu się tych osób, pozostających początkowo w różnych kontekstach społecznych – nauczyciela i ucznia, potem zaś pisarza, poety i przyjaciela, pełnych życzliwości wobec siebie. Obaj bowiem wyznawali zasadę, że powinnością człowieka jest dążenie do humanistycznego wymiaru życia i poszanowanie wartości duchowych wyznawanych przez społeczności o innych językach i kulturze. A gdy się zdarzyło, że K. Gutkowski najprawdopodobniej za wyrażanie poglądów zwalczających korupcję i despotyzm carskich urzędników, popadł w niełaskę Aleksandra Duhamela, generał-gubernatora Syberii Zachodniej w latach 1863-1866 oraz wyższych urzędników z jego otoczenia, w konsekwencji czego utracił urząd naczelnika Obwodowego Zarządu Kazachów Syberyjskich, wówczas Cz. Walichanow napisał do niego:

Bardzo mi żal Pana, Karolu Kazimirowiczu, gdy myślę o warunkach materialnych, w jakich znalazł się Pan. Dokąd się Pan uda? W razie gdyby miał Pan



trudności ze znalezieniem miejsca dla siebie, niech Pan przyjeżdża na lato do nas, póki się Pan nie urządzi. Na Boga, niech Pan nie traci ducha, może wszystko zmieni się na lepsze.<sup>2</sup>

Zdaniem S. Sapargalijewa i W. Dżakowa, znawców stosunków polsko-kazachskich w XIX wieku, ten znany wówczas intelektualista kazachski, cieszący się wielkim autorytetem czynił, starania o pracę dla swojego dawnego nauczyciela w Korpusie Kadetów, co zapewne miało jakiś wpływ, ponieważ K. Gutkowski włączony został do składu komisji powołanej do opracowania projektu zarządzania Krajem Stepowym.<sup>3</sup> Wspomnijmy tu jeszcze o tym, że w Syberyjskim Korpusie Kadetów wykładowcą był drugi Polak Hilary Gaśiewski, i on także miał wpływ na rozwój osobowości Cz. Walichanowa, zwłaszcza w zakresie kształtowania się jego poglądów społeczno-politycznych.<sup>4</sup>

Dopełniając informacji o wojskowej służbie K. Gutkowskiego, podać jeszcze należy, że w kwietniu 1850 roku dowodził on wyprawą zbrojną przeciwko Kokandyjczykom z Ilijskiej Doliny. Miała ona charakter odwetu za zniszczenia dokonane przez nich na terenach podległych kazachskiemu chanowi Touczubekowi. Zresztą służba wojskowa raz po raz stwarzała konieczność wyruszania w teren, by łagodzić różne niepokoje, co dawało możliwość poznania stosunków społecznych panujących wśród Kazachów i było niewątpliwie jej pozytywną wartością. Patrząc na dezaprobatę rosyjskich urzędników w tym zakresie, wiedział, że taki jej wymiar jest rezultatem kolonialnej polityki i w niej widział podstawową przyczynę istniejącego stanu rzeczy. Był więc nie tylko wnikliwym obserwatorem, który poczynił wiele ciekawych spostrzeżeń, ale również rozumiał konieczność zmian istniejącej sytuacji, co powodowało nieuniknione konflikty z urzędnikami administracji carskiej. Konflikty klasowe i powszechna nierówność budziły niepokój tego wnikliwego obserwatora, który z jednej strony widział w stepach bogactwo i przepych w jurtach sułtanów, z drugiej zaś biedę ich podwładnych.

I jeszcze na moment pozostajmy w kręgu spraw związanych z udziałem W. Gutkowskiego w powołanej rządowym dekretem Komisji Stepowej, mającej opracować program rozwoju miejscowej gospodarki oraz zasady administrowania ludnością tubylczą. Odbił wówczas liczne podróże w step do tubylczych osad i uważnie przestudiował obowiązujący wówczas system administrowania na terenach zamieszkałych przez Kazachów. Co do jego funkcjonowania miał wiele zastrzeżeń, dostrzegał bowiem swoisty system dwuwładzy, polegający na administracji rosyjskiej i niekontrolowanych działaniach miejscowych feudalnych władców, którzy byli faktycznymi i absolutnymi panami w terenie, utrzymującymi się dzięki poparciu carskiego rządu.

<sup>2</sup> Cz. Walichanow, *Sobranije soczinienij*, t. 4, Alma-Ata 1968, s. 71.

<sup>3</sup> S. Sapargalijew, W. Dżakow, op. cit., s. 211.

<sup>4</sup> S. Sapargalijew, W. Dżakow, op. cit., s. 214-216.

Receptę na wspomnianą powyżej poprawę tej sytuacji upatrywał w zwiększeniu samorządności w obrębie tubylczych instytucji społecznych, rządowej zaś administracji miałyby podlegać większe i nieskorumpowane funkcje kontrolne. Twierdził, że miejscowi urzędnicy manipulowali sprawozdawczością dla wyższych władz, co nie pozwalało jej uzyskać prawdziwego oglądu istniejącej w stepach rzeczywistości. Ucieczka od tej rzeczywistości i jej klajstrowanie, by nie trwożyć władz wyższych, była powodem swoistego mariażu miejscowych „czynowników” rządowych oraz feudalnych władców i stanowiła bezpośrednią przyczynę braku właściwego pokazania zła tamtego świata oraz grzechów rzeczywistości. Ten załgany obraz składał się na ułomność stepowej jurysdykcji i wedle W. Gutkowskiego uruchamiał regresywne mechanizmy broniące przed naruszeniem istniejącego tabu. Należy tu zaznaczyć, że zdobyte przez niego wiadomości nie ograniczały się do prostych obserwacji, lecz miały charakter pewnych refleksji kulturologicznych i jurysdykcyjnych, dotyczących wielu dziedzin życia kazachskiego ludu. Były więc ciekawym źródłem do poznania zarówno miejscowej rzeczywistości społecznej, jak i tamtejszych stosunków gospodarczych. Widział wyraźną potrzebę pogodzenia tych obcych kulturowo dwóch światów i dopiero w tym kontekście upatrywał realną zmianę sytuacji, którą obserwował wśród autochtonicznych mieszkańców stepu. Pogłosem jego niepopularnych zresztą w owym czasie poglądów na ten temat był obszerny tekst, który opracował wspólnie z A.K. Heinsem, opublikowany pierwotnie w „Wojennym Sborniku”, a później jako fragment szkicu pt. *Kirgiz-Kajsa-ki* w obszernym zbiorze podejmującym wiele różnych wątków społeczno-kulturowych dotyczących Kazachstanu.<sup>5</sup>

W omawianej tu problematyce zwrócić także należy uwagę na działalność Józefa Osmołowskiego (1820-1862), absolwenta orientalistyki Uniwersytetu Kazańskiego, pracującego od 1848 roku w Orenburskiej Komisji Granicznej w charakterze tłumacza. Znał dobrze język kazachski oraz inne języki wschodnie, był obznajomiony z islamem, z dziejami ludów w tej części Azji, ich wierzeniami i kulturą. Jego znaczące osiągnięcia w zakresie badania prawa zwyczajowego Kazachów oraz działalność administracyjną przedstawił dokładnie wspomniany już W. Z. Galijew.<sup>6</sup> J. Osmołowski jako badacz i administrator reprezentował typ urzędnika o rzadko spotykanej na tym odludziu profesji. Interesowały go problemy języka i kultury autochtonicznych etnosów, przeto powierzono mu rozpoznanie norm prawa zwyczajowego Kazachów. Koncentrowały się one w specjalnym programie badawczym kierowanym przez I. A. Andrego, po śmierci którego (1848) spoczęły one na J. Osmołowskim.. Spostrzegawczy i inteligentny, a przy tym pracowity, korzystał z częstych okazji do podróży po stepach, w które wplecione zostały sprawy poznania prawa

<sup>5</sup> *Sobranije literaturnych trudow A. K. Giejnsa*, Sankt-Petersburg 1897.

<sup>6</sup> W. Z. Galijew, op. cit., 1996, s. 189-202.

zwyczajowego. Miał przy tym ostrą świadomość, że zrodziła się dla niego niebywała okoliczność przedstawienia wielopłaszczyznowości miejscowej tradycji, wpływającej na kazachskie normy determinujące określone dziedziny życia społecznego. Nie ulega więc wątpliwości, że najmocniejszą stroną urzędniczej działalności J. Osmołowskiego była możliwość terenowych eksploracji, a w istocie poznawania zwyczajów i obyczajów powiązanych z aurą miejsca i czasu. Często było mu to pomocne w opisach obserwowanej rzeczywistości i jej sensowności, z wyraźnym szacunkiem do szczegółów.

Pierwsze wyznaczone J. Osmołowskiemu zadanie po jego przybyciu do Orenburga dotyczyło rozpoznania wątpliwości Kazachów z rodu Adajewów, koczujących wzdłuż rzek Ust-Urtu i Emby, dotyczącej tego komu mają płacić daninę: chanowi chiwańskiemu (z siedzibą w Chiwie) czy administracji rosyjskiej? Potem przez wiele lat zajmował się badaniem prawa zwyczajowego, w ramach specjalnej komisji. Powierzone zadania wypełniał z należytą starannością, występując z raportami uzasadniającymi dłuższy niż przewidywały to pierwotne ustalenia pobyt w terenie. Widział też potrzebę pewnej rewizji merytorycznej wcześniejszych informacji i w maju 1850 roku wnioskował o oddelegowanie go do Środkowej i Zachodniej Ordy celem sprawdzenia zbioru prawa zwyczajowego i uzupełnienia go o nowe szczegóły. To w zasadniczy sposób wzbogaciło jego wiedzę z tej dziedziny, a znajomość języka tubylców była mu pomocna w tym trudzie. W jednym z takich raportów wnioskował o skierowanie go

do Środkowej i Zachodniej Ordy, jeszcze przed opuszczeniem przez sułtanów-rządców swoich kwater, gdyż trasa ich wędrówek jest bardzo dogodna do sprawdzenia moich danych. Pozwoli to także znaleźć w odległych stepach, a zarazem zbadać zwyczaje panujące między Kirgizami z oddalonych od siebie rodów, gdzie zazwyczaj są one bardziej klarowne. Pozwoli to także obserwować tryb sądowniczy sułtanów i stosowanie panujących w nim zwyczajów. Następnie proszę o oddelegowanie mnie do Wewnętrznej, czyli Bukieriewskiej Ordy w celu ostatecznego porównania zebranych opisów obyczajów, a to najlepiej można uczynić podczas jesiennego jarmarku, na którym zbiorą się wszyscy Kirgizi.<sup>7</sup>

W sumie trzeba stwierdzić, że obserwacje J. Osmołowskiego są cennym i sumiennym materiałem poznawczym z dziedziny prawa zwyczajowego Kazachów, szczególnie jasne i zrozumiałe jest to dla tych, którzy znają szczerpłość zasobów archiwalnych z tego zakresu, dotyczących mniej lub bardziej szczegółowych problemów kodyfikacyjnych. Dlatego też na uznanie winna zasługiwać jego refleksja mówiąca, że w tej dziedzinie można zauważyć nawarstwienia tatarskie, baszkirskie i uzbekie. Wiedząc o tym, wstrzymywał się przed

---

<sup>7</sup> Centralnyj Gosudarstwiennyj Archiw Kazachskoj SRR, f. 4, op. 1, d. 2382, l. 110. Cyt. za: W. Ż. Galijew, op. cit., s. 193.

ogólnym wnioskowaniem na temat obyczajów u Kirgizów i ich stosunku do Koranu i w ogóle do mahometanizmu, ponieważ Kirgizi Wschodniej Ordy, wśród których sporządzono zbiór ich praw, wyraźnie różnią się od pozostałych, tak pod względem oświecenia jak i trybu życia. Ponadto nie należy odrzucać, iż Kirgizi ze Wschodniej Ordy, handlujący nieprzerwanie z innymi narodami, np. z mieszkańcami Buchary, Chiwy, Kokandy czy wreszcie Rosji, nie odczuli obcych wpływów, mogących w znacznym stopniu zmieniać samobytność tego narodu, a więc i jego zwyczaje.<sup>8</sup>

Zdając sobie sprawę z tego, nie pominął żadnej okazji, by bliżej poznać te ewentualne związki, bywało, iż powtórnie powracał w teren aby szczegółowiej zapoznać się z niektórymi zawłościami tego prawa, kontaktując się z miejscowymi bejami i radami starszych. Z jego archiwalnych zapisów wynika, że uczestniczył w zjeździe bejów, znał się z kazachskimi sułtanami Tiaukinem i Dżantiurinem. Podkreślił raz jeszcze, że do odtworzenia, a w istocie konstruowania opisów prawa zwyczajowego tamtejszych etnosów niezbędne było nawiązanie więzi z miejscowym otoczeniem tubylczym oraz z wydarzeniami miejsca i czasu. J. Osmołowski zdawał sobie doskonale sprawę, że nie może dać się uwieść magii różnych drobiazgowości tego prawa, które dostrzegał. Obowiązywała go wewnętrzna dyscyplina uczciwości i trzymanie się bezpośrednio doświadczanej rzeczywistości, przeto korzystał też z informacji bejów znających prawo zwyczajowe swego narodu, przede wszystkim beja Naryzbaja Kazybajewa, Kusumbaja Satubałdina, sułtana-rządcy Achmeta Dżantiurina oraz Bałgoża Dżanburczina, przewodzącego rodowi uzunskiemu z plemienia Kypczaków. W pracy tej potrafił wnikliwie oceniać sens przemian cywilizacyjnych i związanych z nimi przewartościowań życia społecznego oraz regulujących je norm prawa zwyczajowego.

Oprócz wspomnianego znaczenia opisu zjawisk związanych z prawem zwyczajowym Kazachów, udokumentowanych przez J. Osmołowskiego, pełniejsza ich charakterystyka nie jest możliwa, całość bowiem zgromadzonego przez niego materiału z tego zakresu przedłożona Komisji Granicznej, w której pracował, a także w kancelarii orenburskiego i samarskiego generał-gubernatora zaginęła w urzędach administracji carskiej. Być może znajdują się one w archiwach Almaty, Orenburga czy Sankt Petersburga? Może ktoś podejmie trud ich odnalezienia! W każdym razie jak, pisał A. I. Makszejew: „Osmołowski opracował wspaniały zbiór prawa zwyczajowego Kirgizów uzupełniony bogatymi komentarzami i przedłożył go władzom zwierzchnim, lecz ta praca pozostaje jak dotychczas w archiwach.”<sup>9</sup>

Podobną opinię wyraził rosyjski orientalista, przewodniczący Orenburskiej Komisji Granicznej W. Grigoriew, który stwierdził, iż po lekturze tego opracowania dotyczącego prawa zwyczajowego Kazachów,

<sup>8</sup> Centralnyj Gosudarstwiennyj Archiw Kazachskoj SRR..., op. cit.

<sup>9</sup> A. I. Makszejew, *Putieszestwia po kirgizskim stiepiam i Turkiestanskomu kraju*, Sankt Petersburg 1896, s. 246.

uważa za swój obowiązek przyznać słuszną rozprawę w stosowaniu metod w tego rodzaju pracach prawodawczych, prowadzonych przez kilku znawców oraz przez miejscowych specjalistów.[...] posiadał on [Osmołowski] rozległość wiedzy naukowej, sumiennosc i wytrwalosc w pracy, nie uciekanie od trudności i niedostatku, jakie towarzyszyły nieodłącznie w każdej podróży w głąb stepów. Zajmował się nieustrudzenie przekładem różnorodnych dokumentów dotyczących administrowania powierzonym mu terytorium, a zwłaszcza zbieraniem informacji o dzielnicach Azji Środkowej, zawsze przy każdej nadarzającej się okazji nawiązywał dysputę z Kirgizami, z Azjatami, by później systematyzować zdobytą wiedzę.<sup>10</sup>

Relacjonując działalność badawczą J. Osmołowskiego nad prawem zwyczajowym Kazachów, pominięto w niej jego dalsze poczynania w tym kraju. To tropienie jego śladów jest jednoznaczne ze spojrzeniem na historię rosyjskiego włodarzenia w Kazachstanie ściśle powiązanego z czynnikami politycznymi i egzystencjalnymi tamtych czasów. Mając jako tako uporządkowaną sytuację, poprzez pozyskanie miejscowych władców dla rosyjskiej kolonizacji Kazachstanu, starano się administrować nim przy pomocy zaufanych urzędników przybyłych z Rosji. Było to jedno z ważkich i kluczowych działań w tym zakresie. Urzędnikiem takim stał się też J. Osmołowski, wyznaczony do zarządzania obszarami i Kazachami mieszkającymi w dorzeczu Syr-darii, z czasem z rozszerzonymi obowiązkami polegającymi na zbieraniu informacji o sytuacji w chanatach środkowoazjatyckich, pozyskiwaniu szpiegów, dbałości o stan twierdz i ich zaopatrzenie. Zapewne liczył się z konsekwencjami tego faktu i z nowymi obowiązkami, które, co tu dużo deliberować, miały charakter kolonizacyjny. Już w początkowym okresie sprawowania tej funkcji brał udział w oblężeniu twierdzy Ak-Meczet, wprawdzie jako tłumacz i przewodnik, jednak odział, w których sprawował te obowiązki, miały za cel poskromienie Kokandczyków i zdobycie tego ważnego punktu ich oporu przeciw plemionom kazachskim i także Rosjanom. Wybudowali ją oni na początku XIX stulecia na prawym brzegu Syr-darii, na skrzyżowaniu karawanowych szlaków wiodących z Taszkontu, Buchar i Chiwy przez Bramę Turgajską, a potem poprzez Troick i Atbasar do Zachodniej Syberii. Ponadto załoga twierdzy miała za zadanie stałe poskramianie okolicznych plemion kazachskich, pobieranie od nich podatków i utrzymanie dalszego ich podporządkowania władzy Taszkontu. Oczywiście było to w sprzeczności z rosyjskimi dążeniami do władania tymi obszarami. Postanowiono więc problem ten skutecznie rozwiązać i wyruszyć przeciwko Kokandczykom, idąc jakoby na pomoc oczekiwaną przez Kazachów. W rzeczywistości wyprawa miała na celu nie ochronę Kazachów, lecz rosyjskie interesy przenikania do Azji Środkowej. Po 23 dniach oblężenia zdobyto świetnie ufortyfikowaną twierdzę i potem

<sup>10</sup> Orenburskij Oblastnoj Archiw, f. 6, op. 10, d. 5716, l. 54 oraz f. 6, op. , d. 6789, l. 13. Formularnyj spisok Osmolowskogo, l. 56-58. Cyt. za W. Z. Galijew, op. cit., s. 194 i 201.

zmieniono jej nazwę na Fort Perowskiego. W składzie rosyjskich wojsk atakujących Ak-Meczet byli polscy zesłańcy: Z. Sierakowski, S. Kozakowski, I. Brzozowski, B. Lutkiewicz, F. Werner, K. Łopatecki, I. N. Popławski i inni. Wspomniął o tym generał A. Perowski w sprawozdaniu do ministra spraw wojskowych:

Ze szczególną satysfakcją nadmieniam przy sposobności o przykładowym sprawowaniu się szeregowców i podoficerów należących do jednostki złożonej ze zdegradowanych przestępców politycznych. Jedni z nich w składzie pododdziałów muszkietowego i sztucerowego znajdowali się przez cały czas na pierwszej linii okopów, a przy szturmie byli wśród tych, którzy pierwsi rzucili się na wylóm, przy czym dwóch (podoficer Michał Bielikowicz i szeregowiec Karol Pogorzelski), poniosłszy śmierć, zmasało swoje dawne przestępstwa. Inni spośród zdegradowanych pełnili obowiązki felczerów w lazarecie, a w pierwszej linii nieśli pomoc rannym i wynosili ich z wylómu pod ogniem nieprzyjaciela.<sup>11</sup>

Działo się to w roku 1853, gdy Krajem Orenburskim zarządzał generał-gubernator W. Perowski, człowiek łasy na pochlebstwa zwierzchników i srogi wobec podwładnych, często zazdrosny o sukcesy współpracowników, które najchętniej przypisywałby sobie. Powodowało to różne niesnaski i przykrości, które spotkały także J. Osmołowskiego, powstające na tle deprecjacji jego zasług na rzecz uspokajania buntowniczych nastrojów Kazachów, które właśnie on konsekwentnie łagodził, mając autorytet u miejscowych bejów. Ten brak uznania raził go szczególnie, przede wszystkim dlatego, że wyznawał on stosowaną w praktyce zasadę, iż gwarantem humanistycznych stosunków społecznych jest akceptacja pewnych norm moralnych i uznawanie kultury ludności tubylczej za ważny element spokoju. Zdawał on sobie sprawę z faktu, że rosyjskie panowanie na tym terenie przysporzyło miejscowemu społeczeństwu pewnych korzyści, ale było także źródłem konfliktów, przeto dbał o to, by kierować się troską o los tych społeczeństw, będący następstwem rosyjskiej kolonizacji. A nie była to postawa powszechnie wówczas aprobowana przez rosyjską administrację cywilną i generał-gubernatorów. Rodak nasz jakoś radził sobie z taką sytuacją, zwłaszcza, że miał dobre kontakty ze starszyzną kazachskich rodów, a i prosty lud szanował go za znajomość jego zwyczajów i obyczajów oraz języka. To wszystko ułatwiało mu pracę oraz załatwienie różnych trudnych spraw, do których należało m. in. uwolnienie przyrodnika N. A. Siewiercowa, który w 1858 roku został pojmany przez oddział tubylczy i odesłany do Turkiestanu. Na pytanie, jak potoczyłyby się dalsze losy J. Osmołowskiego, trudno dziś odpowiedzieć. Zmarł on bowiem podczas snu w powozie w 1862 roku, udając się w kolejną podróż służbową.

Prezentację tej postaci i jej wkładu w poznanie Kazachstanu traktujemy jako próbę porządkowania naszego dziedzictwa w tym stepowym

<sup>11</sup> Gosudarstwiennyj Archiw Orenburskiej Oblasti, f. 6, op. 10/3, d. 2, l. 352. Cyt. za G. Sapargalijew, W. Dżakow, op. cit., s.179.

kraju oraz losu J. Osmałowskiego uwikłanego w aktualia ówczesnej polityki rosyjskiej wobec Kazachstanu. Rodziła się więc potrzeba dalszych prac w tej dziedzinie i odkrycie zepchniętych w głąb zapomnienia kolejnych fragmentów jego życia, zatrzymanych niejako w ukryciu. Jest to więc zaproszenie do kolejnej wyprawy biograficznej dotyczącej omawianej tu postaci, o której wspomniany już A. I. Makszejew pisał, że gdy w 1853 roku A. Perowski mianował J. Osmałowskiego zwierzchnikiem Kirgizów znad Syr-darii, miał on tam

szerokie możliwości zastosowania praktycznego swoich wspaniałych zdolności, połączonych ze światłym umysłem, rozległą wiedzą i niezwykle dobrym i czułym sercem; pozostał niedoceniony z powodu niezmiernej skromności i braku przedsiębiorczości; jego podwładni z kolei ubóstwiali go za nieposzlakowaną uczciwość i sprawiedliwość.<sup>12</sup>

Dopełniając obrazu dziejów związków polsko-kazachskich dotyczących języka i kultury Kazachów, wspomnieć jeszcze należy o działalności badawczej Seweryna Grossa (1852- ?) zesłańca z końca XIX stulecia, zajmującego się kazachskim prawem zwyczajowym, bliskiego znajomego Abaja Ibrachima Kunanbajewa, wybitnego poety kazachskiego.<sup>13</sup> Urodził się on w guberni kowieńskiej, w rodzinie właściciela ziemskiego. Ukończył gimnazjum w Rydze i studia prawnicze na uniwersytecie w Petersburgu. Od 1887 roku przebywał w Warszawie, potem wyjechał do Wilna i należał do istniejącej tam Gminy Socjalistów Polskich. Pobyt w Wilnie przerwany został wyjazdem do Szwajcarii (Genewa), gdzie reprezentował środowisko polskich socjalistów na Zjeździe Gmin, skąd powrócił do Warszawy. Tu został aresztowany (1881) i po przewiezieniu do Wilna skazany na 5 lat zesłania. Początkowo przebywał w Iszymie, gdzie zawarł związek małżeński z Anna Skałacką z Kijowa, przebywająca na zesłaniu za „rewolucyjną propagandę”. Ze względu na chorobę żony przeniesiono ich do Semipałatyńska, gdzie Seweryn rozpoczął pracę w Semipałatyńskim Komitecie Statystycznym oraz wspomógł miejscowe środowisko w zorganizowaniu muzeum i biblioteki. Z jej zbiorów korzystali zesłańcy a także inni mieszkańcy miasta, nierzadko Kazachowie, m. in. wielki kazachski poeta Abaj Kunanbajew (1845-1904). To tego małego kiedyś chłopca, leczył z rozpoczynającej się ślepoty Adolf Januszkiewicz, gdy bywał w domu jego ojca.

Gdy Grossowie wyjechali z Iszymu, poszła za nimi stosowna notatka policyjna, informująca władze w Semipałatyńsku, że

zesłańcy polityczni, Seweryn Gross i jego żona Anna, którzy w mieście Iszymie pozostawali pod nadzorem policji, nie byli wprawdzie notowani w miejscach ich

<sup>12</sup> A. I. Makszejew, op. cit., s. 247.

<sup>13</sup> W. Z. Galijew, *Zslynyje rewolucjonierzy w Kazachstanie*, Alma Ata 1978, s. 132-133; G. Sapargalijew, W. Dżakow, op. cit., s. 279-280; A. K. Kunert, hasło „Seweryn Gros”, [w:] *Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego*, red. F. Tych, t. 2, Warszawa 1987, s. 380-381.

przebywania z powodu nagannego zachowania, mimo to oboje są nieprawyślni pod względem poglądów politycznych, szczególnie zaś Gross jest pod tym względem niebezpieczny.<sup>14</sup>

Zwolniony z zesłania (1887), wyjechał wraz z żoną do Kazachstan i udał się do Kowna, potem mieszkał przez pewien czas w Galicji, gdzie prawdopodobnie zmarł.

Pobyty w Semipałatyńsku łączy się z działalnością F. Grossa w ramach specjalnej komisji, mającej zbierać materiały dotyczące prawa zwyczajowego Kazachów. Administracja rosyjska doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, iż dla zrozumienia podstawowych znaczeń regulujących stosunki społeczne w obrębie tej grupy etnicznej istotne jest osadzenie tych norm w szerszym kontekście, z uwzględnieniem nawarstwień wpływów muzułmańskich, będących immanentną cechą tamtej rzeczywistości społecznej i kulturowej. Wspomniane zrozumienie tych norm wymagało więc nie tylko ich skatalogowania, ale i szerokiej interpretacji różnych szczegółów. Pracami z tego zakresu zajął się Semipałatyński Komitet Statystyczny kierowany wówczas przez generał-gubernatora Wasyla Cieklińskiego. W programie działalności tej struktury administracyjnej legło więc rozpoznanie prawa zwyczajowego autochtonicznych mieszkańców Stepowego Kraju oraz pozyskanie informacji z dziedziny geografii, gospodarki i etnografii. Szczególnie ważne były wiadomości odtwarzające skomplikowany system zwyczajowych norm, w związku z czym została rozesłana w roku 1882 do powiatowych urzędów na terenie Stepowego Kraju specjalna ankieta autorstwa Iwana Aleksandrowicza Kozłowa, będącego wówczas sekretarzem Obwodowego Komitetu Statystycznego w Akmolińsku. Uzyskany w ten sposób materiał przekazany został do kancelarii prawnej Piotra Jemieljanowicza Makowieckiego, sędziego powiatowego, a zarazem sekretarza Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego, w którym za zgodą wspomnianego powyżej generał-gubernatora S. Gross uzyskał zatrudnienie. W ten to sposób zgromadzone materiały ankietowe trafiły na jego biurko, on zaś, by osiąść pełniejszą wiedzę dotyczącą prawa zwyczajowego Kazachów, ich zwyczajów i obyczajów, uzyskał pieniądze i zgodę na podróżowanie po Stepowym Kraju. Była to niełatwa próba pogłębienia tego problemu, a zarazem właściwa droga przybliżająca go do wtajemniczenia w złożone kwestie adatu, czyli prawa zwyczajowego narodów muzułmańskich i prawa religijnego szariatu, już wówczas bowiem kazachskie zwyczaje prawne i obrzędy miały charakter synkretyczny. Zanurzając się w obcy świat kulturowy podjął on niełatwą próbę skorelowania informacji ankietowych z wiedzą, którą sam chciał pozyskać w drodze informacji zgromadzonych podczas pobytu wśród Kazachów, zwłaszcza, że niektóre elementy tego tajemniczego dlań świata naznaczone były już synkretyzmem oraz sferą *sacrum*, w której spełniały się różne wierzeniowe zwyczaje

<sup>14</sup> Ł. M. Auezow, *Istoriczeskije osnovy epopei „Put Abaja”*, Alma-Ata 1969, s. 299.



tamtego ludu, a droga do ich poznania wiodła poprzez zbliżenie się do stepowych koczowników.

Wartość materiałów terenowych zgromadzonych przez S. Grossa polega też na tym, że to one dały mu możliwość zwrócenia uwagi na wzajemne powiązania, przenikanie się i zazębianie różnych sfer życia społecznego Kazachów, prostego ludu i jego władców. Widać to wyraźnie w książce dotyczącej prawa zwyczajowego Kazachów, wydanej w Omsku, w której na karcie tytułowej wymieniony jest J. P. Makowiecki, jako redaktor, natomiast pominięto nazwisko autora, rzekomo ze względu na status zesłańcy S. Grossa.<sup>15</sup> Nie tak jednak sprawa wygląda, wzięwszy pod uwagę, że w tym czasie w Rosji ukazywały się prace innych polskich zesłańców, ot choćby Benedykta Dybowskiego, Bronisława Piłsudskiego czy Waława Sieroszewskiego.

Powód tego przemilczenia był raczej bardziej osobisty, mający podnosić prestiż sędziego J. P. Makowieckiego. Tymczasem w 1928 roku zesłańiec S. P. Szwiecow, który w latach osiemdziesiątych XIX wieku przebywał na terenie Stepowego Kraju i zajmował się etnografią tamtejszych etnosów napisał jednoznacznie na łamach czasopisma „Katorga i szyłka”, że to właśnie F. Gross był autorem tego zbioru i należał w owym czasie do znanych zesłańców przebywających w obwodzie semipałatyńskim.

Był wszechstronnie wykształcony; wśród zesłańców wyróżniał się wiekiem – miał bowiem około czterdziestu lat – a także indywidualnością, niezłomnym charakterem i hartem ducha. W Semipałatyńsku pracował w kancelarii sędziego pokoju P. Makowieckiego, który był jednocześnie sekretarzem Obwodowego Komitetu Statystycznego. To umożliwiło Grossowi badania nad prawem zwyczajowym Kirgizów – tubylczej ludności obwodu. Przedmiotem badań stały się pisemne wyroki sądu bijów, tj. tradycyjnego sądu Kazachów, które Makowiecki kazał sobie dostarczyć ze wszystkich powiatów obwodów. W rezultacie powstała cenna praca, która zachowała wartość do naszych dni jako jedyna publikacja na temat majątkowego prawa Kazachów (Kirgizów). Wydał ją Semipałatyński Komitet Statystyczny pt. *Materiały po kazachskomu obycznomu prawu*, nie podając nazwiska autora, wymieniając jedynie P. Makowieckiego. Oczywiście żadnego opracowania redakcyjnego nie było i być nie mogło, gdyż Makowiecki nie dorównywał wiedzą Grossowi; zasługa jego polegała jedynie na tym, że przy pomocy swego sędziowskiego nazwiska przeprowadził przez igielne ucho cenzury i policji pracę, która w innych warunkach nie ujrzałaby światła dziennego. Miało to jednak ten ujemny skutek, że poszło w zapomnienie nazwisko prawdziwego autora tych cennych badań. Wśród tych, którzy znają dzieło i korzystali z niego, rzadko kto, niestety, zna obecnie nazwisko autora.<sup>16</sup>

Tak więc bez dostępu do oryginałów, które zapewne leżą gdzieś w archiwach, wyjaśnienie tego problemu, rzecz jasna, jest niemożliwe – podobnie jak wielu innych wątków z biografii S. Grossa, którego spotkał

<sup>15</sup> W. i T. Słabczyński, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa 1992, s. 131 i A.Kijas, op. cit., s. 40.

<sup>16</sup> „Katorga i szyłka” 1928, nr 3, s. 81.

George Kennan, amerykański dziennikarz, podróżujący wówczas przez azjatyckie tereny Rosji. Pisał on, że:

Pan Gross był przystojnym 30-letnim mężczyzną, z kasztanowatymi włosami i brodą, niebieskimi oczami i delikatnymi, prawidłowymi rysami twarzy. Głos jego brzmiał przyjemnie, mówił z żywością i miał zwyczaj, w chwili podniecenia, lub gdy go coś szczególnie zainteresowało, otwierać szeroko oczy.<sup>17</sup>

Jest takich fragmentów więcej, aż po ten, gdy F. Gross przyjechał do Ust-Kamieniogorska by zapoznać przybysza z Ameryki z tamtejszą kolonią zesłańców, która podobnie jak semipałatyńska wywarła na nim pozytywne wrażenie, a byli wśród niej niepokorni wobec carskiej władzy aptekarze, lekarze, literaci, dziennikarze, tłumacze, studenci i właściciele rolni, ba, była nawet kaukaska księżniczka. Mimo tego, że losy zesłańcze uczestników powstania styczniowego od lat przyciągają uwagę naszych historyków to zaznaczyć trzeba, że dotyczy to głównie tej fali, która znalazła się na terenie Syberii Wschodniej, rzadziej Zachodniej, natomiast obszar ziem dzisiejszego Kazachstanu jest mniej rozpoznany pod tym względem. A przecież i tam było ich nie mało. Podobnie jak ich rodacy, tak i oni wiedli tutaj swoje życie, chociaż nie odnieśli może tak spektakularnych osiągnięć badawczych jak Benedykt Dybowski, Aleksander Czekanowski, Jan Czerski czy Wiktor Godlewski, powszechnie znani w dziejach poznawania Syberii Wschodniej. Jedni i drudzy przeżywali trudy zbliżenia z miejscową społecznością nierzadko autochtoniczną oraz ludnością rosyjską, z czasem jednak dochodziło tam do jakiejś wielopłaszczyznowej łączności między nimi a nawet do zawierania związków małżeńskich z miejscowymi kobietami. Niektórzy zajmowali się rolnictwem, pszczelarstwem, rzemiosłem, inni pracowali jako nauczyciele wbrew centralnym zarządzeniom bowiem miejscowa administracja przyomykała na to oczy. W Ust-Kamieniogorsku z postyczniowej fali zesłańczej kowalstwem zajmował się Adolf Gebert krawiectwem Benedykt Stankus, pszczelarstwem Wincenty Arciszewski i Mikołaj Piotrowski, zaś Adolf Ziemiński z powodzeniem uprawiał rolę. Z czasem W. Arciszewski pracował jako urzędnik w miejscowej administracji, a od roku 1875 był księgowym w urzędzie miejskim Ust-Kamieniogorska. Wspomniany powyżej pszczelarz M. Piotrowski był też pracownikiem kancelarii sądowej w tym mieście a w latach 1878-1895 sekretarzem dumy miejskiej. Prace urzędnicze wykonywali też Ignacy Buraczewski, Stanisław Pietkiewicz, Michał Przygocki. Wiadomo też, że postyczniowi zesłańcy Szymon Nowicki, Rafał Putnowski i Stanisław Jaworowski z powodzeniem realizowali się w pracy związanej handlem winami. Prywatnych lekcji w Ust-Kamieniogorsku udzielali Leon Berberiusz, Mikołaj Borowski i Bronisław Biecki, Józef Lenartowicz, Aleksander Sławiński i

<sup>17</sup> J. Kennan, *Syberya*, przełożył K. Ł. z przedmową Z. Dębickiego, część I, Warszawa 1907, s. 127-128.

Antoni Sokołowski. Wiktor Żylinski był nauczycielem domowym dzieci pułkownika Katina i kupca Zadorowa. Zdumiewającym zaś faktem było utworzenie przez Sulejmana Smolskiego w zajmowanym przez niego domu prywatnej szkoły, do której uczęszczało około 32 uczniów – dziewcząt i chłopców. Uczył on w niej czytania, pisania, arytmetyki, religii i pobierał chesne w wysokości od 50 kopiejek do 1 rubla miesięcznie. Szkoła istniała tam przez pięć lat i nie posiadał on oficjalnego zezwolenia na jej prowadzenie.<sup>18</sup> Mimo określonych regulacji rządowych dążących do izolowania zesłańców politycznych od miejscowej ludności wielu z nich znajdowało jednak pracę w środowisku, w którym wypadło im wieść zesłańczy los. Można więc tam było znaleźć jakieś zatrudnienie potrzebne po to, by osłabiać stres zrodzony zesłaniem, ale dające także poprawę materialnego bytu. Praca ta była więc nobilitacją losu zesłańcy, który mimo iż odbywał karę za niepokorność wobec władz, np. poprzez udział w powstaniu styczniowym, tu na zesłaniu okazywał się potrzebny. Była więc ona niewątpliwie pozytywną wartością zesłańczej egzystencji, sferą osłabiającą ograniczenie wolności i zdobywania jako takiej stabilizacji, a niektórych zesłańców prowokowała nawet do działalności poznawczej związanej z kulturą tubylczej ludności. W moim przekonaniu ta próba konfrontacji rygorów zesłańczych z możliwościami bycia użytecznymi w tym nowym miejscu dokonywana była przez tych ludzi z dużym obiektywizmem i rzeczowością na rzecz ich przydatności w tym nowym środowisku społecznym i nikogo nie trzeba szczególnie przekonywać jak ważną to pełniło to rolę w ich życiu. Wiele zatem względów przemawiało za taką adaptacją na zesłaniu, a nieraz determinowało także dożgonne związanie się z tym nowym miejscem poza Ojczyzną. Ze wspomnianych powyżej osób pozostali na stałe w tej części Kazachstanu mimo manifestów amnestyjnych L. Berberiusz, A. Ziemlewski, M. Piotrowski, A. Sokołowski (zmarli w Ust-Kamieniorsku) oraz inni, którzy znaleźli tutaj warunki do pracy i życia.<sup>19</sup> Niewątpliwie problem ich adaptacji odgrywał na zesłaniu ważną rolę, a proces asymilowania się miał charakter wielce złożony i długotrwały, wiele zależało od warunków życia, osobowości zesłańcy i umiejętności nawiązania kontaktów z miejscowym społeczeństwem. Wspomniany już B. Gierasimow charakteryzujący polską społeczność zesłańczą w Semipałatyńsku i okolicach stwierdził po analizie tego problemu, że „zesłani Polacy byli nosicielami kultury. Wśród nich było wielu ludzi wykształconych, a miejscowa inteligencja odnosiła się do nich z szacunkiem.”<sup>20</sup> Dodajmy tu zaraz, że nieznaczną część postyczniowych zesłańców wchłonęły bataliony w Semipałatyńsku i Ust-Kamieniorsku i opowiedzieć dzisiaj o ich losie, to zagadnienie niebywale

18 B. Gierasimow, *Sslynnye Polaki w Siemipałatyńskiej oblasti (Kratkij istoriczeskij ocerk)* [w:] „Zapiski Siemipałatyńskiego podotdiela Zapadno-Sibirskogo Otdiela Russkogo Geograficzeskogo Obszczestwa”, Siemipałatyńsk, 1918, zeszyt 12., s. 47, 56, 82-84 i inne.

19 Ibidem, s. 47-49, 61, 77, 80-82, 84-86, 95, 97.

20 Ibidem, s. 19.

skomplikowane. Obrachunki tego rodzaju należy więc pozostawić historykom wojskowości, którzy zdolni będą spojrzeć na te zjawisko, w podobnym zakresie jak to częściowo uczynił Wiesław Caban.<sup>21</sup> Przy całej surowości regulaminów wojskowych obowiązujących rekrutów z poboru, zesłańcy wcieleni do wojska uznani za niepokornych wobec władzy określani często przez kadrę dowódczą niższego i wyższego szczebla „buntowszczykami” byli nieraz srogo szykanowani a ich warunki bytowania w armii były bardzo ciężkie.

---

21 W. Caban, *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w Armii Carskiej w latach 1831-1873*, Warszawa 2001.

Wróćmy jednak do kręgu związków polsko-kazachskich dotyczących badań nad prawem zwyczajowym, bo w pełni na to zasługują. Wspomniany S. Gross odkrywał ciekawe powiązania w obrębie ustroju społecznego Kazachów, poznawał ich istotę i funkcjonowanie. Razem z nim tym samym zagadnieniem zajmował się inny Polak Jan Witort (1853-1903). Ukończył on gimnazjum w Wilnie, studiował w Akademii Medyko-Chirurgicznej w Petersburgu. Zaniechał jednak kształcenia się na „medyka” i rozpoczął studia w Instytucie Technologicznym, których nie ukończył. W 1875 roku został aresztowany za przynależność do wileńskiej grupy „narodników”. Objęty nadzorem policyjnym został zesłany do Archangielska, potem mieszkał w powiatowym miasteczku Onega. Zainteresował się tam kulturą okolicznej ludności i często odbywał wycieczki etnograficzne poza miasto. Był również na Wyspach Sołowieckich, ważnym ośrodku prawosławia w ówczesnej Rosji, którego klasztory zamienione zostały w ZSRR na łagry. Obecnie znowu ożyły i zaczynają pełnić swoje religijne funkcje. Pobyt w tej części Rosji, zwanej Pomoriem, opisał w pamiętniku, dotychczas nie opublikowanym, znajdującym się w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Zawarł w nim wiele informacji etnograficznych o miejscowej społeczności, pisał o infrastrukturze gospodarczej tego rejonu, informował o przebywających tam zesłańcach, dał interesujący obraz życia klasztornego na Wyspach Sołowieckich, podał wiadomości o Lapończykach (Sammach). Uwolniony w 1879 roku jadąc do kraju odwiedził w Jarosławlu nad Wołgą przebywającego tam na zesłaniu arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, który podczas powstania styczniowego popadł w konflikt z rezydującym w Warszawie W. Księciem Konstantym, do którego skierował protest po egzekucji duchownego uczestnika powstania. Było to bezpośrednim dowodem usunięcia arcybiskupa z Warszawy i skazania na wygnanie do Jarosławla gdzie przebywał przez 20 lat. Było wówczas w patriotycznym zwyczaju odwiedzanie go przez Polaków, zatem i J. Witort nie omieszkał tego uczynić powracając z zesłania.

Przez pierwsze miesiące przebywał w Warszawie szukając kontaktów ze znajomymi, ostrzeżony jednak o możliwości ponownego aresztowania, udał się na Litwę, a potem do Rygi, gdzie otrzymał paszport na wyjazd za granicę. Pojechał więc do Krakowa, gdzie po krótkim pobycie został aresztowany pod zarzutem kontaktu z tamtejszymi socjalistami i przekazany władzom rosyjskim. Więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, został ponownie zesłany (1880). Początkowo trafił do Maryińska w guberni tomskiej, potem przez pewien czas przebywał w Tomsku, skąd w 1884 roku wywieziono go do Kazachstanu. Mieszkał tam w Semipałatyńsku i Ust-Kamieniogorsku, mając raczej dużo swobody. Z obu tymi miastami związani byli także Polacy przebywający w nich z zesłańczego jak również ci, którzy pracowali w różnych urzędach. Na początku drugiej połowy XIX stulecia naczelnikiem poczty w Semipałatyńsku był Julian Barszewski. Tam też jego syn Eugeniusz po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Kazańskim był od roku 1880 prokuratorem okręgowym przeniesiony na to stanowisko z Ust-Kamieniogorska gdzie od roku 1876 pracował jako sędzia powiatowy.<sup>22</sup> Zarówno jego ojciec jak i on nie stronili od Polaków, których zesłańczy los zawiódł w tę część Kazachstanu. Miał bliskie kontakty z zesłańcami rosyjskimi, od których po pewnym czasie nieco się izolował wskutek różnych nieporozumień na tle poglądów politycznych. W tym zapleczu życia ludzianych nieszczęściem zesłania odnalazł nowy krąg towarzyski, jakim byli Gruzini. Wspominał ich po latach w autobiografii:

W mieście mieszkali skazańcy gruzińscy, z którymi zaprzyjaźniłem się; spośród nich wyróżniał się Michał Kipiani wraz ze swą żoną, b. profesor języka gruzińskiego w instytucie nauczycielskim w Tyflisie; człowiek ten zwiedził całą Europę Zachodnią, studiował na Uniwersytecie Genewskim prawo i politykę, spędził lat osiem w Orenburgu jako wygnaniec; ułaskawiony za hr. Loris-Melnikowa, został zesłany ponownie w 1884 r. Była też skazanka polityczna, księżna Maria Szerwaszydze, córka ostatniego udzielnego ks. Abchazji, niegdyś panna dworu; jej towarzyszyła matka, która ani słowa nie umiała po rosyjsku; księżna znajdowała się pod nadzorem policji od r. 1877 tj. gdy przejęto listy tureckiego głównodowodzącego oraz odezwę jej do ludu Abchazji. Księżna ze zgrozą mówiła o tym, jak lud zginął prawie doszczętnie, „mój lud” jak się wyrażała. Mienie księżny rząd zasekwestrował, ale wydawał sute utrzymanie, potem mienie to zostało zwrócone jej synowi, wiernemu słudze N. Pana, który długie lata był gubernatorem w Tyflisie. Ks. Maria nauczyła się po polsku, by poznać Mickiewicza, którego znała tylko z przekładów gruzińskich. Z Gruzinami nasze stosunki były jak najlepsze. Lato 1885 r. spędziliśmy w Ulbiance, uroczej miejscowości górskiej, przyszłej stacji klimatycznej.<sup>23</sup>

<sup>22</sup> [Nekrolog] – „Sbirskaja gazietta”, z dnia 1 marca 1887 roku

<sup>23</sup> J. Witort, *Autobiografia*. Opracowali A. Kuczyński i Z. Wójcik, „Lud” 1997, t. 81, s. 244.

W 1888 roku wrócił z zesłania i osiadł w Poniewieżu, gdzie ociemniały i sparaliżowany zmarł w 1903 roku. Współpracował wówczas z polskimi periodykami ludoznawczymi i społecznymi – „Lud”, „Wisła”, „Głos”, publikował też w petersburskim „Kraju” oraz w innych czasopiśmiech.<sup>24</sup> W zachowanej autobiografii wspominał, że:

W tydzień po wyjeździe byliśmy w Semipałatyńsku. Nowe warunki życia, nowe wrażenia, nowy kraj! Stepy średnioazjatyckie, których nigdy nie widziałem; Kirgizi, namioty, minarety, przeciągłe krzyki mezuinów, głoszących chwałę Allah! Wszystko to wprawiło mnie w jakiś stan odurzenia, z którego wyszedłem dopiero po kilku dniach; co prawda byłem zmęczony. W Semipałatyńsku spotkałem się z moim dawnym przyjacielem, Sewerynem Grossem, napotkałem też kółko skazańców politycznych – i zaraz potem uzupełniałem tę informację, pisząc, że generał-gubernator nakazał zbadanie prawa zwyczajowego Kirgizów. Zdobyto środki materialne i otwarto coś w rodzaju komisji, w której pracach uczestniczyliśmy Gross i ja. Ta drobna okoliczność wywarła wielki wpływ na rozwój moich poglądów; po raz pierwszy zetknąłem się bezpośrednio z ogromem materiałów surowych, dotyczących ludoznawstwa. Studiowałem je, rozglądałem się w nich i powoli przyszedłem do przekonania, że podstawą umiejętności społecznej może być tylko etnografia, w szerszym znaczeniu tego wyrazu; w zarysach ogólnych pogląd ten podzielałem i uprzednio, ale wówczas dopiero przybrał on kształty jasne i określone. Bogata biblioteka publiczna ułatwiła mi studia; tu muszę zwrócić uwagę na rosyjską literaturę etnograficzną o ludkach syberyjskich, literaturę bardzo bogatą i treściwą, ale dotąd tylko częściowo wyzyskiwaną przez uczonych badaczy europejskich z powodu braku znajomości języka.<sup>25</sup>

Już z tego fragmentu autobiografii wynika, że jego zainteresowania koncentrowały się na etnografii. Nie sposób nie dodać, że już wcześniej, będąc w okolicach Archangielska poczynił interesujące obserwacje kulturowe wśród tamtejszej społeczności.<sup>26</sup> Widać z tego wyraźnie, że przez cały czas zmagania się z okropnościami zesłańczego życia, we wszystkich jego rodzajach egzystencjalnych i społecznych pozostał wierny zagadnieniom etnograficznym. Toteż pewnie i pierwsze doświadczenia z tego zakresu zdobyte nad Morzem Białym w okolicach Archangielska okazały się mu przydatne, gdy w Semipałatyńsku dowiedział się, że jako-by z urzędu ma zająć się rozpoznaniem prawa zwyczajowego Kazachów. Mając już za sobą wcześniejsze obserwacje etnograficzne oraz najlepszą wolę ich kontynuacji, oddał się z zapałem realizacji tych niezwykłych na zesłaniu obowiązków. Myślę, że w tym nowym dla niego miejscu odbywania kary zesłania spotkanie z S. Grossem wpłynęło pozytywnie na egzystencję i łagodziło przytłaczającą go zapewne nową rzeczywistość, zwłaszcza że był już wówczas człowiekiem schorowanym. Wróćmy jednak do wątku badawczego, zastrzegając, że nie ma tutaj oczywiście miej-

<sup>24</sup> A. Kuczyński, Z. Wójcik, *Materiały do bibliografii podmiotowej i przedmiotowej Jana Michała Witorta*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 1998, nr 2, s. 153-212.

<sup>25</sup> J. Witort, *Autobiografia*, op. cit. s. 241-242.

<sup>26</sup> W. Baranowski, *Polskie relacje o rosyjskiej kulturze ludowej (1831-1920)*, „Acta Universitatis Lodziensis” – „Folia Ethnologica”, t. 3, Łódź 1985, s. 174-178.

sca na przedstawienie wszystkich jego aspektów. Przede wszystkim rzeczą wiadomą jest, że badania te prowadził na konkretne zapotrzebowanie, co dawało mu możliwość przebywania w terenie wśród Kazachów. Ten typ stacjonarnych często badań dawał możliwość zgromadzenia materiałów „z pierwszej ręki” i porównywania ich z urzędowymi zapisami miejscowej administracji. Rzec można, że teren i dialog był preferowany przez J. Witorta, co oczywiście współgrało z podobnym nastawieniem S. Grossa. Obaj bywali w aulach, śledząc zmiany natury społecznej i politycznej spowodowane rosyjską kolonizacją, stawiając jednocześnie pytania związane z przedmiotem ich badań. Dzięki takim okolicznościom poszerzano przestrzeń badawczą dającą możliwość rzetelniejszego opisu i uczenia się obcej kultury. Wśród informatorów musiał więc być prosty lud, feudalni władcy i ludzie z różnych poziomów miejscowej władzy. Był też wśród nich Abaj Kunanbajew, wybitny poeta, twórca pisanej literatury kazachskiej, który wzbogacił jego wiedzę związaną z różnymi segmentami tradycyjnej kultury Kazachów. Wspominając o tym, pisał po latach w autobiografii:

Poznałem cywilizowanego Kirgiza, p. Kunanbajewa, który wraz ze swoimi trzodami i liczną rodziną koczował w stepach; we wrześniu korzystając z jego zaproszenia, pojechaliśmy doń. Droga prowadziła przez stepy; jechaliśmy od aulu do aulu, przeprowadzani przez Kirgizów, bośmy byli pod opieką, rodu Kunanbajewów, rodu bardzo potężnego. Wycieczka ta na zawsze pozostanie mi w pamięci z powodu oryginalności i niepospolitości wrażeń, które doznaliśmy w stepach, i pod gościnnymi namiotami p. Kunanbajewa. Byliśmy bardzo radzi i zadowoleni[...].<sup>27</sup>

Pisano poprzednio, że badania S. Grossa ukazały się w książce przypisywanej P. Makowieckiemu, sędziemu powiatowemu w Semipałatyńsku. Należy jednak domniemywać, że jest też w niej częśćka trudu J. Witorta, który wespół ze swoim przyjacielem Sewerynem podróżował po stepach i działał w ramach tego samego zespołu badawczego powołanego stosowną dekreacją administracyjną. Ten jego trud pomijano jednak dotychczas w literaturze rosyjskiej zajmującej się kwestią wkładu S. Grossa do poznania kazachskiego prawa zwyczajowego. Upominam się więc o to, by pamiętać, że jakkolwiek sprawa autorstwa wspomnianej powyżej książki jak do tej pory nie jest jednoznacznie wyjaśniona, to jednak do jej powstania przyczynił się w jakimś stopniu także J. Witort. Zapewne tylko część swojej wiedzy o zwyczajach i obyczajach Kazachów oraz ich prawie zwyczajowym usystematyzował on po powrocie do kraju, ogłaszając artykuł na ten temat.<sup>28</sup> Wiele w nim realiów kulturowych wolnych od uprzedzeń wobec Kazachów, a nawet, rzecz można – jawnej wobec nich sympatii i podziwu związanego ze znajomością stepów i umiejętnościami

<sup>27</sup> J. Witort, op. cit., s. 243.

<sup>28</sup> J. Witort, *Ze stepów Azji Środkowej (Szkic etnograficzny)*, „Lud” 1899, t. 5, s. 1-20 i 105-120.



życia na tym terenie. Podkreślał, że ich życie było uzależnione od warunków klimatycznych, zaznaczał jednak, iż znają oni doskonale step, wiedzą, gdzie są źródła i studnie, do których podążają ze swoimi stadami. Mieszkaniem ich, pisał, są jurty kryte grubym wołokiem, lekkie i przestronne, zimą zaś mieszkali w lichych lepiankach skleconych z gliny i chrustu, bez okien, wewnątrz zakopconych i ciemnych. Wolał jednak widzieć Kazachów jako ludzi szczególnie szczęśliwych, gdy latem mieli możliwość swobodnego wędrowania po stepach, urządzania wyścigów konnych, zawodów sportowych, np. walk atletów i innych zabaw, czyniąc ten okres roku swoistym stepowym karnawałem. Biorąc pod uwagę krąg zainteresowań etnograficznych, J. Witort, jako wnikliwy obserwator, swoim zaciekawieniem wielością realiów kulturowych tych ludzi stepu rozjaśnił czytelnikowi europejskiemu mroczną dla niego krainę zwyczajów i wierzeń Kazachów, unaoczniał ich sens i złożoność. Do tych cennych treści dopasowana jest sceneria wydarzeń związanych np. z zawieraniem małżeństw. Obserwując wesele kazachskie, pisał, iż ich ówczesne małżeństwo było instytucją

złożoną z różnych pozostałości szczątkowych i nawarstwień historycznych, które nie zły się dotąd zupełnie. Pomijając takie zabytki zamierchłej przeszłości, jak obrzęd porwania oblubienicy, należy podkreślić trzy główne składniki małżeństwa: ludowe prawo zwyczajowe, wpływ prawodawstwa mahometańskiego i cywilizacji rosyjskiej, a zwłaszcza prawodawstwa cywilnego. Wpływy rosyjskie wyrażają się głównie w zastosowaniu do życia codziennego nowych poglądów na kobietę, na prawo dobrowolnego rozporządzania jej osobą itd. Wpływy te datują się od niedawna, ale potęga ich wzrasta coraz bardziej.<sup>29</sup>

Pozostajemy jeszcze na chwilę w kręgu spraw i określonej przez niego tematyki oraz swoistych praw jej przynależnej. Otóż zaznacza on, że małżeństwo zawierane jest u Kazachów na zasadzie wzajemnej umowy między głowami dwóch rodzin, nie bacząc na zgodę przyszłych współmałżonków, a przypadki zerwania umowy przedślubnej prawie nie występowały. Swatanie i oświadczyzny także się tu odbywały. Liczba swatów zależała od zamożności oblubieńca, a przyjęcie oświadczyzn kończyło się modlitwą oraz ucztą, podczas której podawano mięso z zarżniętego na tę okoliczność białego barana, koninę, kumys i herbatę. W czasie tej uroczystości odbywały się także wyścigi konne, walki siłaczy, śpiewy z towarzyszeniem muzyki. Uczta kończyła się rozdaniem swatom podarków przez ojca panny młodej, a najcenniejszy z nich trafiał zawsze do ojca oblubieńca. Wtedy to ojciec panny młodej jechał do przyszłego jej teścia po zapłatę, czyli kałym, który był trzecim aktem swatania. Składał się on z różnej liczby koni, przy czym wielkość kałymu stanowiła chlubę dla wnoszącego i odbierającego. Oczywiście im był on bogatszy, tym przyszły mąż i jego rodzina byli bardziej poważani przez otoczenie. W czasach J. Witorta najniższy kałym składał się z dwu koni, a największy bywało że nawet z 500. Obrzęd formalnych zaślubin następował po pew-

<sup>29</sup> J. Witort, op. cit., s. 9-10.

nym czasie, w którym rodzice panny młodej przygotowywali jej stosowny posąg zwany *dżasan*. W tym czasie pan młody mógł odwiedzać swoją przyszłą żonę, przy czym pierwsze odwiedziny były bardzo uroczyste i towarzyszył im orszak prowadzony przez leciwego Kazacha. Tym razem przyszły zięć ofiarowywał matce, babce i siostram wybranki podarki, przy czym najdroższy otrzymywała matka. Potem następował poczęstunek, mający charakter rodzinnej uroczystości. Takie wizyty oblubieńca powtarzały się czasami kilka razy. Termin zaślubin wyznaczany był przez ojca panny młodej i odbywały się one w aule, który ona zamieszkiwała. Budowano wtedy specjalną jurtę dla przyszłych małżonków, do której krewnie oblubienicy zapraszały pana młodego mieszkającego do tej pory w sąsiedniej jurcie. Potem wprowadzały do niej przyszłą jego małżonkę, za co otrzymywały podarki będące formą zapłaty. Młodzi pozostawali z sobą na noc. Nazajutrz ojciec córki proszony był o wyznaczenie terminu zabrania jej do aulu zięcia. W wigilię tego dnia odbywały się zawody konne i huczne zabawy, po których jurta państwa młodych otoczona była przez młodzież usiłującą zerwać z niej wierzchnie pokrycie. Wtedy to bronily jej kobiety wybiegające z tej jurty i inscenizując walkę, przekupywały młodzieńców darami, by odstąpili od dalszych zmagania. Nastawał czas pokoju, po czym rozlegały się śpiewy, wychwalające wybrankę, a potem ośmieszające jej przywary. Tak upływa cała noc. Nazajutrz swatki zbierały się w jurcie, w której spędzili noc przyszli małżonkowie, i ubierały pannę młodą w najlepsze stroje. Tak wystrojoną sadzano na konia, którego prowadzono za uzdę do jurty jej rodziców, w której po raz pierwszy żegnała się ona z nimi. Tam ojciec dziewczyny pokazywał jej posąg zięciowi i swatkom, które po przyjęciu go odstawiały do aulu małżonka. Wówczas córka żegnała po raz drugi rodziców płacząc. Dopiero po tym drugim pożegnaniu następował właściwy akt zaślubin, mający charakter aktu religijnego. Młodzi oddzieleni zasłonami stali w jurcie rodziców panny młodej przed nimi i świadkami (po dwoje z każdej strony). Co chwilę, na przemian podnoszone były zasłony przyszłych małżonków. Duchowny mahometański lub osoba go zastępująca odmawiała stosowną modlitwę i zadawała pytanie, czy młodzi pragną być małżeństwem. Odpowiedź „tak” lub milczenie było oznaką zgody. Dawniej podczas tego aktu zaślubin stawiano metalowe naczynie z wodą, do którego młodzi wrzucali korale, perły i srebrne przedmioty. Potem wypijali tę wodę, a naczynie z kosztownościami stawało się własnością duchownego. Po zakończeniu zaślubin ojciec żegnał córkę słowami: „Żyj tak aby, mnie nie przeklinano”, zięciowi zaś powiedział: „Nie znieważaj żony, tym zgubisz swoją sławę”!

Zaraz po ślubie panna młoda udawała się do swojej jurty i nakładła strój kobiety zamężnej, potem w towarzystwie matki i przyjaciółek jechała do aulu, w którym mieszkał mąż. Tam naprzeciw im wyjeżdżał konny orszak złożony z krewnych pana młodego, inscenizując trudności wjazdu do aulu, związane często z zarekwirowaniem wielbłądów. Po

otrzymaniu wykupu dalsza droga była wolna. W jurcie rodziców synowa była odpowiednio witana przez teścia, który obdarowywał ją prezentami. Potem odbywała się trwająca do północy uczta, której towarzyszyły wesole śpiewy. Następnie autor pisał o „zwyczajach, dziś na pół zapomnianych”, dotyczących pierwszej nocy poślubnej, ogłaszania dziewictwa panny młodej lub wcześniejszej utraty wianka, poszukiwania sprawcy tego czynu i odpowiedzialności matki za to. Dawniej była ona bita przez męża za brak dozoru nad córką.

Znaczny materiał zebrał także J. Witort na temat prawa rodzinnego, pisał o zemście rodowej, karach majątkowych, przysięgach, które składane wobec władz rosyjskich nie były grzechem, zgodnie z kazachskim przysłowiem „Wrogom oddaj duszę i przysięgę, ale tajemnicy nie wydawaj”, informował o zwyczajach dotyczących dzieci z nieprawego łoża, przytaczał przykłady z tego zakresu, wspominał o obowiązującym dawniej surowym karaniu, nawet śmiercią, obojga kochanków, z których związku poczęte zostało dziecko. Panny z dziećmi traciły wówczas swoje warkocze i uznawane były niemal za nierządnice, kochankowie zaś płacili sowite grzywny i obcinano ogon ich koniowi. W tej dezaprobacie społecznej tkwił powód do spędzania płodu, co było wówczas bardzo rozpowszechnione. Z biegiem czasu wraz z rosyjską kolonizacją sytuacja ta traciła obyczajową ostrość, podobnie jak inne elementy karnego prawa zwyczajowego. Obserwował więc J. Witort zjawiska, które funkcjonowały często w synkretycznej już formie także u innych ludów tego regionu, zresztą nie tylko odnoszące się do zwyczajów związanych z zawieraniem związku małżeńskiego. Fakt, iż nie była to sytuacja szczególna i odosobniona dla Kazachów, potwierdza tezę, że już w owym czasie, a był to przecież koniec XIX stulecia, nawarstwiły się tam elementy rosyjskiego prawa cywilnego. Treści tych obu istniały nieraz równoległe lub wymiennie, co wynikało z faktu umacniania się rosyjskiego władzenia tymi obszarami. W tym panowaniu widział on „ziarno wyższego, ale obcego uspołecznienia” i uważał, że:

Wpływy rosyjskie potęgowały się i krzepły wraz ze wzrostem władzy państwowej; powoli uspokojono stepy, zniesiono niewolnictwo, zaprowadzono administrację prawidłową, podzielono olbrzymie przestrzenie na obwody, powiaty, włości itd.; wszakże zachowano Kirgizom zupełny samorząd, gminy i sądownictwo ludowe wedle prawa zwyczajowego oraz zwolnienie ich od służby wojskowej, powinności naturalnych i wszelkich podatków oprócz 3 rubli opłaty od każdej jurty. Łatwo zrozumieć, że wiele przepisów lub nakazów prawnych nie ma w stepach znaczenia żadnego. Za wszelkie wykroczenia, spełnione przez Kirgizów w obrębie miast, stanic i osad kozackich, a w ogólne w miejscowościach, zamieszkałych przez ludność osiadłą, podlegają oni sądom rosyjskim; tymże sądom podlegają wszelkie sprawy cywilne i karne, jeśli jedna ze stron procesujących się jest z pochodzenia kirgiską. Spod kompetencji sądów ludowych wyjęte są też sprawy o zbrodnie stanu, morderstwa, fałszowanie monety i barantę (forma egzekucji prawnej mająca często charakter napadu na jurtę by odzyskać ja-

kieś mienie, co jest pozostałością zemsty rodowej – A.K.) i poza tym nie znają oni żadnych ograniczeń.<sup>30</sup>

### Śladami pieśni *akynów*

Osobliwie ważną częścią dorobku polskiego w dziedzinie poznania folkloru Kazachów jest działalność badawcza muzyka i folklorysty Aleksandra Zatajewicza (1869-1936), mieszkającego do wybuchu pierwszej wojny światowej w Warszawie. Wojenne losy sprawiły, że znalazł się on początkowo w Moskwie, a potem w Kazachstanie, gdzie zainteresował się pieśniami *akynów*. Fascynacja ta stała się pobudką do gromadzenia i folklorystycznych analiz ich twórczości oraz muzycznych kompozycji zwanych *kiuiami*, tworzonych przez samorodnych instrumentalistów. Wspomniane pieśni *akynów* przekazywane były z pokolenia na pokolenie i traktowały o życiu Kazachów oraz ich bohaterach. Były to improwizacje, które miały charakter wokalnego recytatywu, zazwyczaj z towarzyszeniem dźwięku *dombry*, szarpanego instrumentu strunowego. Świadom, można powiedzieć, zarówno zadania, jakiego się podjął, jak i odpowiedzialności, jaka na nim spoczęła, bez najmniejszego wahania, z niebywałą pasją poświęcił się tej pracy. Zebrał i opracował do druku ponad 2300 pieśni oraz wiele wspomnianych powyżej kompozycji muzycznych. W pracy tej nie miał przetartych szlaków, nie mógł oprzeć się na badaniach poprzedników, a swoje zadanie traktował jednak jako niebywałą okazję do tego by wzbogacić wiedzę o folklorze Kazachów. W postanowieniu tym wytrwał do końca, opublikował dwie prace z tego zakresu: 1000 *piesień kirgizskiego naroda. (Napiewy i melodii)*, Orenburg 1925 oraz *Tysiącza pieśń i kiujew kazachskiego naroda*, Ałma-Ata 1937. W pierwszej z nich pisał:

Wam moi drodzy przyjaciele-dżigici poświęcam i przekazuję owoc pracy wykonanej wspólnie z Wami, w godzinach głodu, chłodu i epidemii. Przecież Wy doskonale znacie mój pogląd, że to nie ja zbierałem wspaniałe pieśni waszego narodu, ale wy sami za moim pośrednictwem zgromadziliście je, by uchronić ten skarb Waszej narodowej kultury od zapomnienia. Nie wiem, czy dobrze wykonałem tę pracę, ale zapewniam, że czyniłem to zgodnie z moją wiedzą, z ogromną miłością i poświęceniem, na jakie tylko było mnie stać.

---

<sup>30</sup> J. Witort, *Ze stepów...*, op. cit., s. 105-106.

W pracy tej nie wolno było zrobić ani jednego kroku bez zharmonizowania jej z intymnymi strunami Waszej duszy, co sprawiło, że ja, przypadkowy przybysz, pokochałem na zawsze szlachetny i utalentowany naród kazachski. Dzisiaj jestem już starym człowiekiem, ale przyszłość jest przed Wami i narodem Waszym. Przechowujcie więc, pomnażajcie i gromadźcie duchowe skarby kazachskiego narodu. Pomnażajcie je i pielęgnujcie zgodnie z zasadami kultury ogólnoludzkiej, do której mam nadzieję trafią Wasze pieśni. Niech wzrasta i rozwija się kazachska muzyka, czerpiąca swe siły z duszy narodu.<sup>31</sup>

I jeszcze na moment pozostanmy w kręgu dorobku tego genialnego badacza kazachskiego folkloru, zaznaczając, iż nikt przed nim, ani po nim, nie wykonał tak mozolnej pracy badawczej polegającej na zebraniu i opracowaniu folkloru słownego i muzycznego Kazachów. Trud ten urealniony w formie dwu dzieł wnosi spory wkład do dziejów kultury kazachskiego narodu i jako takie stanowi cenne źródło dla folklorystów i muzykologów zainteresowanych refleksją nad tymi pieśniami. Przy dokumentacji tego zjawiska zastosował on własną metodę nutowego zapisu, pozwalającą nie tylko na odtworzenie linii melodycznej danej pieśni, lecz również na oddanie nastroju i natchnienia jej niepiśmiennych wykonawców. Zbiory A. Zatajewicza posłużyły Jewginiejowi Brusilowskiemu, artyście narodowemu Kazachstanu do komponowania pierwszych oper kazachskich, a zbiorami tymi nie gardził także znakomity kompozytor Siergiej Prokofiew. Dość powiedzieć, że nazwisko naszego rodaka jest znaczące w kazachskiej kulturze, nie przeto dziwnego, że ceniony pisarz francuski Romain Rolland pogratulował mu słowami: „Chylę czoła przed wspaniałymi wynikami pańskiej pracy i rad jestem, że doprowadził ją pan do końca w tak ciężkich warunkach głodu i epidemii”, a Maksym Gorki o jednej z książek A. Zatajewicza napisał, że stanowią one „bogactwo dla Mozartów, Beethovenów, Chopinów i Musorgskich przyszłości.

---

<sup>31</sup> A. Zatajewicz, *1000 piosen.kirgizskiego naroda (Napiewy i melodii)*, Ałmaty 2004, s. 22.

A. Zatajewicz zmarł w Moskwie (1936) i pochowano go na Cmentarzu Nowodziewiczym, na którym są groby wielu luminarzy kultury rosyjskiej. Jego mogiłę sąsiadującą z grobem Antoniego Czechowa zdobi pomnik z popiersiem, a na cokole jest postać Kazacha grającego na *dombrze*. Jemu też I. Lewicka poświęciła powieść zatytułowaną *Żywyje drogocennosti: Dokumentalnaja powiest ob. A. W. Zatajewicze – kompozitorie, etnografie*, Alma-Ata 1976. Jego postacią i dorobkiem zajmują się folklorysty w Kazachstanie i Rosji, zatem niechże i u nas w dobie dokumentowania polskiego dziedzictwa naukowego, kulturalnego czy gospodarczego na Syberii i w innych rejonach byłego imperium rosyjskiego, postać tego znakomitego człowieka ożyje w pamięci naszej. Dodajmy, że w początkowych latach XX stulecia mieszkał on w Warszawie, gdzie uprawiał krytykę muzyczną i związany był zawodowo z miejscowym Konserwatorium. Wydarzenia pierwszej wojny światowej sprawiły, że opuścił kraj i znalazł się w dalekim Kazachstanie. Tam żył skromnie, nie czyniąc niczego dla sławy i rozgłosu. Rozkochany w pieśniach stepowych *akynów*, im poświęcił swoje zdolności i trud, do dzisiaj więc oddaje się mu tam hołd za wszystko, co uczynił dla kultury narodowej Kazachów.<sup>32</sup>

### Inne formy służby w obcym kraju

By pełniej zarysować przestrzeń poznawczą i interpretacyjną oraz uwolnić się od jednostronności obrazu związanego z opisywaniem Kazachstanu przez polskich zesłańców oraz kultury jego autochtonicznych etnosów, wspomnieć trzeba również o tym, iż bywało nieraz, że także dobrowolnie udawali się Polacy do tego kraju. Pracowali tam, zmagając się z losem we wszelkich jego odmianach – materialnych, społecznych czy politycznych. Toteż i o nich trzeba wspomnieć, bo niektórzy z nich zapisali się w dziejach poznania kultury kazachskiego ludu i ich kraju oraz w różnych dziedzinach jego życia – administracyjnego, oświatowego czy gospodarczego. Byli to absolwenci uczelni rosyjskich – inżynierowie, lekarze, oficerowie, zawsze jednak obecność ta determinowana była przez wiele czynników wynikających z braku niepodległości i zaborów. Wielu spośród nich zapisało się w dziejach tej krainy, niosąc np. pomoc tubylczej ludności podczas epidemii malarii i cholery oraz innych chorób. Byli też oni pionierami w wytaczaniu szlaków komunikacyjnych, organizatorami żeglugi, pracowali w miejscowej administracji, nieraz nawet na eksponowanych stanowiskach, budowali twierdze, przystanie wodne, prowadzili obserwacje o charakterze etnograficznym i brali udział w ekspedycjach geologicznych. Że tak było, wiemy dokładnie, ale ze względu na skąpość źródeł i aktualny stan badań nie możemy na tym etapie ustalić, ilu naszych rodaków za czasów carskiej Rosji związało się

<sup>32</sup> W roku 2004 ukazało się w Almaty wznowienie książki A. Zatajewicza, wydanej po raz pierwszy w Orenburgu w 1925 roku.

dobrowolnie z Kazachstanem. Wspomnijmy tu jedynie mimochodem, że pod koniec XIX stulecia i na początku wieku XX, w ramach tzw. reformy stołypinowskiej w Rosji, z Królestwa Polskiego wyjeżdżali za Ural i w inne rejony Rosji chłopci, którym doskwierał głód ziemi. Spora ich część osiedliła się na terenie Zachodniej Syberii oraz w północnym Kazachstanie, np. w ówczesnej guberni omskiej, w rejonie iszymskim, ale byli i tacy, którzy zasiedlili Kraj Orenburski czy okolice Semipałatyńska. Tak więc polscy zesłańcy czy dobrowolni przybysze do Kazachstanu, zwłaszcza ci z okresu reformy stołypinowskiej osiągnęli tam niezły status materialny i powszechne uznanie. Zwłaszcza ludność rolnicza, która w ramach tych reform przybyła na teren Syberii Zachodniej i osiadła częściowo w północnych rejonach dzisiejszego Kazachstanu, wniosła w gospodarce agrarnej tych ziem nowe formy uprawiania roli, rozwinęła sadownictwo i warzywnictwo oraz spowodowała wzrost popytu na zwierzęta hodowlanych będących podstawą bytu dla wielu rodzin. Tak więc ręka polskiego siewcy i oracza dała też północnym rejonom kazachstańskiej ziemi mocne podstawy rozwoju tego kraju, zwłaszcza pod koniec XIX i na początku XX stulecia. Nie wiemy, ilu z nich zdecydowało się na powrót do kraju po zmianie ustroju w imperium rosyjskim w wyniku rewolucji październikowej oraz nieco później na mocy porozumień polsko-radzieckich o repatriacji po zawarciu pokojowego traktatu w Rydze w 1921 roku, kończącego wojnę polsko-sowiecką z lat 1919-1920. Do 1926 roku w Kazachskiej ASSR było 1807 obywateli narodowości polskiej, 1112 osób mieszkało w miastach, natomiast 695 osób na wsi. Najliczniejsze grupy Polaków znajdowały się wówczas w obwodach: Siemipałatyńskim (706), Aktiubińskim (587), Kustanajskim (302) i Akmolińskim.<sup>33</sup> Byli to zapewne dawni dobrowolni przybysze w te rejony, związani z nimi pracą zawodową, posiadający tu gospodarstwa rolne, warsztaty rzemieślnicze, często pozostający w mieszanych polsko-rosyjskich związkach małżeńskich itp. Pozostali tutaj, bo to była już ich ziemia, tam chcieli żyć i pracować, niestety lata tzw. wielkiego terroru w ZSRR spowodowały, że okrutnie ich represjonowano, wielu straciło życie w łagrach lub zostało rozstrzelanych. Na terenie Syberii zginęło wówczas w ten sposób wielu mieszkańców polskich wsi, np. w Białymstoku koło Tomsku, Wierszynie opodal Irkucka, Wilejce w Kraju Krasnojarskim - to samo było w miastach, ba, nawet na dalekiej Kamczatce i na Sachalinie. Los tych ludzi

---

<sup>33</sup> *Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936-1956. Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu*, Warszawa 2006, s. 7. (Materiały do książki zebrali: J. M. Gribanowa, A. S. Zułkaszewa, M. U. Maskiejew). Pierwotnie książka ta ukazała się po rosyjsku w roku 2000 w Ałmaty. Jej twórcy otrzymali w roku 2001, prestiżową nagrodę kwartalnika „Przegląd Wschodni”. Wydanie polskie poprzedzone jest notami wstępnymi Bogdana Borusewicza, Marszałka Senatu Rzeczypospolitej Polskiej oraz Aleksieja Wołkowa, Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Republiki Kazachstanu w Rzeczypospolitej Polskiej.

uwikłany był w aktualia ówczesnej represyjnej stalinowskiej rzeczywistości.

Powróćmy jednak do wątku dobrowolnej pracy w Kazachstanie, którą wypełniali tam polscy lekarze w drugiej połowie XIX stulecia. Wspomnijmy jeszcze, iż w czasach współczesnych A. Januskiewiczowi w Stepie Turgajskim prowadził działalność lekarską Polak Stanisław Rogala-Lewicki, który uczestniczył m. in. w zwalczaniu malarii. Dzięki jego poświęceniu i przedsięwziętym środkom zdołano opanować epidemię tej strasznej choroby. Znana jest także jego działalność przy zwalczaniu cholery, podczas której zaraził się i zmarł. Jeszcze przez długie lata po tym wydarzeniu niosła się po kazachskich aulach legenda o tym człowieku, który niosąc pomoc bliźnim, sam został powalony śmiertelną chorobą. Przykłady działalności medycznej Polaków w Kazachstanie są liczne i różnorodne. Poprzez ich biografie docieramy do rozległych przestrzeni tamtej historii, porządkujemy te fakty świadomi niestety ich fragmentaryczności, z nadzieją jednak, iż zakorzenia się one nawet w tej formie w historii związków polsko-kazachskich, które w stronę prawdziwości zmierzają.

Wiadomo np., że w latach 1855-1856 lekarzem w 7. Syberyjskim Batalionie Liniowym stacjonującym w Semipałatyńsku był Stanisław Wiśniewski, rodem z Białegostoku, wcielony karnie do wojska za utrzymywanie kontaktów z osobą nieprawomyślną wobec caratu, do której zaliczono szlachcica z Wileńszczyzny Aleksandra Deręgowskiego.<sup>34</sup> Przykłady działalności lekarskiej Polaków w Kazachstanie są liczne i różnorodne pod względem wykonywanej pracy i obszarów, na których oni pracowali. Jednym z nich był Cezary Tarajewicz (1833-1901), absolwent studiów medycznych w Moskwie, uczestnik powstania styczniowego zesłany do miasta Tara na terenie Syberii Zachodniej. Tam, nie zważając na zakazy policji, świadczył lekarską pomoc potrzebującym. Mieszkańcy miasta dwukrotnie zwracali się do miejscowych władz o wydanie mu zgody na oficjalne uprawianie praktyki lekarskiej, którą otrzymał dopiero w 1872 roku. Niestety popularność tego lekarza-zesłańca nie była w smak tamtejszej administracji, przeniesiono go zatem do pracy w Akmolińsku, a następnie do Semipałatyńska. W latach 1879-1893 był lekarzem w Spasku w guberni riazańskej. Potem powrócił do Kazachstanu i osiadł w Ust-Kamieniogorsku, gdzie oprócz zatrudnienia w państwowych jednostkach służby zdrowia prowadził prywatną praktykę lekarską, cieszył się uznaniem miejscowego społeczeństwa. Jego wysiłki i oddanie pacjentom było zauważane w każdym miejscu pracy. „Pozostawił on po sobie – pisała G.I. Mendrina – wdzięczną pamięć o oddaniu lekarskiej służbie, o serdecznym traktowaniu pacjentów i o tym, że zdołał przeciwstawić się i ograniczyć działalność tamtejszych znachorów.”<sup>35</sup>

<sup>34</sup> G. Sapargalijew, W. Dżakow, op. cit., s.199.

<sup>35</sup> G. I. Mendrina, *Medicinskaja diejatelnost političeskich ssylnych w Sibiri*, Tomsk 1962, s. 24.



W roku 1892 był koordynatorem lecznictwa, gdy w podległym jemu rejonie wybuchła epidemia cholery. Wówczas wykazał się szczególnym charakterem lekarza wiernego przysiędze Hipokratesa i poniósł wielkie zasługi w opanowaniu rozprzestrzeniania się tej niebezpiecznej choroby, zawleczonej tu przez kupieckie karawany. Niestety i on zaraził się nią, a komplikacje po przebytej chorobie towarzyszyły mu do końca życia. Zmarł w 1901 roku, a opis jego lekarskiego trudu przewija się do dziś przez różne publikacje, zatem i pamięć o nim trwa.<sup>36</sup>

Wspomniano poprzednio o Semipałatyńsku, sporym pod koniec XIX stulecia ośrodkiem administracyjnym w północnym Kazachstanie, w którym mieszkali także Polacy, zarówno zesłańcy, jak i dobrowolni przybysze szukający tu zatrudnienia. Byli też wśród nich postyczniowi zesłańcy – lekarze J. Roszkowski i (?) Mieletyński, farmaceuci (?) Szukiewicz i (?) Kościółkowski oraz ginekolog J. Domaszewicz, któremu udzielono zgody na praktykę lekarską ze względu na potrzebę społeczną jaka istniała w tym mieście. W 1897 roku w czasie epidemii cholery i tyfusu zmarł semipałatyński lekarz Ludwik Maciejewski. Był on absolwentem medycyny Uniwersytetu Kijowskiego. W 1859 roku skierowany został do pracy w Omsku, a potem przez 25 lat pracował w Wiernym. W połowie lat 80. przybył do Semipałatyńska i włączył się w życie społeczno-kulturalne miasta, nie traktując bynajmniej tego w kategoriach materialnych. W ramach tej działalności dużą popularnością cieszyła się propagowana przez niego idea utworzenia bezpłatnej dla biednych lecznicy w tym mieście, którą, acz nie bez trudności i po części dzięki własnemu kapitałowi udało mu się powołać do życia.<sup>37</sup> Był członkiem towarzystw naukowych: Turkiestańskiego Komitetu Statystycznego, Turkiestańskiego Towarzystwa Lekarzy, Omskiego Towarzystwa Medycznego i Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego. Działał w tych gremiach, nie tylko na rzecz poprawy służby medycznej, lecz również w działalności tychże dostrzegał ważny element kreowania zainteresowań naukowych danym regionem. W ich organach publikował swe prace medyczne, a wśród nich wyniki badań antropologicznych prowadzonych wspólnie z F. Pojarkowem w latach 1882-1883. Starał się też pomagać polskim zesłańcom w tym mieście, wspomagając ich w zdrowotnej potrzebie. Z niepokojem obserwował brak higieny wśród miejskiej biedoty i ludzi żyjących w stepach. Gdy w roku 1891 wybuchła w tym rejonie epidemia tyfusu, L. Maciejewski wyjechał z Semipałatyńska do Pawłodaru, by w znajdujących się tam izolowanych strefach nieść pomoc potrzebującym. Niestety, pomagając innym, zaraził się sam i w parę miesięcy potem zmarł. Pozostawił po sobie dobrą pamięć wśród wszystkich pacjentów – biednych i bo-

<sup>36</sup> W. Z. Galijew, *Medicinskaja diejatelnost ssylnych rewolucjonierow w Kazachstanie*, Alma-Ata 1982, s. 47-48.

<sup>37</sup> L. I. Maciejewskij, *Otczet Semipałatynskoj gorodskoj bezplatnoj leczebnicy dla biednych w 1898 g.*, „Semipałatynskoj oblastnyje wiadomosti”, 1890, nr 5.

gatyh, szczególnie jako lekarz chorób dziecięcych. W nekrologu napisał o nim, że:

Jako człowiek i lekarz starał się zawsze i wszędzie pomagać jak tylko mógł; podczas nocy i w niepogodę spieszył z pomocą bogatym i biednym; szczególnie był ceniony jak lekarz pediatra. Jeszcze w długie lata po praktyce lekarskiej Maciejewskiego w miejscowości Kopale miałem okazję – wspominał autor nekrologu – przekonać się, jak wielu biednych ze łzami dziękowało mu za to, że uchronił ich od chorób, a także ich bliskich, dzięki czemu żyją, ale i za to, że wspomagał ich także materialnie, za co żywią szczególną wdzięczność Ludwikowi Hipolitowiczowi. Taką samą dobrą pamięć pozostawił on w Kuldży, Wiernym i w innych miastach, w których służył. Z serdecznością i sympatią spotykał się zawsze z młodymi lekarzami, starając się udzielić im rad, by w przyszłości mogli uniknąć pomyłek w lekarskiej pracy.<sup>38</sup>

Z Wiernym związane były także losy lekarza Adama Przegockiego, pod koniec XIX stulecia, potem lekarza powiatowego w Tokmaku, obsługującego mieszkańców olbrzymiego obszaru. Mając do pomocy felczera Wasyla Frunzego, ojca Michaiła Frunzego, późniejszego radzieckiego dowódcy, działacza państwowego i partyjnego, obaj często pokonywali konno i na wielbłądach rozległe obszary stepowe, niosąc potrzebującym pomoc, za którą nie pobierali pieniędzy, jedynie prosili o gościnę w napotkanych jurtach. Kazachski lud bardzo cenił „dobrego lekarza o oddanym sercu dla biednych”, a miejscowa administracja obdarzała go należnym szacunkiem. Na terenie Siedmiorzecza pracowali także lekarze J. Kiszeński i N. Wyszpolski. Oni także, podobnie jak A. Przegocki, znani byli z troski o pacjentów, do których starali się dotrzeć nawet w najdalsze rejony stepów. Tam byli zawsze witani z serdecznością i żegnani z nadzieją, że gdy zajdzie potrzeba, pojawią się z pomocą. W Wiernym współczesnymi A. Przegockiemu byli lekarze M. Ignatowski i farmaceuta Józef Senczykowski. Ten ostatni przez wiele lat kierował apteką w szpitalu wojskowym, a po zakończeniu służby wojskowej otworzył apteki w Wiernym, Dżarkencie i w Karakoł. Pierwsza z nich istniała od 1882 do 1972 roku i przez wiele lat była centralną apteką (nr 1) w Ałma-Acie (została zburzona w czasie rozbudowy miasta). J. Senczykowski był też właścicielem laboratorium farmaceutycznego, przekształconego z czasem w Ałmatyńskie Zakłady Farmaceutyczne, które istniały do 1968 roku. W Wiernym pracował także inny Polak, farmaceuta S. Dubniewski. Aptekarzem w Orenburgu był Michał Cejzyk, jeden z pierwszych zawodowych fotografów w tym mieście. Pasja ta wiodła go w step gdzie utrwał różne jego obrazy. Niestety fotografie te nie dotrwały do naszych czasów, a i dalsze losy M. Cejzyka nikną w mrokach. Wśród ludności Siedmiorzecza szacunkiem cieszył się lekarz Jan Sikorski, taki sam w tej służbie dla bogatych jak i biednych. Głównym lekarzem w II Brygadzie Artylerii stacjonującej w Wiernym był J. Oliński. P. Balbucynow-

<sup>38</sup> F. Pojarkow, *Ludwik Ippolitowicz Maciejewskij (nekrolog)*, „Turkiestanskie wiadomości”, z dnia 28 kwietnia 1889 g.

ski był w Wiernym lekarzem cywilnym (z doktoratem uzyskanym na uniwersytecie w Kazaniu). Należy jeszcze wymienić innych lekarzy pracujących na terenie Siedmiorzecza: J. Długoszewskiego, S. Wiśniewskiego, H. Piaczkowskiego, J. Sikorskiego. W Kokczetawie pracował lekarz Z. Rudzki, w Omsku S. Grabski, w Akmolińskim II Batalionie służyli lekarze S. Grudziński, W. Kruczek-Gołubiew i J. Leszczyński, w Kustanaju dobrą opinią cieszył się lekarz F. Stadnicki.<sup>39</sup> Lekarze ci prowadzili wielokierunkową działalność, związaną nie tylko z doraźną pomocą medyczną, lecz także z profilaktyką i szerzeniem oświaty sanitarnej. Podczas epidemii tyfusu i cholery udzielali pomocy wielu chorym w odległych stepowych osadach. Ich praca była, jak na ówczesne warunki, bardzo nowoczesna. Poświęcali dużo uwagi chorobom infekcyjnym. Akcentowali wpływ warunków sanitarnych na zdrowotność społeczeństwa, postulując częstokroć radykalne zmiany w tym zakresie. Wielostronność ich działań medycznych wynikała z konieczności dostosowania do najróżniejszych warunków, w których przyszło im pracować, rzec można, że byli tam nie tylko lekarzami pierwszego kontaktu, ale także służbą sanitarną na terenach im podległych. Starając się zachować dużą dozę spokojnego obiektywizmu, należy jednak podkreślić, że lekarze ci legitymowali się dużą wiedzą medyczną oraz wysoce rzeczowym działaniem w zakresie pełnionych funkcji, zarówno jako lekarze służący w garnizonach, jak i w służbie cywilnej.

Chwała więc im za to, że tak to czynili. W stosunkach polsko-kazachskich jest to problem mało jeszcze przebadany, dodając zatem ten niewielki przyczynek do prezentowanych tu zagadnień, żywić należy nadzieję, że kwestia ta doczeka się pełniejszego oświetlenia po tylu latach niepamięci. Dotyczy to także lekarzy weterynarii, którzy pracowali w tym kraju, gdzie gospodarka związana była z pasterstwem, a więc i koniecznością istnienia odpowiedniej opieki sanitarnej. Ponadto liczne oddziały wojskowe stacjonujące tutaj posiadały formacje jazdy konnej, które były bardziej mobilne w stepowych warunkach aniżeli oddziały piechoty. Nie należy też zapominać, że do przemieszczania się tych oddziałów, zarówno podczas wojny, jak i pokoju musiały, być spełnione określone warunki logistyczne, zapewniające sprawny transport i komunikację. To zaś rodziło konieczność posiadania dużej ilości koni, a więc i istnienia odpowiedniej służby weterynaryjnej. Z pewnością byli w niej także Polacy pozostający zarówno w służbie wojskowej, jak i cywilnej. Do jednych z nich należał Józef Szyszkowski (1853-1913), absolwent studiów weterynaryjnych na Uniwersytecie w Kazaniu. Brał on udział w wojnie rosyjsko-tureckiej (1878) a po jej zakończeniu przeszedł do służby cywilnej. Pragnienie życia godnego i pożytecznego skłoniło go do poszukiwania pracy odpowiadającej wspomnianym oczekiwaniom. Najdłużej pracował w guberni permskiej (1881-1895), a potem krótko w Tiume-

<sup>39</sup> W. Z. Galijew, *Medicinskaja diejatelnost...*, op. cit. s.45-58.

niu. Przyjmując spokojnie wszelkie odmiany losu towarzyszące pracy zawodowej i różne przeciwności, opuścił Syberię i w 1898 roku przeniósł się do obwodu semipałatyńskiego, a w 1910 zamieszkał w Semipałatyńsku, biorąc udział w organizowaniu tamtejszej służby weterynaryjnej. Wspólnota zawodowa skłaniała go jako doświadczonego lekarza do podejmowania wielorakich przedsięwzięć na rzecz statusu społeczno-zawodowego służby weterynaryjnej i zadał sobie wiele trudu, by cele te urealnić. Zabiegał o nie w odpowiednich urzędach i publikował na ten temat artykuły na łamach weterynaryjnego czasopisma.<sup>40</sup> Znając miejscowe realia, widział potrzebę zmiany opodatkowania mieszkańców kazachskich stepów i pełniejszej kontroli urzędników, odwołując się do wcześniej postulowanych zmian w tym zakresie, próbując sprostac założonemu celowi uporządkowania tego problemu. W jednym z artykułów omówił też ważną dla regionu, w którym pracował, kwestię znaną tam pod nazwą *dżut*, czyli zjawiska spóźnionego śniegu i lodu w stepie, powodującego osłabioną i opóźnioną wegetację roślin, co było źródłem głodu doskwierającego miejscowej ludności żyjącej z wypasu bydła. W tym wątku obejmującym służbę weterynaryjną Polaków w Kazachstanie mieści się postać absolwenta Instytutu Weterynaryjnego w Warszawie Wacława Bienkiewicza. W latach 1891-1907 pracował na Syberii, a następnie w rejonie turgajskim w Kazachstanie. W 1921 roku powrócił do kraju i początkowo służył w wojsku, a od roku 1922 był inspektorem weterynaryjnym na Polesiu. W jego pracy poza krajem mamy do czynienia nie tylko z klasycznymi obowiązkami lekarza weterynarii, bowiem posiadana wiedza skłaniała go do wyrażania poglądów dotyczących prawidłowego zarządzania gospodarką pastersko-hodowlaną, w ten sposób by przynosiła ona ewidentne korzyści. W latach 1896-1912 opublikował około 30 artykułów z tego zakresu, których tematyka związana była z miejscami pobytu w których pracował. W publikacjach tych oprócz spraw strictly lekarskich mamy do czynienia z opisem i oceną określonych złożoności gospodarki stepowej. Fakty te znane z autopsji starał się przedstawiać lokalnym władzom, będąc przekonany, że stanowiły one jedną z przesłanek stabilizacji lokalnej gospodarki pasterskiej.<sup>41</sup>

W zapomnieniu pozostaje także do dzisiaj sprawa polskich inżynierów cywilnych i wojskowych, stanowiąca ważny komponent związków polsko-kazachskich. Podobnie jak lekarze, byli oni absolwentami uczelni rosyjskich i w większości wchłaniała ich rozwijająca się gospodarka im-

<sup>40</sup> J. Szyszkowski, *Wozmožno-li wwieddienije procentnogo sboro w Kirgiskich stiepatch*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii”, 1900, nr 2; tenże, *O wietierinarnoj organizaciji w Siemipalatynskoj oblasti*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii”, 1911, nr 5; tenże, *Dżut w Siemipalatynskoj oblasti w 1912 godu*, *Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii*, 1913, nr 3.

<sup>41</sup> W. Bienkiewicz, *Nabludienija, materiały i zamietki sobrannyje w Kirgiskoj Stiepi.*, „Wiestnik Obszczestwiennoj Wietierinarii”, 1905, nr 18-23; tenże, *Kirgiskoje stiepnoje skotowodstwo i mieri k jego uhutschenija*, „Zapiski Siemipalatynskogo Pototdieła Zapadno-Sibirskogo Otdieła IRGO, Siemipalatinsk 1903, wyp. 1.

perium. Uświadamia to nam, że losy tych ludzi przecinały się ze szlakami tych, którzy pracowali w owym czasie na terenie Syberii, uruchamiając żeglugę parową na jej rzekach, pracując przy budowie magistrali transsyberyjskiej, w kopalniach węgla, zakładach metalowych, gorzelniach i browarach. Akurat w odniesieniu do Syberii problem ten jest trochę znany, aczkolwiek on też wymaga pełniejszego opracowania z wykorzystaniem zasobów źródłowych znajdujących się w Rosji, natomiast te same kwestie odnoszące się do Kazachstanu tkwią jeszcze w mrokach niewiedzy.<sup>42</sup> Zdając sobie jednak sprawę z faktu, że próba uszczegółowienia tego problemu, a więc tym samym wypełnienia istniejącej luki faktograficznej nie może być należycie przedstawiona, warto jednak zwrócić uwagę i na te kwestie.

Idźmy więc dalej szlakiem polskich doświadczeń badawczych związanych z Kazachstanem i jego bogactwami naturalnymi, jakimi natura obdarzyła ten kraj. W latach 1848-1849 miała miejsce wyprawa aralska Aleksego Butakowa mająca na celu sporządzenie geologicznego opisu obszarów między Jeziorem Aralskim a Morzem Kaspijskim i odkrycia pokładów węgla kamiennego, dla potrzeb żeglugi po tych akwenach. W ekspedycji brali udział Polacy, karnie wcieleni do służby w batalionach Korpusu Orenburskiego. Byli wśród nich Aleksander Chrabczyński, który odbywał zesłańczą służbę wojskową w 1. orenburskim batalionie liniowym w Uralsku, skazany za udział w powstaniu krakowskim w 1846 roku, wydany Rosjanom przez władze austriackie. Za usiłowanie zaagitowania grupy rekrutów wysłanych z Dąbrowy Górniczej do Warszawy, by przekroczyli kordon graniczny i przyłączyli się do powstania krakowskiego wcielono do 3. orenburskiego batalionu liniowego stacjonującego w Orenburgu Roberta Koprowskiego, natomiast do 4. batalionu tej samej formacji rozlokowanego w twierdzy aralskiej za podobną „formę przestępstwa” zesłany został Stanisław Królikiewicz, który później po uzyskaniu awansu na podoficera przeniesiony został do 5. orenburskiego batalionu w Orsku, gdzie poznał bliżej Tarasa Szewczenkę. Za udział w powstaniu krakowskim oraz za „przechowywanie wierszy w duchu nieprzychylnym rządowi, ukrywanie się za granicą i niewłaściwy sposób myślenia” skazany też został na służbę w Korpusie Orenburskim (4. i 10. batalion), „urzędnik górnictwa w zakładzie Dąbrowa” Hipolit Płaszczewski. Skłanianie „umysłów do buntu” oraz „deklamowanie po domach wierszy patriotycznych i prowadzenie szkodliwych rozmów” legło u podstaw zesłania Seweryna Przewłockiego, z powiatu krasnystawskiego, zamieszka-

---

<sup>42</sup> W. Skubniewski, *Spis przedsiębiorców na Syberii – Polaków i osób polskiego pochodzenia – w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku*, „Zesłaniec”, 2005, nr 23, s. 117-125; M. Browczenko, *Polscy zesłańcy w kopalniach złota w Jakucji*, „Zesłaniec”, 2005, nr 27, s. 3-8; N. I. Naumowa, *Kolejarze-Polacy na Syberii (1905-1920)*, „Zesłaniec” 2006, nr 27, s.17-32; K. Tumanik, *Józef Adamowski i początki żeglugi parowej na Syberii Zachodniej w połowie XIX wieku*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 2006, t. 10.

nego w tzw. spisek aptekarski w Warszawie. On także odbywał służbę w jednym z batalionów Korpusu Orenburskiego i brał udział w wyprawie A. Butakowa. Jej uczestnikiem był również Tomasz Werner, aresztowany w roku 1844 w Warszawie za przynależność do tajnej organizacji pod nazwą Związek Narodu Polskiego, zamiar zdobycia Cytadeli Warszawskiej oraz Zamku Królewskiego i wywołania przewrotu. Ukarany chłostą w warszawskim cyrkułe policji został wcielony do Korpusu Orenburskiego (4. batalion liniowy w Aralsku). We wspomnianej wyprawie był kierownikiem grupy geologów, poszukujących złóż węgla oraz dowodził statkiem parowym na Syr-Darii, co świadczy o niepośledniej roli jaką pełnił w tej geologicznej ekspedycji kierowanej przez oficerów rosyjskich, po zakończeniu której otrzymał awans na chorążego. Zastępcą kierownika tej wyprawy był Ludwik Turno, urzędnik górniczy w Zagłębiu Dąbrowskim, który w czasie powstania krakowskiego zamierzał przyłączyć się do jego uczestników i aresztowany znalazł się w 1847 roku na linii orenburskiej, odziany w szynel rosyjskiego sałdata. Jej uczestnikiem był także Hipolit Zawadzki, urzędnik zakładów górniczych w Królestwie Polskim obwiniony o przygotowanie górników z rejonu Dąbrowy Górniczej do udziału w powstaniu krakowskim. Wcielono go do Korpusu Orenburskiego (5. batalion w Orsku), skąd w 1850 roku za posiadanie „nieprawomyślnych wypisów z zakazanej książki A. de Custine’a,<sup>43</sup> został karnie przeniesiony do batalionów nerczyńskich na terenie Wschodniej Syberii, stacjonujących w Szyłce nad Bajkałem. Wrócił z zesłania w 1857 r. i poległ podczas powstania styczniowego. Dodajmy tu jeszcze, że za niepokorność wobec władz carskich w jednym z oddziałów Korpusu Orenburskiego znalazł się także Florentyn Żukowski uczestniczący także w wyprawie A. Butakowa. W ekspedycji tej brał również udział kolejny Polak lekarz wojskowy Sylwester Kilkiewicz, a wspomniany już poprzednio Bronisław Zaleski wykonał wiele rysunków dokumentacyjnych będących pokłosiem jej terenowych eksploracji. Ekspedycja ta była poważnym przedsięwzięciem organizacyjnym na miarę zakładanych oczekiwań, które niestety nie przyniosły spodziewanych rezultatów bowiem odnalezione na półwyspie Kułanda pokłady węgla kamiennego okazały się kiepskiej jakości i nie nadawał się on do palenia pod kotłami statków parowych.

Dziwić może, że tylu Polaków znalazło się jednocześnie w tej wyprawie, zważywszy jednak na fakt, że niektórzy z nich związani byli zawodowo z zakładami górniczymi Zagłębia Dąbrowskiego, posiadali więc stosowną wiedzę geologiczną, a ponadto w masie rosyjskich żołdaków, w większości niepiśmiennych, stanowili rodzaj wykształconej elity na której

---

<sup>43</sup> A. de Custine, *Rosja w roku 1839*, tłumaczył i przypisami oraz posłowiem opatrzył Paweł Hertz, Warszawa 1995. Pierwsze francuskie wydanie tej książki ukazało się w roku 1843 w Paryżu pt. *La Russie en 1839*. Biogramy w/wym. uczestników ekspedycji A. Butakowa znajdują się w: W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy...*, op. cit., s.

można było się oprzeć w trudnych ekspedycjach terenowych. Te okoliczności zadecydowały też o tym, że wzięli oni udział w kolejnej ekspedycji badawczej w rejon Morza Kaspijskiego, która rozpoczęła się w kwietniu 1851 roku pod kierownictwem Aleksieja Antipowa, porucznika korpusu inżynierów górniczych. Teren eksploracji obejmował półwysep Mangyszłak i płaskowyż Ust-Urt leżące między Morzem Kaspijskim a Jeziorem Aralskim. Rezultaty geologiczne wyprawy nie przyniosły spodziewanego rezultatu i podobnie jak wyprawa A. Butakowa, także i ta nie odnalazła pokładów węgla kamiennego potrzebnego przede wszystkim dla wojennej floty czarnomorskiej, ale także i dla statków pływających po Morzu Kaspijskim i Jeziorze Aralskim. Ostatecznie zakończyła ona pobyt w terenie we wrześniu 1851 roku i na statku, który wypłynął z Nowopietrowska przybyła do Orenburga. Niektórzy z Polaków uczestniczący w obu tych wyprawach odbywali później indywidualne lokalne wyjazdy w teren w celu rozpoznania geologicznego, jednak praktyczne rezultaty tych penetracji nie były imponujące. Od czasu do czasu trafiali na ślady węgla i innych kopalin, poznawali jednak teren i jego tubylczych mieszkańców. Często-kroć wracali z terenu z okazami różnych kamieni i podręcznymi zielnikami, które przekazywano do muzeum w Orenburgu.

Przypomnijmy tu jeszcze, a raczej odkryjmy czytelnikom postać inż. Jana Kozzień-Poklewskiego (1837-1896), absolwenta szkoły podchorążych w Sankt-Petersburgu, a potem studenta Akademii Inżynierów Wojskowych. Kariery wojskowej w rosyjskiej armii nie zrobił, natomiast w powstaniu styczniowym w stopniu pułkownika dowodził jednym z oddziałów. Uniknął zesłania i wyjechał do Francji, gdzie brał udział w wojnie francusko-pruskiej. Zdecydował się jednak na powrót do kraju i złożył odpowiedni raport władzom rosyjskim, zapewniający je o lojalnej służbie, jeśli taka zostanie mu umożliwiona. Na nic zdały się te zapewnienia, został aresztowany, pozbawiony stopnia oficerskiego i skazany na służbę wojskową w twierdzy Wiernyj. Uwolniony po pewnym czasie, zajmował się rozpoznaniem złóż surowców naturalnych, był właścicielem dużego zakładu kamieniarskiego w Kuldży. W Wiernym zaprojektował sieć aryków odprowadzających wodę z górnych partii miasta, przyczyniając się w ten sposób do właściwego odpływu wód deszczowych, wyrządzających nieraz znaczne szkody na ciągach komunikacyjnych miasta i posesjach. Był też twórcą żeglugi parowej na rzece Ili, wpadającej do jeziora Bałchasz oraz właścicielem jednego statku obsługującego ten trakt wodny. W 1884 roku ogłosił pracę pt. *Nowyj targowyj put od Irtysza w Wiernyj i Kuldżu i issledowanije rieki Ili na parochodie „Kolpakowskij”*. Zwrócił w niej uwagę na problemy geograficzne, hydrograficzne i topograficzne opisanego szlaku handlowego, podkreślając fakt, że może on przyczynić się do zagospodarowania ziem leżących w obrębie

tej niezmiernie istotnej linii komunikacyjnej.<sup>44</sup> W Kazachstanie prowadził także rozpoznania geologiczne (rejon twierdzy Wierny) Alfons Kozieł-Poklewski (1809-1890), zajmujący się od 1838 roku wszechstronną działalnością gospodarczą na Syberii. Był organizatorem prywatnej żeglugi na rzekach Ob, Irtysz i Tura, zatem chciał pozyskać z Kazachstanu dobry i tani węgiel nadający się do spalania w kotłach parowych.<sup>45</sup> Porządkując obfity materiał związany z dziejami Polaków w Kazachstanie oraz ich działalnością wojskową, administracyjną, naukową czy gospodarczą, wspomnieć jeszcze należy o Stefanie Baranowskim (1817-1890), absolwencie studiów językowych Uniwersytetu Petersburskiego, który przez pewien czas pełnił obowiązki kuratora szkół w Zachodniej Syberii i przyczynił się do rozwoju kolejnictwa na podległym mu terenie, wpływając na podjęcie decyzji o budowaniu linii kolejowej na trasie Orenburg – Taszkient – Samarkanda, czynnej do dziś.<sup>46</sup> Wielkie znaczenie dla Kazachstanu miały też studia geologiczne prowadzone tam w 1898 roku przez Karola Bohdanowicza. On też prowadził badania nad skutkami trzęsienia ziemi w Ałmaty (1911), które udokumentował bogatym opisem merytorycznym. Do jego zasług należy też odkrycie złóż ropy naftowej w rejonie rzeki Emby. Jako kierownik Komitetu Geologicznego w Rosji kierował on do Kazachstanu związanych z tym Komitetem polskich geologów wykształconych na uczelniach rosyjskich, którzy w różnych latach prowadzili tam rozpoznania geologiczne.<sup>47</sup> Z jego rekomendacji rozpoczął terenowe badania geologiczne w obwodzie akmolińskim Stefan Czarnocki, który także zajmował się podobnymi badaniami na polach naftowych Emby. Wspomagali go w tym Arnold Makowski i Stanisław Doktorowicz-Hrebnicki, którzy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918 pracowali w krajowej służbie geologicznej. Badaniami geologicznymi w Kazachstanie zajmował się także w początkach XX wieku Henryk Czeczott, inżynier górniczy, który odkrył tereny złotonośne w obwodzie semipałatyńskim, gdzie według jego projektu i pod nadzorem wybudowano kopalnię eksploatującą ten drogocenny kruszec. We wszystkich jego poczynaniach badawczych towarzyszyła mu żona, Hanna Czeczotowa, która w Kazachstanie prowadziła badania z dziedzi-

<sup>44</sup> N. P. Iwlew, *Nachodka krajewieda*, Ałma-Ata 1977, s. 94-115. Wspomnianą powyżej pracę o szlaku targowym wiodącym Irtyszem do miasta Wierny opublikował na łamach czasopisma „Izwestija Sobranija Inżenierow Putiej Soobszczenija”, 1884, nr 11-12.

<sup>45</sup> T. Mosunowa, *Alfons Kozieł-Poklewski i jego firma*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 2000, t. 4, s. 49-64; S. Fiel, *Na syberyjskim trakcie. Polacy w Kraju Tiumeńskim*, Warszawa 1999, s. 29-66.

<sup>46</sup> A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku...*, s. 15-16; tenże, *Polacy w Kazachstanie...*, s. 48-49.

<sup>47</sup> Pewne wątki dotyczące prac eksploracyjnych K. Bohdanowicza w Kazachstanie znajdują się w monografii biograficznej jemu poświęconej napisanej przez Profesora Zbigniewa Wójcika z Muzeum Ziemi PAN, a wydanej w serii pod nazwą „Biblioteka Zesłańca”, istniejącej przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym we Wrocławiu, zobacz: Z. Wojcik, *Karol Bohdanowicz. Szkic portretu badacza Azji*, Warszawa-Wrocław 1997.



ny systematyki roślin. Z ramienia petersburskiego ogrodu botanicznego badania florystyczne między Tien-szanem a jeziorem Bałchasz prowadził geobotanik Mieczysław Ptaszycki. On też rozpoznawał warunki glebowe i klimatyczne Stepów Akmolckich pod kątem warunki wegetacji zbóż, które z czasem stały się ważnym bogactwem gospodarki rolnej tej części Kazachstanu. Rezultaty swoich badań przedstawił w kilku pracach opublikowanych w Petersburgu. Wśród eksploratorów bogactw kazachskiej ziemi był też Antoni Kulczycki, absolwent renomowanego Instytutu Górniczego w Petersburgu (1912), prowadzący w latach 1914-1915 z ramienia Ministerstwa i Dróg Państwowych w Rosji badania hydrogeologiczne w Kazachstanie, w trakcie których zgromadził bogatą kolekcję petrograficzną.<sup>48</sup> Na terenie tzw. Siedmiorzeczca w latach 1882-1884 prowadził prace topograficzne, geograficzne i astronomiczne Ryszard Zakrzewski, a w jednej z jego prac znajdują się m. in. ciekawe informacje etnograficzne o Kazachach.<sup>49</sup> Są też wyraźne dane źródłowe związane z działalnością badawczą Adama Białowieskiego i Eugeniusza Michaleisa, którzy wykonali mapę geologiczną powiatu ust-kamieniogorskiego, ważny jak na owe czasy dokument będący podstawą rozwoju w tym rejonie zakładów przemysłu wydobywczego rud i metali. A. Białowieski (1860-1915?) studiował na wydziale matematyczno-fizycznym Uniwersytetu Kijowskiego. Posądzony o przynależność do „rewolucyjnej organizacji”, do której bez wątpienia należała „Narodnaja Wola” zamierzająca obalić istniejący porządek państwowy, został zesłany w głąb guberni archangielskiej, skąd powrócił w roku 1881. Nie długo jednak cieszył się wolnością i wkrótce gdy ustalono, że był on członkiem kółka narodowolców zesłano go do Ust-Kamieniogorska, na terenie dzisiejszego Kazachstanu, małego miasteczka liczącego wówczas niespełna 5 tysięcy mieszkańców, przepięknie położonego, o zdrowym klimacie i dwu rzekach Irtysz i Ulba, odznaczającego się także taniością produktów, co było niebagatelną okolicznością dla zesłańców. Wiadomo także, że przez pewien czas mieszkał w Barnaule i Semipałatyńsku. Nie wiele natomiast wiemy o „rewolucyjnej” działalności, A. Białowieskiego, zapewne jednak uważany był za człowieka niebezpiecznego dla panującego wówczas systemu politycznego skoro kilkakrotnie go aresztowano i spędził na zesłaniu ogółem około 20 lat. Nieco wiadomości o jego życiu zawiera artykuł, pt. *Iz przeszłości*, który opublikował w roku 1906 w czasopiśmie „Byłoje” (nr 8). Nadal jednak jego dalsze losy po zwolnieniu z zesłania (1896) nie są znane, wiadomo jedynie, że przez dłuższy czas pracował na kolei i że w 1915 roku mieszkał jeszcze w Petersburgu.

W Ust-Kamieniogorsku, do którego zesłano A. Białowieskiego – wówczas prowincjonalnym miasteczku wyznaczonym przez Radę do Spraw Wewnętrznych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na miejsce

<sup>48</sup> A. Kijas, *Polacy w Rosji...*, op. cit., s. 180-181.

<sup>49</sup> W. i T. Słabczyńscy, op. cit., s. 242.

zsyłki - przebywało wielu „niepokornych”, którzy w różny sposób włączali się w nurt życia pożytecznego dla miejsca, w którym wypadło im przebywać. Tam spotkał go wspomniany już dziennikarz amerykański G. Kennan, na którym zrobił on pozytywne wrażenie, nie omieszkał więc napisać, że uważał go „za szczególnie uzdolnionego, który znał dokładnie historię Rosji i prawodawstwo rosyjskie i obeznany był zupełnie z historią i literaturą narodów zachodnio-europejskich. Miał sąd o wszystkim umiarkowany i pozbawiony przesądów i choć jego pogląd na świat zabarwiony był mocno pesymistycznie, znosił swą smutną dolę z godnością i męstwem.”<sup>50</sup>

Wspólnota losu i wspólnota postaw przebywających tam zesłańców powodowała, że znajdowali oni różne możliwości dla wykorzystania swojej wiedzy i włączali się w różne działania miejscowych władz. Pobliski Komitet Statystyczny w Semiałatyńsku angażował też tych zesłańców do swoich prac. Tego rodzaju „twórczych” przedsięwzięć przytoczyć można wiele, dość powiedzieć, że aż nadto pochłaniały tych ludzi sprawy otoczenia i gdy nadarzały się stosowne okoliczności starali się być pożyteczni dla miejscowych inicjatyw administracyjnych czy badawczych. W tym ogólnym wówczas procesie zmierzającym do poznania zasobów naturalnych północnego Kazachstanu oraz kultury zasiedlających go autochtonicznych ludów rodziło się więc wykorzystanie wiedzy zesłańców. Z takiej potrzeby wywodzą się też badania geologiczne A. Białowieskiego, który kwietniu 1886 roku, napisał do gubernatora wojskowego informację iż wspólnie z Eugeniuszem Michaelisem, „podjęliśmy się sporządzenia mapy geologicznej okolic miasta i bardziej ciekawych geologicznie miejsc na terenie powiatu. Przeprowadzenie takiego rozpoznania, może być dokonane podczas wypraw terenowych, natomiast mapy będą rysowane tutaj w mieście.”<sup>51</sup>

Zgodnie z oczekiwaniem uzyskał stosowną zgodę na prowadzenie takich badań, mimo to wyzwolenie nie było całkowite i status zesłańca, który na nim ciążył istniał przecież nadal. W tym punkcie byt A. Białowieskiego styka się z życiem wielu mu podobnych zesłańców, którzy tak jak on wypełniali je różnorodnością pożytecznych działań. Dlatego tak ważne jest utrwalanie w zapisie obrazu tamtej rzeczywistości, co daje pełniejszy obraz trudu tych ludzi będących wszakże zesłańcami odgrodzonymi od świata wolnych mieszkańców administracyjnymi rygorami i ciągłym baczeniem władz na ich postępowanie. Było to życie obolałe poddane kontroli i trzeba było być odpornym na nie, by mimo wszystko kreować je pożytecznym. Nie wszystkim to się udawało, ale A. Białowieskiemu tak.

<sup>50</sup> G. Kennan, op. cit., s. 132.

<sup>51</sup> I. N. Nikulina, *Udział zesłańców polskich drugiej połowy XIX wieku w badaniach naukowych Altaju*. „Zesłaniec”, 2000, nr 31, s.

Z czasem w miarę nagromadzonych doświadczeń podejmował nowe ekspedycje subsydiowane przez władze. I za każdym razem nabierał zapewne przekonania, że właśnie geologia i wyprawy w teren dają mu, choćby na pewien czas poczucie, że jest człowiekiem wolnym. Kontynuował więc swe ekspedycje i z czasem objęły one ważny geologiczny problem zlodowacenia Altaju. W tym zakresie osiągnął liczące się w geologii rezultaty i pracę na ten temat (*Ice period on the Altai Range*) opublikował w angielskim czasopiśmie „Nature” – vol.35, nr 909, z dnia 31 marca 1887. W chwili ukazania się tego artykułu formy i zjawiska geologiczne spotykane na terenie Centralnego Altaju były mało znane. Oprócz ważnych geologicznych konstatacji praca ta pozwala przynajmniej w zarysie uściślić trasę podróży badawczych jej autora, chociaż i to – jak zauważyli W. i T. Słabczyńscy<sup>52</sup> – nastrocza pewne trudności z powodu późniejszych zmian w nazewnictwie geograficznym na tamtych obszarach. Praca ta pierwotnie nie zauważona przez rosyjskich specjalistów z zakresu nauk o ziemi nabrała z czasem istotnego dla nich znaczenia i zaliczona została do wybitnych rozpraw w historii badań geologicznych na terenie Azji Środkowej, a znany geograf i podróżnik Władimir A. Obruczew przetłumaczył ją na rosyjski i w formie aneksu dołączył do swojej publikacji pt. *Altajskie etjudy* (1914), w pełni podzielając poglądy A. Białowieskiego na problem periodyzacji epoki lodowej na terenie Altaju.<sup>53</sup>

Niepodobna też nie wspomnieć tutaj o Władysławie Massalskim (1859-1932), botaniku i geografie, który po ukończeniu gimnazjum w Wilnie studiował na Uniwersytecie Petersburskim. Potem przez wiele lat związany był z nauką rosyjską. Prowadził badania przyrodnicze na Zakaukaziu i brał żywy udział w pracach Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, które zresztą subsydiowało jego ekspedycje. Przez szereg lat był dyrektorem departamentu w Ministerstwie Rolnictwa w Petersburgu i zasłużył się w dziedzinie opracowania programów nawadniających oraz w ich realizacji na terenie Turkiestanu. W kraju tym badał także możliwości podniesienia kultury upraw rolnych przede wszystkim rozwinięcia tam plantacji bawełny. Wiele podróżował po Azji Środkowej fascynując się jej historią i kulturą i po powrocie do Polski w roku 1922 aktywnie uczestniczył w jej życiu naukowym. Był współorganizatorem Instytutu Wschodniego oraz Towarzystwa Azjatyckiego a w latach 1926-1931 pełnił funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Geograficznego oraz na łamach jego czasopisma „Przegląd Geograficzny” publikował różne artykuły, podobnie zresztą jak i w innych periodykach krajowych. Lata spędzone w Rosji a przede wszystkim w Azji Środkowej były stałym elementem składowym jego fascynacji Wschodem o czym niezmiernie ciekawie pisał w licznych tekstach wschodnioznawczych. W jednym z nich,

<sup>52</sup> W. i T. Słabczyńscy, op. cit. s. 33-34.

<sup>53</sup> W. A. Obruczew, *Altajskie etjudy. Zamietki o śladach drewniego olodienija w Ruskom Altaje (Etjud pierwszy)*, [w:] *Izobrannyje raboty po gieografii Azji*, t. 3, Moskwa 1951.

który może najbardziej oddaje jego umiłowanie dla tych stron stwierdzał, iż:

Wschód do dziś nęci, mami, pociąga i fascynuje. Pociąga przede wszystkim urokiem przeszłości. Wchodzi tu w grę nie tylko część pielgrzymki do źródeł cywilizacji i kultury oraz poznania krajów, o których wzmianki towarzyszą nam od lat dziecięcych, nie tylko pęd do oglądania cmentarzysk epoki minionych i widowni czynów nieśmiertelnych, lecz może i nieświadomione pragnienie złożenia hołdu praojczyźnie, z którą tak jak gdyby dotychczas nas łączy nieuchwytnie uczucie atawistyczne. Trawi nas żądza zajrzenia tam, gdzie jeszcze tli się dusza Wschodu, która niegdyś wzniewała płomienny blask na świat cały. Nęci też i Wschód terazniejszy. Egzotyzm krajów, ludzi i otoczenia, kontrasty rzeźby i krajobrazu, olśniewające słońce, barwy żywe i przepiękne – tworzą całość tajemniczą, niezmiernie interesującą i swoistą, która sprawia głębokie wrażenie, porywa i przykuwa na zawsze.<sup>54</sup>

Można śmiało napisać, że fascynacja ta wynikała z autopsji, bo przecież będąc na terenie tego Wschodu, który tak dobrze poznał W. Massalski, nie sposób nie pozostawać pod jego urokiem, wszakże we wspaniałych zabytkach Turkiestanu, Tadżykistanu czy Kirgizji kryje się tajemnica dwoistości albo nawet wielości kultur tego regionu. Sam wiem o tym, bowiem dzisiaj gdy ta część Azji przeżywa różne postradzieckie konflikty i jechać tam raczej niebezpiecznie, stają mi przed oczyma wspaniałe zabytki, które odnajduje i potwierdza pamięć, wydobywająca nieraz szczegóły tamtejszej starej architektury i jej dawne piękno, które na szczęście miałem okazję poznać gdy dawne radzieckie biura podróży odprawiały tam turystów. Monumentalną pracą W. Massalskiego jest monografia zatytułowana *Turkiestański kraj* (ogłoszona w Petersburgu w 1913 r.), w której są także o dużej wiarygodności pewne odniesienia do Kazachstanu i Kazachów dające interesujący obraz etnograficznych realiów i mających poważny walor kulturoznawczo-antropologiczny.<sup>55</sup>

Byłoby nieroztropnością pominąć tutaj niezmiernie ważnego nurtu prac ogólnogeograficznych związanych z Kazachstanem, prowadzonych przez oficerów armii carskiej polskiego pochodzenia. Już bowiem w latach trzydziestych XIX stulecia przedsięwzięto w Sztabie Generalnym armii rosyjskiej program szeroko zakrojonych prac geograficzno-strategicznych, których wyniki publikowano na łamach wielotomowych serii „Materiały do geografii i statystyki Rossji” oraz „Wojenno-staticzeskoje obozrenije Rossijskoj Imperii”, nie udostępnianych szerszemu ogółowi. Przeto i wiedza w nich zawarta nie rezonowała pełniej w nauce i służyła wyłącznie do celów wojskowych. W sumie wydano około 200 tomów, a jednocześnie publikowano tajne materiały specjalnego znaczenia pt. „Sbornik geograficzeskich, topograficzeskich i staticzeskich matieriałow

<sup>54</sup> W. Massalski, *Skarby Wschodu*, „Wiedza i Życie” 1927, nr 7, s. 49.

<sup>55</sup> M. Strzechowski, *Wkład Władysława Massalskiego w poznanie kultury ludów Azji Środkowej*, [w:] *Kultura i życie społeczne Azji Środkowej. Z polskich badań dawnych i współczesnych*. Praca zbiorowa pod red. Z. Jasiewicza, Poznań 1983, s. 61-71.

po Azji”, zawierający rezultaty badań prowadzonych przez wojskowe ekspedycje naukowe badające kraje Azji Środkowej. Brał w nich udział porucznik Jan Gawerdowski, autor pracy na temat stepów kirgiskich, kryjącej wiele ciekawych wiadomości typu geograficznego i kulturowego. Z Kazachstanem związane są także prace chronometryczne Piotra Zalewskiego, pochodzącego z guberni grodzieńskiej, astronoma i geodety, podpułkownika wojsk rosyjskich. W pracach tych wspomagał go drugi Polak Stefan Kozłowski. Rezultatem ich prac było określenie punktów astronomicznych i triangulacyjnych oraz zweryfikowanie podawanych dotychczas długości geograficznych. Potem przez wiele lat wyniki ich badań stanowiły podstawę prac kartograficznych dotyczących niektórych rejonów Kazachstanu.<sup>56</sup> Wątek wojskowy każe nam wspomnieć też o gen. Bronisławie Grąbczewskim (1855-1926), autorze interesujących prac osnutych na kanwie swoich wypraw wojskowych, których rezultaty dostarczyły sztabowi generalnemu wielu ważnych konstatacji o charakterze strategicznym obejmujących także niektóre rejony Kazachstanu.<sup>57</sup> Jego wspomnieniowa trzytomowa książka o podróżach po Azji Środkowej, wydana w Warszawie w latach 1924-1925 nosi tytuł: *Kaszgaria. Kraj i ludzie*, t. 1; *Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus*, t. 2 i *W pustyniach Reskemu i Tybetu*, t. 3, wznowiona w 1958 roku w Warszawie w jednotomowym wydaniu zatytułowanym *Podróże po Azji Środkowej* zawiera sporo materiałów etnograficznych. Jej autor był świetnym znawcą kultur ludów tej części Azji Środkowej, z którymi obcował na co dzień, oddając się z zapałem poznawaniu różnych osobliwości tamtego świata. Pisał o pożywieniu, ubiorach, jurtach i jej wyposażeniu o narodzinach i pogrzebach, charakteryzował religie i ustrój społeczny. Często opisane przez niego elementy kultury tamtejszych ludów zanikły pod wpływem akulturacji, przeto informacje zawarte w jego wspomnieniach zyskują na wartości i warte są przypomnienia. Wiele z tych kulturowych wątków odnosi się także do Kazachów i jak do tej pory były one pomijane w kreśleniu obrazu polskiego opisywania Kazachstanu chociaż problematyką realiów archeologicznych, etnograficznych i historycznych zajęła się przed laty N. M. Akramowa.<sup>58</sup>

Polskie opisywanie Kazachstanu do czasów rewolucji październikowej w Rosji ma więc wiele wątków, z których jedne są już bliżej znane, inne natomiast zaledwie zaczynają się wyłaniać z licznych, dopiero teraz dostępnych źródeł i wymagają naukowego opracowania. Może się to odbywać tylko w zespole programów badawczych, realizowanych wspólnie przez uczonych polskich, kazachskich i rosyjskich. Pierwsze

<sup>56</sup> W. i T. Słabczyński, op. cit., s. 243.

<sup>57</sup> M. Marciniak, *Bronisław Grąbczewski jako badacz kultury ludów Azji Środkowej*, [w:] *Kultura i życie społeczne Azji Środkowej. Z polskich badań dawnych i współczesnych*, pod red. Z. Jasiewicza, Poznań 1983, s. 11-22.

<sup>58</sup> A. M. Akramowa, *Woprosy istorii, archeologii i etnografii narodow Pamira i Pri-pamira w trudach B. L. Grombczewskiego*, Duszanbe 1943.

próby zostały już podjęte. Obraz Polaków przebywających na terenie Kazachstanu do czasów rewolucji październikowej jest więc zróżnicowany. Zaznaczyli oni swoją obecność w wielu dziedzinach prowadzonych tam badań i eksploracji, nierzadko o pionierskim charakterze. Dotyczy to geografii i geologii, botaniki, medycyny, etnografii i folklorystyki. Podkreśla to wielu badaczy tej problematyki, z pewnością jednak nowsze badania pogłębią ten stan wiedzy. Ustalenie dokładnej listy Polaków, którzy zaznaczyli swoją obecność w różnych formach życia naukowego, społecznego, gospodarczego czy politycznego na terenie Kazachstanu do czasów rewolucji październikowej, nastrecza różnorakie trudności i przy obecnym stanie wiedzy niełatwo sformułować jakieś pełniejsze konkluzje. Obraz ich aktywności zawodowej i społecznej przejawia się w różnych źródłach typu naukowego i administracyjnego, nierzadko trudno jeszcze dostępnych dla polskich badaczy. Jest to więc kolejny postulat badawczy, mogący wejść w ramy zainteresowań uczonych polskich i kazachskich. Tutaj odnotować również trzeba znamieny fakt związany między uczelniami i instytucjami badawczymi Kazachstanu i Polski, jaka miała miejsce w okresie lat 60. ubiegłego stulecia. To właśnie wówczas poświęcono wiele uwagi ekologicznej tragedii Jeziora Aralskiego oraz skażeniu radioaktywnemu rejonu Semipałatyńska. Wyniki tych prac nie do opublikowania wówczas w ZSRR ze względu na ograniczenia cenzury ukazały się na zachodzie Europy, ujawniając skutki radioaktywnego skażenia wielu rejonów Kazachstanu.<sup>59</sup>

Historycy kazachscy z dużym znanstwem piszą o wkładzie Polaków w rozwój ich kraju, co we współczesnym kreowaniu stosunków polsko-kazachskich może mieć niepomierne znaczenie, szczególnie w układaniu wzajemnych międzynarodowych porozumień, zabezpieczających autonomię polskiej mniejszości narodowej w tym kraju, której obecność jest pokłosiem imperialnej polityki Rosji i Związku Radzieckiego wobec Polski, podobnej do kolonialnej polityki wobec Kazachstanu.

---

<sup>59</sup> Z. Wójcik, *Przyroda Kazachstanu w pracach przyrodników polskich XIX i XX wieku* [w:] *Polacy w Kazachstanie...*, op. cit., s. 107.

---

**IRINA NIKULINA (BARNAUL)**

**UDZIAŁ ZESŁAŃCÓW POLSKICH  
DRUGIEJ POŁOWY XIX W.  
W BADANIACH NAUKOWYCH AŁTAJU**

Problematyka wiedzy przyrodniczej i etnograficznej dotyczącej Ałtaju pozostaje w pewnym związku przyczynowym z działalnością znajdujących się tam w drugiej połowie XIX wieku zesłańców politycznych, nie rzadko także polskiej narodowości.<sup>1</sup> W centrum ich uwagi znajdowały się zagadnienia kultury autochtonicznych mieszkańców, warunki kolonizacji, czyli osiedlania ludności z europejskiej części Rosji, możliwości eksploatacji zasobów naturalnych, handlu, warunki przyrodniczo-klimatyczne determinujące rozwój określonych gałęzi przemysłu i inne. Wyjątkowo ważne jest to, że zesłańcy polityczni byli jednymi z pierwszych, którzy dostrzegli te problemy i postanowili włączać się w ich rozwiązywanie, inicjując szereg przedsięwzięć organizacyjnych, uzyskując na nie zgodę władz nadrzędnych oraz środki na realizację wielorakich przedsięwzięć badawczych i gospodarczych. Badania przyrodnicze na terenie tego regionu stały się jednym z przejawów różnorodnej działalności społecznej, w którym wzięli udział także polscy zesłańcy.

Ogólnie znany wkład Polaków do nauki, gospodarki i kultury Syberii, obejmuje wiedzę etnograficzną o tutejszych mieszkańcach, badania przyrodnicze, działalność gospodarczą i cywilizacyjną, udział w pracach towarzystw naukowych, uczestnictwo w ekspedycjach badawczych o czym po wielekroć pisano już w polskiej i rosyjskiej literaturze przedmiotu. W artykule tym zatrzymamy się jedynie na wybranych aspektach działalności polskich zesłańców, którzy przedmiotem swych badań objęli niektóre rejony Ałtaju.

Ważnym elementem badawczo-naukowej działalności polskich zesłańców na tym terenie było ich uczestnictwo w pracach Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego, powstałego w 1878 roku w Semipała-

---

<sup>1</sup> Pod nazwą Ałtaj w przyjętym okresie rozumie się Ałtajski Okręg Górniczy, włączając terytorium współczesnego Kraju Ałtajskiego, Republiki Ałtaj, części obłasti: nowosybirskiej, kemerowskiej, omskiej, tomskiej oraz wschodniej części państwa Kazachstan.

tyńsku. Zesłańcy znajdujący się w Ust'-Kamieniogorsku lub w ust'-kamieniogorskim powiecie mogli wyjeżdżać poza miejsce pobytu by uczestniczyć w ekspedycjach w ramach zadań Komitetu oraz w innych eksploracjach terenowych podejmowanych z własnej inicjatywy, uzyskując na to akceptację miejscowych władz. Wypada odnotować, że Ust'-Kamieniogorsk został wyznaczony jako miejsce zsyłki decyzją Rady do Spraw Więziennictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w 1882 r.<sup>2</sup> Prócz tego część zesłańców docierała do Ust'-Kamieniogorska w następstwie starań o przeniesienie z innych miejsc, gdyż były tu łatwiejsze warunki życia. Według wspomnień zesłańca A. B. Godeonowskiego było to:

[...] małe miasteczko liczące 5 tys. mieszkańców, przepięknie usytuowane o zdrowym klimacie i dwu górskich rzekach: Irtysz i Ulba, a także o niezwyklej taniości produktów [...].<sup>3</sup>

Szczegółowymi badaniami geologicznymi Altaju zajmowali się polscy zesłańcy E. P. Michaelis i A. W. Białowieski, przebywający w Ust'-Kamieniogorsku w latach 80. XIX wieku. Adam Białowieski (3.02.1860 – po 1915), syn Wasyla, ukończył w 1877 roku, wydział fizyczno-matematyczny Uniwersytetu Kijowskiego. Zesłany był na teren Zachodniej Syberii na trzy lata pod dozór policyjny, za udział w kółku rewolucyjnym zmierzającym do obalenia porządku prawnego. Od 13 października (1877) przebywał w Ust'-Kamieniogorsku.<sup>4</sup> Spotkał się tu z nim amerykański dziennikarz i podróżnik G. Kennan, który określił go jako człowieka

bardzo zdolnego, z bezstronnym poglądem na sprawy, z gruntowną znajomością literatury rosyjskiej oraz prawa i nie mniej znaczącym rozeznaniem w historii literatury zachodniej.<sup>5</sup>

W piśmie do gubernatora wojennego z 10 kwietnia 1886 r. Białowieski pisał, że razem z Michaelisem „podjęliśmy trud opracowania mapy geologicznej okolic miasta i bardziej ciekawych punktów powiatu. Rozpoznanie miejscowości może być dokonane w czasie wypraw, a rysować mapy będziemy razem tu w mieście”.<sup>6</sup> Mając to na uwadze zezwolono mu na wyjazdy na teren powiatu. Jak odnotował Artur Kijas, mimo srogich nakazów, ograniczających swobodne poruszanie się zesłańców Białowieski otrzymał od generał-gubernatora zachodniej Syberii pozwolenie na niezbędne wyjazdy dla przeprowadzenia badań.<sup>7</sup> Interesował się

<sup>2</sup> G. S. Sapargalijew, W. A. Dżakow, *Obszczestwiennno-politczeskaja diejatelnost' ssylnych polakow w dorewolucyjnym Kazachstanie*, Ałma-Ata, 1971, s. 18.

<sup>3</sup> A. W. Godeonowskij, *Iz Pietierburga w Sibir*, [w:] „Katorga i ssyłka”, 1926, nr 5, s. 206.

<sup>4</sup> CGA RK (Centralnyj gosudarstwiennyj archiw Respubliki Kazachstan) F. 64, op. L., D. 5213, L. 15; D. 5241, L. 11.

<sup>5</sup> G. Kennan, *Sibir' i ssyłka*, SPb 1906 s. 124.

<sup>6</sup> CGA RK F. 15. Op. 2D. 83. L. 24.

<sup>7</sup> A. Kijas, *Polacy w Kazachstanie. Przeszłość i teraźniejszość*, Poznań 1993, s. 41.



on zlodowaceniem gór Altaju. Razem z Michaelisem podjął więc wyprawę w ciekawe pod względem geologicznym rejony Altaju, gdzie stwierdził liczne ślady dawnego zlodowacenia. Wyniki tych badań przedstawił w opracowaniu pt. *Okres lodowcowy w górach Altaju*, opublikowanym w czasopiśmie angielskim „Przyroda” za 1887 rok (A. Bialoveski, *Ice period on the Altai Range*, „Nature” 1887, vol. 35, p. 513).

Opracowanie to nie zostało jednak wówczas dostrzeżone przez rosyjskich badaczy, gdyż wtedy problem zlodowacenia Altaju pozostawał poza sferą ich szczegółowych dociekań. Jako pierwsi artykułem Białowieskiego zainteresowali nieco później się rosyjscy badacze, a zwłaszcza geograf i podróżnik A.W. Obruczew.<sup>8</sup> Przetłumaczył on tekst na język rosyjski i wydrukował jako załącznik do swego artykułu pt. *Altajskie etudy*. Według słów A. W. Białowieskiego:

formy i zjawiska geologiczne terenu Centralnego Altaju dotychczas są prawie nieznanne. W ciągu ubiegłego lata miałem możność poznać niektóre części południowego obszaru – Grzbiet Narymski do sąsiedztwa ze Stacją Altajską lub Koton-karagaj, okolice posiadka kozackiego Uruł, potem tzw. Kagunskie Stołoby z ich śnieżnym olbrzymem Bieluchoj. Później podróżowałem po dolinach Bieloj i Czernoj Biereli, odwiedziłem dolinę Jezior Arasanskich i niektóre inne miejscowości. Wszędzie byłem zaskoczony licznymi i różnorodnymi śladami i pozostałościami ogromnej polodowcowej pokrywy, którą stanowiły typowe polodowcowe osady lub wyraźne szczątki moren, a także głązy granitu, pokryte rysami. Doliny te mają bezsprzecznie charakter pochodzenia polodowcowego. Słowem, nie może budzić wątpliwości istnienie wielkiego zlodowacenia w tej miejscowości [...] Altajski okres lodowcowy, jak sądzę, miał własne uwarunkowania. Altajski system górski jest bardzo stary, i jego grzbiety dawniej były z pewnością znacznie wyższe. Być może, cały system wznosił się znacznie wyżej nad linię wiecznego śniegu, choć teraz ona obejmuje ledwie niektóre najwyższe wzniesienia. Prawdopodobnie także w tych dawno przeszłych czasach warunki meteorologiczne terenu były bardziej surowe niż dziś, w następstwie czego lodowce były znacznie większe i spływające w dół, wymodelowały U-kształtne doliny Katuni, Bieloj i Czernoj Biereli, Czynkatuju i innych. Problem periodyzacji epoki lodowej został niedawno podjęty i być może w Altaju i Błękitnych Alpach otrzymamy wartościowe dane dla pełnego zrozumienia tego istotnego problemu.<sup>9</sup>

W. A. Obruczew w pełni zgadzał się z sądami Białowieskiego, potwierdzając jego wnioski.<sup>10</sup> Tym samym praca Białowieskiego nie straciła swego znaczenia naukowego i została powszechnie zaakceptowana w rosyjskiej geologii, wyznaczając w niej nowy kierunek badań w tym zakresie. Kolejną pracą A. W. Białowieskiego był artykuł pt. *O pochodzeniu granitów w dolinie rzeki Irtyszu*, opublikowany także w angielskim czasopiśmie „Przyroda”, gdzie wskazał na fakt, że granity doliny rzeki

<sup>8</sup> W. A. Obruczew., *Istoria geologicznego issledowania Sibiri. Period tretij (1851-1888)*, Leningrad 1934, s. 85.

<sup>9</sup> Tenże, *Altajskie etudy. Zamietki o sledach drewniego olodienija w Russkom Altaje. (Etiud pierwyj)*, [w:] *Izobranije raboty po geografii Azji*, t. 3, Moskwa 1951, s. 41-42.

<sup>10</sup>G. S. Saporagalijew, W.A. Djakow, op. cit., s. 230-232.

Irtysz powyżej Ust'-Kamieniogorska, które według A. Humboldta i G. Rose<sup>11</sup> pokrywają łupki ilaste, w rzeczywistości są żyłami przecinającymi je, co świadczy o ich młodszym wieku (A. Bieloveski, *Altaic granits*, „Nature” 1889, vol. 39, p. 30).<sup>12</sup>

W 1887 roku A. Biełowieski został zwolniony z nadzoru policyjnego i zezwolono mu na zamieszkanie w europejskiej części Rosji. Pozostał jednak na Syberii i przebywał w Semipałatyńsku, Ust'-kamieniogorsku oraz Barnaule, mając tam możliwości kontynuowania swoich badań przyrodniczych. We wrześniu 1890 roku wyjechał z Barnaulu do Tyflisu i w maju 1891 roku podjął pracę w zarządzie Zakaukaskiej Drogi Żelaznej.<sup>13</sup>

Badaniami etnograficznymi regionu zajmował się Seweryn Gross (1852-?), syn Seweryna, zesłany do zachodniej Syberii 3 stycznia 1882 r. za udział w działalności socjal-rewolucyjnej gminy w Wilnie. Skazano go na 5 lat pod nadzór policji i początkowo osadzono w Iszymie w guberni tobolskiej, w 1883 r. w Siemipałatyńsku, w 1885 r. w Ust'-Kamieniogorsku i we wsi Ulbinskiej. powiatu ust'-kamieniogorskiego. Zajmował się on rozpoznaniem warunków życia miejscowej ludności, objechał w latach 1883-1885 Kanonirskoje, Bolszenarymskie, Władimirowskie Sielenia oraz Donską i Semijarską Stanicę.<sup>14</sup> Bardzo ciepło S. Grossa wspominał zesłaniec z Narodnej Woli S. P. Szewcow: pisząc iż:

Gross był jednym z ważniejszych politycznych zesłańców tego czasu w Kraju Stepowym w ogóle [...] Wyróżniał się głęboką wiedzą wśród towarzyszy zesłańców, ale także wiekiem – miał około 40 lat. jednolita osobowość, postawa i stałość charakteru.<sup>15</sup>

Wypada odnotować, że S. Gross aktywnie uczestniczył w pracach Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego. Jego wysiłek organizacyjno-intelektualny by zrzucić z siebie piętno zesłańca i być użytecznym w pracach prowadzonych przez Komitet zaowocował tym, że włączony został do prac badawczych dotyczących prawa zwyczajowego Kazachów, które charakteryzowały się autentycznością i uniwersalizmem. Bogate materiały terenowe zebrane przez S. Grossa podczas żmudnych podróży po stepach oraz odpowiednio przez niego skomentowane dotyczyły różnych aspektów struktury społecznej panującej wśród Kazachów i weszły one do opracowania pt. *Materiały dla juridyckich obyczajów kirgizów. Materialnoje prawo*, (1886).

<sup>11</sup> W 1829 r. znany niemiecki przyrodnik, geograf i podróżnik A. Humboldt razem z uczonymi berlińskimi G. Rose i K. Erenburgiem odwiedzili Ural i Altaj, zajmując się ogólnymi geologicznymi i geograficznymi badaniami.

<sup>12</sup> W. A. Obruczew, *Istorija geologiczeskogo issledowanija Sibiri. Period czwartyj (1889-1917)*, Moskwa – Leningrad 1937, s. 119.

<sup>13</sup> *Diejatieli rewolucjonogo dwiżenija w Rossji*, t. 3, Moskwa 1993, s. 508-509.

<sup>14</sup> W. Z. Galijew, *Ssylmyje rewolucjonierj w Kazachstanie*, Alma Ata 1978, s. 132.

<sup>15</sup> S. P. Szewcow, *Kulturnoje znaczenije politiceskoj ssyłki w Zapadnoj Sibiri*, „Katorga i Ssyłka”, 1928, nr 3, s. 81.

Podsumowując to co wyżej przedstawiono należy stwierdzić, że zesłańcy polscy drugiej połowy XIX w. pozostawili widoczny rys w historii Ałtaju i całej Syberii. Ich etnograficzne i geologiczne badania przyczyniły się do powiększenia i uogólnienia znaczącego materiału faktycznego i nie straciły swojej wartości w latach późniejszych – wyznaczyły drogę dalszego poznania regionu.

*Tłumaczył Zbigniew J. Wójcik*

**Uwaga tłumacza:**

Adam Białowieski, jak i Seweryn Gross – to badacze znani historykom nauki w Polsce, także z naszej literatury biograficznej. Piszą o nich m.in. Waclaw i Tadeusz Słabczyńscy w *Słowniku podróżników polskich*, (Warszawa 1992). A. Białowieski pochodził z guberni mińskiej, a gimnazjum ukończył w Czernichowie. Od wczesnej młodości był członkiem Narodnej Woli. Kilkakrotnie aresztowany, na zesłaniu był łącznie 20 lat. Badania w Ałtaju prowadził z E.P. Michaelisem o którym wiemy iż jest autorem kilku prac, także o przyrodzie Ałtaju. Niektóre swe wspomnienia z zesłania i – później – dobrowolnego pobytu na Syberii opisał w obszernym artykule pt. *Iz przeszłogo* (Z przeszłości) w czasopiśmie „Byłoje”, 1906. W. i T. Słabczyńscy podkreślają, że G. S. Sapargalijew i W. A. Dżakow uważali go za Polaka. Sami mają, z uwagi na imię ojca – Wasyl – co do tego wątpliwości. Zastanawiające jest jednak to, że publikacje swe ogłaszał w Anglii, co wśród inteligencji rosyjskiej wówczas nie było zjawiskiem typowym.

Seweryn Gross wywodził się ze Żmudzi. W Semipałatyńsku jako zesłaniec pracował w biurze sędziego P. Makowieckiego, który na zlecenie władz zbierał dane o prawie zwyczajowym Kazachów (wówczas Kirgizów). Zebrane przez Grossa materiały z licznych wyjazdów ukazały się w druku w Omsku z pominięciem jednak nazwiska autora. Pracę przedrukowano w 1948 r. już pod nazwiskiem P. Makowieckiego. Błąd sprostowali G. S. Sapargalijew i W. A. Dżakow. Seweryn Gross został amnestionowany w 1887 roku. Z czasem wrócił do kraju. Prawdopodobnie – jest to sugestia jego przyjaciela z zesłania, Jana Witorta – zmarł w szpitalu dla umysłowo chorych w Rydze w 1902 roku. Są też przekazy, że zmarł w Galicji.

*Z.J.W.*



---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. Janusza Przewłockiego i cyklicznego wydawnictwa „Tak było... Sybiracy”, realizowanego przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem publikujemy relacje zesłańców z okresu ostatniej wojny i po jej zakończeniu. (red.)

\*

### **Wiesław Krawczyński – *Zostałem lagrowym muzykaniem***

Aresztowany w czerwcu 1945 roku we Lwowie za działalność w Armii Krajowej (wpadka jednego z żołnierzy z „komórki likwidacyjnej”), po roku trwającym śledztwie w więzieniach w Brygidkach i przy ul. Zamarstynowskiej, w czerwcu 1946 roku zostaje przewieziony tzw. „etapem” do obozu przesylnego w Peczorze. Przejazd pociągiem trwał prawie trzy tygodnie.

W obozie wzywano więźniów do wypełnienia listy ewidencyjnej obejmującej między innymi informacje o zawodzie. Podałem „muzyk”. Następnie zostałem przewieziony do miejscowości Siwaja Maska, gdzie przez krótki czas przebywałem w dwu obozach. Stamtąd przewiezony zostałem do miejscowości Abież nad Usą, przy Peczorskiej Magistrali Kolejowej na trasie Kotłas – Worskuta w Komi ASRR. Okazało się, że obóz do którego trafiłem był tzw. „Sztabnąją kołoną” (obóz sztabowy), w którym znajdowały się różnego rodzaju warsztaty (szewski, krawiecki, jakaś „pracownia” fizykochemiczna i inne). Przebywali też w nim pracownicy obozowego teatru. Abież – to była jak na warunki za

kołem podbiegunowym – duża miejscowość, w której mieszkało chyba około 5 tysięcy ludzi. W zapiskach pamiętnikarskich mego ojca znalazłem adres obozu: Komi ASRR, posesja Abież Ł.K. (łagiernaja kołona) 274/17 „B”. Pobyt i przybycie do „specjalnego” baraku opisałem nieco wcześniej. Tutaj dodam jedynie, że tuż po przybyciu do nowej kwatery dostałem polecenie przedstawienia się dyrygentowi orkiestry teatralnej. Był to dzień, który zaważył na moich późniejszych losach w łagrach i na zesłaniu. Zostałem bowiem włączony do składu abieżkiego zespołu teatralnego jako muzyk, konkretnie skrzypek.

Barak, do którego wszedłem na spotkanie z dyrygentem, nie zionął smrodliwym powietrzem jak inne, nie było też w nim nieładu i odrażających warunków fizycznych. Nie było wprawdzie tej normalności do której przywykłem we Lwowie, ale nie tchnęło to smrodliwym łagrem. Nie czuło się w nim smrodu potu, nieprzyjemnego zapachu schnącej odzieży czy obuwia. Ba, poczułem nawet coś w rodzaju zapachu mydła. W baraku słychać było przytłumione głosy jego mieszkańców. Patrzono na mnie jak na zjawę, z uwagi na moje okulary przewiązane szmatą i zawiązane z tyłu głowy tasiemką. Westchnąłem do Matki Boskiej Częstochowskiej, by dała mi siłę na ważne spotkanie i pokierowała moje losy chroniąc od zguby.

Na końcu baraku z piętrowymi narami, osłonięty kocami znajdował się „przedział”, w którym miał swoje miejsce dyrygent. Okazał się nim średniego wzrostu mężczyzna z ogoloną głową, w wieku około sześćdziesięciu lat, z bystrym spojrzeniem i ujmującą twarzą. Przedstawiłem się informując, że gram na skrzypkach i przychodzę na jego polecenie. Był to Nikołaj Nikołajewicz Czerniatyński, dawny główny dyrygent opery w Odessie, który nie przestał pracować w teatrze w okresie niemieckiej okupacji. To wystarczyło, by otrzymał wyrok dziesięciu lat przebywania w sowieckich łagrach. Jednym z pierwszych jego pytań było, dlaczego mam „okulary” czyli szkła obszyte materiałem? Opowiedziałem o kradzieży moich okularów w obozie w Siwej Masce. Jednocześnie powiedziałem, że jestem Polakiem, uczyłem się grać u prof. Kałużniackiego w gimnazjum w Chyrowie, gdzie też grałem jako początkujący skrzypek w tamtejszej szkolnej orkiestrze symfonicznej. Oczywiście znając antyreligijną atmosferę w Sowietkim Sojuszu nie wspomniałem, że w Chyrowie był konwikt OO Jezuitów.

Następnie powiedziałem, że grałem w orkiestrze gimnazjalnej w Łańcucie (nie wspomniałem, że była to orkiestra instrumentów szarpanych, w której grałem na banjo). Wreszcie poinformowałem, że grałem też w orkiestrze gimnazjalnej w XI Gimnazjum we Lwowie. Starłem się przedstawić możliwie „bogaty” mój orkiestrowy dorobek jako skrzypka. Ogólnie też na pytanie N. N. Czerniatyńskiego opowiedziałem o swojej rodzinie, że ojciec był dyrektorem lasów, że wykładał na uniwersytecie w Poznaniu i na Politechnice we Lwowie. Czulem, że dyrygent chce wiedzieć z jakiego pochodzę środowiska, jaką miałem rodzinę. Dowiedział się też, że byłem jedynakiem. Po zakończeniu rozmowy dostałem polecenie, aby na następny dzień rano wyjść razem z pracownikami teatru do budynku, w którym działał zespół. Na zakończenie rozmowy N. N. Czerniatyński zapytał o siłę soczewek moich szkieł i powiedział, że postara się załatwić odpowiednie okulary.

Na drugi dzień zgłosiłem się do grupy osób, które były wyprowadzane poza obręb obozu, czyli zony. Ku mojemu zdziwieniu była to grupa licząca około czterdziestu osób, kobiet i mężczyzn. Nie miałem pojęcia, że aż tyle ludzi pracuje w teatrze, a jak się później okazało była to tylko część zespołu, który liczył około sto dwadzieścia osób. Tylko orkiestra składała się z 30 muzyków, chór liczył około 25 osób, był też balet, sekcja dramatyczna licząca 20 osób i zespół jazzowy – estradowy złożony z około 20 osób. Do tego dochodzili pracownicy techniczni wykonujący dekoracje, krawcy, szewcy, obsługa garderoby i inni. O tym wszystkim na początku nie miałem pojęcia.

Wyprowadzona z obozu grupa artystów szła w asyście uzbrojonych konwojentów i była dokładnie liczona, tak przy wyjściu z zony, jak i po powrocie z pracy. Budynek teatru, oczywiście z drewna, jak na strefę poza kołem podbiegunowym, gdzie oszczędzano drewno sprowadzane z głębi Rosji, był wysoki, co najmniej jednopiętrowy, ze stosunkowo małą ilością okien. Duża sala widowiskowa na około 500 widzów z foyer, dokąd w czasie koncertów i spektakli nie wolno było wchodzić więźniom. Oprócz dużej sceny z pewną mechanizacją i oświetleniami, znajdowały się pomieszczenia dla artystów solistów, muzyków, baletu, chóru i biblioteka muzyczna.

Gdy znalazłem się wraz z innymi w tym przybytku Melpomeny wkrótce nastąpił dla mnie ważny sprawdzian umiejętności gry na skrzypcach. Wspomniany już dyrygent N.N. Czerniatyński dał mi skrzypce, które podstroilem, oraz spojrzałem na nuty. Początkowo miałem do zagrania trudne partie, później nieco łatwiejsze. Skoncentrowałem się przed tym sprawdzianem i czując obolałe i opuchnięte palce po fizycznej pracy zagrałem najlepiej jak potrafiłem. Przecież to decydowało o moim dalszym losie! Skrzypce wymagają ogromnej sprawności palców, a moje były pokaleczone i opuchnięte. Jest to instrument na którym grając, każde drgnienie palca decyduje o odpowiednim dźwięku. Po zakończeniu gry nastąpiło długie milczenie. Dyrygent stwierdził, że jestem słabym muzykiem. Coś tam umiem, jednak nie wiadomo czy podołam grać w orkiestrze. N.N. Czerniatyński nieoczekiwanie powiedział, że jego babka była Polką. Wreszcie po chwili milczenia rzekł, że zostawi mnie na okres trzech miesięcy na próbę i jeżeli będę ćwiczył 24 godziny na dobę, to może osiągnę odpowiedni poziom umiejętności. Zrozumiałem, że był to z jego strony gest dobroci mający uchronić młodego łagiernika przed wyniszczającą pracą fizyczną, a może i śmiercią. Aż nadto dobrze znał bowiem realia panujące w tych miejscach odosobnienia. Zostałem więc na razie na trzy miesiące członkiem grupy teatralnej.

Codziennie wychodziłem z zony do teatru, ćwicząc całymi dniami. Wyprowadzano nas dwa razy dziennie ze względu na przerwę obiadową i przejście do stołówki. Okazało się, że artyści mieli specjalny „kocioł” wyżywieniowy, o wiele lepszy jak pozostali łagiernicy. Należy nadmienić, że w czasie pobytu w teatrze, budynek był specjalnie strzeżony przez strażników NKWD. Po pewnym czasie część zespołu teatralnego wraz z orkiestrą wyjechała z występami na koncerty do porzucanych na terenie Komi ASSR obozów. Ja pozostałem na miejscu i dwa razy dziennie uparcie ćwiczyłem w pomieszczeniach teatru by być uznanym za potrzebnego muzyka. Ileż trudu wnosilem w te ćwiczenia, byłem jednak uparty, zwłaszcza, że sam widziałem postępy w grze. Staranność ta była wynikiem kupieckiej kalkulacji strat i zysków oraz poddaniu się łagrowemu determinizmowi, że muszę pozostać w zespole, bo to dawało szansę przeżycia.

Wreszcie zespół wrócił z koncertowego tournée i nieoczekiwanie dyrygent wręczył mi prawdziwe okulary, które załatwiły władze obozowe opiekujące się teatrem. Miało to dla mnie wielkie znaczenie, za co dziękowałem Panu Bogu. Nastąpiła pierwsza dla mnie próba gry z orkiestrą. Na początku zostałem ustawiony przez dyrygenta w ostatnim rzędzie drugich skrzypiec. I nagle – znajome dźwięki, akordy... Boże – to aria Jontka z opery *Halka* Moniuszki. Śpiewał ją solista teatru, więzień, jak się później dowiedziałem, były solista opery z Leningradu. Nie wytrzymałem. Polały się łzy. Czulem obserwujące mnie oczy dyrygenta.

I tak stopniowo wchodziłem w orkiestrowy repertuar. Coraz lepiej i sprawniej radziłem sobie jako muzyk. Wreszcie nastąpił pierwszy koncert orkiestry, w którym wziąłem udział. I tu nowe nieoczekiwane zdarzenie. Skierowano mnie do garderoby, gdzie musiałem zrzucić obozowe ubranie, otrzymałem granatowy garnitur, czarne półbuty dobrane na rozmiar mojej nogi, oraz przód białej koszuli, bez pleców, zawiązywany z tyłu na ramionach na tasiemki. Do tego dwa białe mankiety trzymane na gumce na plecach i karku, oraz czarny motylek („baboczka”). Przyglądałem się sobie w lustrze z niedowierzaniem. Wyglądałem jak prawdziwy WOLNY człowiek. Jednak prawdziwym zdarzeniem był pierwszy kontakt z garderobianą, która w trakcie wręczania mi teatralnego ubioru okazała się Polką. Nazywała się Zofia Klimaszewska, pochodziła z Grodzieńszczyzny. Ona też powiedziała, że w łaźni pracuje Polak również z Wileńszczyzny, Józef Godzisz, który był kiedyś nauczycielem.

Dowiedziałem się też, że w zespole estradowym jest Polak, z którym później się zaprzyjaźniłem, doskonały akordeonista, aranżer wielu estradowych piosenek, żołnierz Armii Krajowej (to wszystko wyszło później na jaw po długim czasie) Jerzy Rakowski. A więc nie byłem jedynym Polakiem w łaźniowym teatrze w Abieź. Przykro mi było, że początkowo w pierwszych chwilach pobytu w zespole artystycznym Rakowski nie przyznawał się, że jest Polakiem. Może wstyd mu było rozmawiać z człowiekiem w tak dziwnych „okularach”, w jakich przybyłem do teatru, a może decydowały o tym względy bezpieczeństwa nakazujące mu jako doświadczonemu już łaźniownikowi nie prowokowania losu nadmiernym zwieraniem się osobie, której bliżej nie znał. Po pewnym czasie rozumieliśmy się świetnie i teraz gdy wygrzebuję z pamięci jakieś wyraziste dowody tego, niesporo mi to idzie, dość powiedzieć ufaliśmy sobie podobnie jak i innym Polkom i Polakom z którymi połączył nas zesłańczy teatr i łaźniowy los.

Z biegiem czasu okazało się, że zespół teatralny w zasadzie jest „międzynarodowy”. Wśród więźniów byli Rosjanie (największa grupa), Ukraińcy, Żydzi, Litwini, Estończycy, Łotysze, Białorusini, Mołdawianin, Tatar, Węgier, Czech, jeden Francuz i Polacy (początkowo było nas troje). Duże skupiska łaźniowej „szarży” zarządzające setkami łaźni, w których pracowali często nawet z rodzinami sprowadzonymi z Rosji, pragnęły namiastki kultury. Trzeba przyznać, że Rosjanie są narodem muzykalnym, a w sowieckim ustroju nawet w łaźniach starano się o tworzenie zespołów artystycznych, wykorzystując więźniów wśród których byli profesjonalni muzycy, aktorzy teatralni, soliści operowi, komicy i inni. Dla nich też starano się w miarę łaźniowych możliwości o lepsze warunki żywienia, zakwaterowania i pracy. Profesjonalni artyści gwarantowali wysoki poziom danego zespołu, starano się więc o pozyskiwanie ich z oddalonych nieraz obozów prowadząc rozeznanie, kto kim jest z zawodu. Te-



atrem w Abieź „opiekował” się naczelnik budowy stojki 501 –płk. Wasilij Ar-sieniewicz Barabanow, ważny dygnitarz w systemie Zarządu Obozami.

Tymczasem życie biegło szarym, codziennym trybem, dni były coraz krótsze, nadchodziła polarna zima, trwająca aż do maja. Była to pierwsza moja zima za kołem podbiegunowym. Modliłem się często o przeżycie w tych warunkach, o zdrowie dla moich rodziców, o których nie miałem pojęcia gdzie się znajdują, podobnie jak oni nic nie wiedzieli o mnie. Ci z pośród moich współwięźniów, którzy pochodzili z krajów znajdujących się w obrębie ZSRR mieli kontakty z rodzinami. Mogli pisać do swoich najbliższych. Niektórzy jak np. Rosjanie, Ukraińcy, Litwini, Estończycy i inni otrzymywali nawet co pewien czas paczki, co znacznie ułatwiało łagrową egzystencję. Panował bowiem zwyczaj, że osoby otrzymujące paczki dzieliły się żywnością ze współwięźniami z najbliższego kręgu.

Wraz z nadchodzącą zimą nam artystom wydano cieplejszą odzież, obu-wie, rękawice, a „lepsza” ilość wyżywienia jakoś trzymała na nogach. Niestety u mnie zaczęły chwiać się zęby, pojawiły się jakieś plamy na skórze. Poradzono bym udał się do tzw. „sanczasti” (punktu lekarskiego) – po radę do lekarza. I tu znowu niespodzianka. Przyjęła mnie miło i serdecznie dziewczyna, która gdy dowiedziała się, że jestem Polakiem, zaczęła mówić po polsku. Była Białorusinką wykształconą w Polsce, nazywała się Wiera Żuk. Stwierdziła, że mam „cyn-gę” (szkorbut) i wręczyła mi proszek, który miałem kilka razy w ciągu dnia popijać „kipiatokiem” – gotowaną wodą. Po pewnym czasie lekarstwo poskutkowało i wszystko wróciło do normy, zęby przestały być ruchome a skórne wykwity też znikły. Podobno był to proszek mielony z owoców dzikiej róży.

Mróż był coraz silniejszy, często poniżej 40°C. Regularnie wyprowadzano nas dwa razy dziennie pod konwojem do teatru, który był ogrzewany. Baraki nie były zamykane na noc, dlatego też wychodząc nieraz „za potrzebą” spoglądałem na iskrzący się nieboskłon patrząc na gwiazdę polarną, która była nade mną. Myślałem o najbliższych, gdzie są, co z nimi... Taki ból i żal. Ile przecierpiałem z mojego powodu. Czy wyjechali do Polski, o co usilnie ich prosiłem w moich grypsach z więzienia. Pewnego wieczoru ze zdumieniem zauważyłem na niebie jakieś przesuujące się selektywnie światła. Przypominały mi się z okresu wojny światła przeciwlotniczych reflektorów wyławiające lecące samoloty. W absolutnej ciszy jaka panowała w obozie było to niesamowite zjawisko. Później dowiedziałem się, że jest to zorza polarna.

Przez kilka lat pobytu za kołem podbiegunowym z zachwytem przyglądałem się temu zjawisku, które najczęściej występowało w kolorze seledynowym, rzadziej żółto-pomarańczowym i bardzo rzadko purpurowym. To było niesamowite, jak gdyby ktoś rozlał krew po niebie. Obserwując to zjawisko modliłem się o powrót do domu, o zdrowie dla rodziców. W takich chwilach dopiero człowiek odczuwa, jakim jest pyłkiem, marną ziemską istotą, bez żadnej możliwości wpłynięcia na swój los. Więzień życia, doznanej represji. A przecież to wszystko dla Polski. Samotny pyłek istnienia na lodowatej ziemi. Gdzieś tam na południu są ciepłe rodzinne mieszkania, oświetlone wioski, miasta, ludzie modlą się w kościołach, jest szczęście, moi rodzice... tysiące kilometrów niezmiernie daleko...

I tak nadeszła pierwsza łagrowa wigilia. Umówiliśmy się na wspólne spotkanie w „bani”, łaźni, gdzie pracował Józek Godzisz. Trzecim był Jerzy Rakowski. Przeżegnaliśmy się, łamiąc kawałkiem wysuszonego chleba zamiast opłatka, życząc szybkiego powrotu do domu i najbliższych. Pomieszczenie w którym pracował Godzisz było kotłownią, w której gotowała się woda do mycia dla więźniów. Musiał on dbać o palenie pod kotłem, przynosząc w wiadrach węgiel. Po ścianach łąziły ogromne karaluchy i jakieś inne brzydactwa. A jednak był to ważny moment naszej izolacji od mieszkańców łagru, w ten ważny wigilijny dzień. To nas umocniło w przyjaźni i staraliśmy się być sobie potrzebni gdy zajdzie taka konieczność. Ta pierwsza łagrowa wigilia miała coś w sobie z przywoływania w pamięci poprzednich świąt Bożego Narodzenia, jeszcze tych z lat chłopięcych, a potem tych z okresu wojny. Zawsze wówczas czekaliśmy na zakończenia działań wojennych i z nadzieją układaliśmy swój przyszły los, który jawił się także w wigilijnych życzeniach. A tymczasem spotkało mnie nowe cierpiące życie obolałe psychicznie i fizycznie poddane dyktaturze łagrowego reżimu, w którym nawet swobodnie nie można było się pomodlić.

Minęło więc w skupieniu indywidualnym nasze polskie Boże Narodzenie. Na Nowy Rok daliśmy uroczysty koncert dla „wolnych”. Specyficzny odgłos zapelniającej się sali. My w jamie orkiestrowej poniżej widowni, przed sceną, odczuwaliśmy pewnego rodzaju napięcie noworoczne. Co nam przyniesie nowa data? Z sali dochodziły zapachy perfum, przytłumione rozmowy i śmiechy. Był to dla mnie jakiś dziwny styk „zakluczonego” – więźnia z tzw. wolnością. Na program koncertu złożyły się popularne utwory rozrywkowe, fragmenty baletu z „Łabędziego Jeziora” Czajkowskiego, kilka operetkowych arii J. Straussa, F. Lehara, I. Dunajewskiego, jakieś humorystyczne skecze itp. Po koncercie oddaliśmy do garderoby odświętne stroje i w łagrowych łachmanach wracaliśmy do obozu z dziwnymi i bolesnymi odczuciami. My więźni w łagrach, ludzie pozbawieni praw publicznych musieliśmy występować przed naszymi prześladowcami, bo oni potrzebowali rozrywki. Ot dziwny świat i los!

Zima była sroga. Koło podbiegunowe znajduje się na 66°33' szerokości geograficznej nord. Pierwszy raz w życiu przeżywałem tak niską temperaturę. Wyjście nocą na zewnątrz groziło zamrożeniem. Na szczęście w baraku było małe pomieszczenie, gdzie znajdowało się duże „naczynie” do załatwiania nocą potrzeb fizjologicznych. W baraku artystów z uwagi na ich zdrowie, szczególnie śpiewaków, nawet w dzień można było korzystać z tego pomieszczenia. Rano wychodząc z baraku, a była to noc polarna i dopiero koło południa robiło się względnie jasno, wychodziło się jak gdyby w tunel. Po obu stronach ścieżki zalegały wysokie zwały śniegu. W zwykłych łagrach, w których baraki były wkopane w ziemię, więźniowie musieli się odkopywać, aby wyjść na zewnątrz co nie było rzeczą łatwą z powodu braku należytego sprzętu.

Najgorsze jednak były dni, kiedy powstawała zamieć niosąca śnieg z taką siłą, że nic nie było widać na metr przed sobą. Była to tak zwana „purga”. Srogi północny klimat odbierał życie wielu zesłańcom nie przystosowanym do niego, źle karmionym i źle odzianym. Jaka to Łaska Boża, że dostałem się do grupy teatralnej. Klimat polarny to 47 dób z ciągłą nocą, sto dni z temperaturą poniżej 30°C, 130 dni z zamieciami („purgą”), 90 dni z szybkością wiatru ponad 15 m na sekundę, wreszcie 250 dni z leżącym śniegiem. W obozach położonych jeszcze bardziej na północ, zakładano pomiędzy barakami, i do latryn –

liny, aby w czasie polarnej nocy więzień nie zgubił się. Pomimo tego znam wypadek, kiedy taki „dochodiaga” nie mający sił, na skutek zawiei zgubił się. Na drugi dzień znajdowano tylko „sopel lodu” długości danej ofiary.

Tymczasem zespół teatralny zaczął się powiększać. Pojawił się mój znajomy z łagru w Siwej Masce ksiądz, który ściągnął mnie do łagru, gdzie w zespole śpiewał Polak Jurek Sidorowicz. On też znalazł się w teatrze i dostał przydział do zespołu estradowego. Miał piękny miękki głos, wykonywał romantyczne piosenki. Był bardzo kochliwy. Do chóru przyjechały z łagrów dwie Polki, Klara Karpowicz i Dorota Jabłońska. W garderobie oprócz Zosi Klimaszewskiej pojawiła się nasza rodaczka Wanda Kossakowska. Z biegiem czasu zjawiał się nowy pianista Julian Baczyński oraz Litwinka Stefa Bruzdeilaite. Dziwnym zrządzeniem losu poszerzał się krąg rodaków. W pewnym sensie to podbudowywało. Częściej można było rozmawiać w swoim rodzinnym języku. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że w laboratorium obozowym pracuje Polak z Warszawy inżynier Stanisław Walento. Wszyscy marzyliśmy o zmianie naszego losu, pomimo wyroków o tradycyjnych terminach 10 lat pobytu w łagrach. Jurek Sidorowicz aresztowany na Wileńszczyźnie jako młodociany żołnierz Armii Krajowej, miał wyrok 7 lat.

Zima stopniowo mijała, rozpoczęły się normalne jasne dni. Zmieniono nam barak „artystów” na lepszy, z dobudówką dla dyrygenta i reżyserów. Dniewalnym baraku został wspomniany już Józek Godzisz. Oprócz tego prawdopodobnie dla ochrony przed pospolitymi więźniami będącymi w łagrze, był potężny Rosjanin z ogromnymi na całym ciele tatuażami. Do naszego baraku poza obsługą, nie wolno było wchodzić. Pewnego razu wezwał mnie N.N. Czerniatyński i polecił opracować dwa utwory muzyczne na wykonanie solo. Zdumiałem się nie wiedząc co mnie czeka. Wybrałem z biblioteki arię Indyjskiego Gościa z opery „Sadko” N. Rymskiego-Korsakowa i kujawiaka H. Wieniawskiego. Utwory te miałem ćwiczyć z akordeonistą, jako akompaniatorem. Wreszcie wyjaśniła się cała sprawa. Montowano kilkunastoosobowy zespół na wyjazd dwutygodniowy do łagrów na północ. W zespole tym była para baletowa, dwu wokalistów, dwu recytatorów (artyści dramatyczni), akordeonista, osoba od doglądania ubiorów i inni, oraz ja jako solista skrzypek. Jechaliśmy za Workutę do łagrów, by dawać w nich skromne koncerty. Odbywaliśmy tę podróż w dwu towarowych wagonach przerobionych na mieszkalne. W każdym wagonie był strażnik z karabinem. Na którejś kolejnej stacji kazano nam wysiąść i szliśmy z naszymi instrumentami i niezbędnymi osobistymi rzeczami jakąś godzinę po dużym przetartym trakcie śnieżnym.

Wreszcie doszliśmy do miejscowości, gdzie były dwa domy i dużo namiotów jak gdyby indiańskich. W dali zobaczyłem las ruszających się gałęzi? Zdziwiłem się tym, myśląc, że mam jakieś kłopoty ze wzrokiem. Jak się później okazało, było to ogromne stado reniferów. Nas więźniów umieszczono w drewnianej, solidnej chacie. „Osiedle” zamieszkane było przez tamtejszy lud, może szczep, o skośnych oczach, czarnych włosach. Jak się później dowiedziałem, były to zamieszkujące te tereny autochtoniczne plemiona Nieńców i Komi-Zyrian, trudniących się hodowlą reniferów. Oczywiście było to państwowe gospodarstwo. Stada reniferów wynosiły po kilka tysięcy sztuk, stale wędrowały z uwagi na poszukiwanie pokarmu. Latem renifery żywiły się mchami, trawą, roślinami żyjącymi w tundrze. To samo zimą z tym, że stada musiały wciąż wędrować, by renifery mogły spod śniegu wydobyć sobie strawę. Koczownicze

życie zmuszało do ciągłej wędrówki, stąd „pasterze” w zasadzie nie mieli swoich stałych domów. Dopiero w związku z „rozwojem cywilizacji”, najbogatsi wracając z wojska, przeważnie inwalidzi, zaczęli budować domy.

Północ Komi Republiki żyła z reniferów. Renifer dawał mięso, mleko (ważne dla niemowląt), skórę (w „wigwamach” spali na stertach skór, w które również się ubierali). Z rogów reniferów Komiacy wyrabiali igły, grzebienie, przybory do jedzenia, różne ozdoby. W domu, w którym spędziliśmy jedną noc (spaliśmy na podłodze) był typowy rosyjski piec. Na belce umieszczony był drąg, a na nim jak gdyby w worku ze skóry leżało chyba niemowlę, które co pewien czas poruszała jego piastunka, coś jakby kołyska. W domu tym był również staruszek, dziwnie ubrany. Skórzane spodnie, podobne buty, kaftan, siwe włosy zaplecione w kilka warkoczków związanych czerwonymi kokardkami. Tak on jak i mieszkańcy tego domu nie umieli rozmawiać po rosyjsku, tylko w swoim narzeczu. Nam dano kipiatak, mieliśmy swoje kubki oraz tak zwany „suchy pajok” (suchy prowiant) i tak minęła noc. Na drugi dzień pokazano nam wnętrze jurty, na środku było palące się ognisko, dym uchodził przez górny otwór. Przy domu był tzw. bazar na którym były jakieś dziwne kremowe kule, które okazały się zamrożonym mlekiem. Podobno można było je kupić na wagę. My nie mieliśmy pieniędzy.

Swoją drogą widząc „higieniczne” warunki w jakich przebywali tam tubylcy, nie było ochoty na kupno czegokolwiek. Mieszkańcy dalekiej północy trudnili się również polowaniem na polarne lisy, rzadko niedźwiedzie, oraz łowieniem ryb. To wszystko opowiadał strażnik pilnujący nas. Jego stosunek do nas artystów był przychylny, może i dlatego, że wiadomym było, iż nikt z więźniów jemu podopiecznych nie mógł w warunkach Północy uciec. Wracając jeszcze do opisu Komiaków, warto wspomnieć o ich ubiorach zimowych. Oprócz skórzanych spodni, kaftanów, rodzaju skórzanych kamizelek, ubierali na wędrówkę drugie spodnie skórzane, na nie pod kolana coś w rodzaju butów ze skóry (my mieliśmy walonki, bardzo ciepły rodzaj obuwia), na to odziewali długą po kostki szubę (futro) z kapturem, na ręce rodzaj rękawiczek futrzanych sięgających prawie do łokci. Pojazdem ludzi północy w zimie i w lecie były stosunkowo lekkie sanki ciągnięte przez renifery. Latem brak jakichkolwiek dróg zmuszał do podróżowania sankami, które renifery ciągnęły po tundrze porośniętej mchami i trawą. Czasem sanki ciągnęły dwa, a nawet trzy, rzadko cztery renifery, mające szerokie piękne rogi. Aby nimi się nie zaczepiały, środkowym zwierzętom wypilowywano poroże. Dla nas Europejczyków był to zupełnie obcy, zadziwiający świat. Zamiast lejców woźnica miał długą tykę, którą dźgał umiejętnie ciągnące sanki renifery.

Tymczasem należało nam artystom udać się w dalszą drogę. Po śniadaniu (kipiatok i „suchy pajok”), ruszyliśmy znowu pieszo przetartym szlakiem po śniegu i w silnym mrozie prawie godzinę do jakiejś jurty, gdzie czekał na nas dziwny pojazd. Był to sowiecki czołg z rozmontowaną wieżą strzelniczą, zamiast której znajdowała się lora, na którą wdrapaliśmy się. Czołg po jakimś czasie dowiózł nas do łagru, w którym mieliśmy kilka dni przebywać i pieszo docierać do najbliższych obozów z koncertowym programem. Po określonym czasie naszych występów wróciliśmy do Abież. Przybył z nami nowy artysta muzyk, grający na wiolonczeli. Był to Węgier, starszy już pan, bardzo słabo mówiący po rosyjsku. Stosunkowo nie dawno przebywał w obozie. Zaczęłam rozmawiać z nim po niemiecku, na ile pamiętałem jeszcze ten język z nauki w

szkole. Pamiętałem o staropolskim powiedzeniu „Polak, Węgier dwa bratanki”, stąd też od razu poczułem do nowego towarzysza niedoli dużą sympatię. Nazywał się Laslo Sente. Szlachetna twarz świadczyła o dużej inteligencji. Jak się później okazało, Laslo był kiedyś wybitnym politykiem, znał cztery języki, pracował w ambasadzie węgierskiej w Waszyngtonie. Stąd też po powrocie do Węgier, uznany za „element niebezpieczny” został „izolowany” za Koło Podbiegunowe. Jako łagiernik o kulturalnym usposobieniu i wysokiej inteligencji, zjednał sobie przychylny stosunek wśród nas muzyków. Po dostaniu się do naszego zespołu bardzo dużo ćwiczył na wiolonczeli i widziałem, że grał na niej nie łatwe partie. N.N. Czerniatyński bardzo go cenił. Był jedynym wiolonczelistą w orkiestrze.

Pierwszym skrzypkiem i solistą orkiestry był wybitny muzyk z symfonicznej orkiestry w Moskwie Sergiej Nikołajewicz (nazwiska nie pamiętam). Wśród skrzypków była jasnowłosa blondynka Estonka Renate Picho, z lekko pyrkatym noskiem, mająca stosunkowo krótki wyrok. Siedziała przy pierwszym pulpicie z Sergiejem Nikołajewiczem. Przed zwolnieniem z łagru kupiłem od niej prywatne skrzypce, oddając przez trzy miesiące przydział melasy cukrowej i co drugi dzień przydział porcji chleba. Wśród skrzypków pamiętam nazwiska Rosjan: A. Szabanowa, J. Golikowa, Ostrecowa. Orkiestra miała wspaniałego pianistę z moskiewskiej filharmonii Siergieja Wołodymirowicza Tapilina. Podobno na wolności akompaniował najwybitniejszym rosyjskim solistom. Niestety miał zboczone skłonności do młodych ludzi, o czym po cichu mówiono w naszym środowisku.

Repertuar teatru, w tym i naszej orkiestry był bogaty. Wystawialiśmy operetki J. Straussa „Cygański baron”, F. Lehara „Wesoła wdówka”, „Błękitny mazur” (libretto o motywach polskich), operetki I. Dunajewskiego. Z muzyki poważnej wykonywaliśmy symfonie wybitnych klasyków (m.in. V.L. Bethowena, V. P. Czajkowskiego (fragmenty jego opery „Dama pikowa”), baletu „Jezioro łabędzie”) i wiele innych. Z rosyjskich kompozytorów wykonywaliśmy między innymi utwory M. Musorgskiego, N. Rymskiego-Korsakowa. Pokazowym utworem orkiestry była uwertura do opery M. Glinki „Ruslan i Ludmiła” grana w tempie „presto”. Po jej wykonaniu zawsze sypały się rzęsiste brawa. Solistów, chór i balet, do występów przygotowywali pianiści i później były już wspólne próby z orkiestrą. Próby generalne trwały do późna w nocy. Do naszego repertuaru wchodziła również ukraińska opera S. Hułaka-Artemowskiego. Rzecz dzieje się latem na wsi w okresie żniw. Charakterystycznym był odbiór publiczności wychowanej w duchu antyreligijnym, kpienie z wiary. W pewnym momencie jeden z aktorów wymawia kwestię: „Pust’ tebe Boh bereże” („Niech cię Bóg strzeże”). Sala ryczała ze śmiechu. To było dla mnie obrażające. W dalszej części spektaklu następuje scena powrotu żniwiarzy z pracy, którzy modlą się i klękają. Piękna melodia nastrojowa. W sali absolutna cisza. Może jednak publiczności wróciły wspomnienia dzieciennych lat, gdy ich dziadowie czy rodzice modlili się? Dla mnie była to zawsze wzruszająca scena przypominająca polską wiarę w Boga.

Na wysokim poziomie stał zespół artystów dramatycznych. Przewodził mu słynny rosyjski reżyser Leonid Leonidowicz Obolenski, wielki filmowy twórca. Kiedyś współpracował w czasie realizacji pierwszych sowieckich filmów z Einsteinem. W czasie wojny dostał się do niemieckiej niewoli i za to

otrzymał wyrok 10 lat pobytu w łagrach. Wspomagał go kierownik artystyczny teatru Aleksiej Grigoriewicz Morow, znany rosyjski teatrolog. Wspólnie tworzyli oni wspaniałe inscenizacje, atrakcyjne dekoracje m.in. dzięki zakupionej w Teatrze Wielkim w Moskwie aparaturze oświetleniowej. Stamtąd też pochodziła część teatralnych kostiumów. Z ciekawszych inscenizacji utkwił mi w pamięci spektakl S. B. Shawa „Pigmalion”. Wystawiano też sztuki teatralne Gogola, Ostrowskiego i współczesnych sowieckich dramaturgów (tych drugich rzadziej). Nam muzykom można było oglądać z jamy orkiestrowej poszczególne spektakle, podobnie jak wyświetlane dość często filmy, którym służyła teatralna scena z opuszczanym ekranem.

Ciekawym zespołem była grupa jazzowa, której przewodził podobno znany absolwent moskiewskiego konserwatorium Zinowiew Binkin. Początkowo repertuar wywodził się z amerykańskiego stylu i utworów. Stopniowo jednak pod naciskiem władz powstawały utwory kompozytorów sowieckich, w większej części Dunajewskiego i twórców sowieckich piosenek, w tym z okresu ostatniej wojny. Wybitną rolę w zespole odgrywał Jurek Rakowski, doskonały pianista, akordeonista i aranżer. Solistą zespołu został wspomniany już Jurek Sidorowicz.

Czas uciekał, ja coraz bardziej nabierałem pewności siebie i opanowałem dobrze grę na skrzypcach, co spowodowało, że dyrygent N. N. Czerniatyński posadził mnie jako koncertmistrza drugich skrzypiec przy pierwszym pulpicie. Nasze koleżanki twierdziły, że między innymi powodem była moja elegancka postawa i wygląd. Jakby nie było, opinia przyjemna, a zwłaszcza ocena dyrygenta. Sam pobyt w gronie kulturalnych ludzi wpływał pozytywnie na moją psychikę, nie było tej ordynarności, z którą spotykało się na każdym kroku wśród więźniów w łagrach. Język rosyjski jest bardzo bogaty w przekleństwa ubliżające nie tylko najbliższemu, w tym matce, ale nawet Bogu. Od tego byliśmy – artyści – daleko. Rozmowy o sztuce, bezpośrednie z nią obcowanie, dawało w pewnym sensie zapomnienie o smutnej łagrowej rzeczywistości, pozbawieniu wolności, braku wiadomości od najbliższych. Odległość tysięcy kilometrów, spędzanie czasu wśród obcych pod względem języka, mentalności, kultury, ludzi – to wszystko w czasie wolnych chwil, przemyśleń, mogło doprowadzić do ogromnej depresji. Dzięki Bogu jakoś się trzymałem.

Pewnego razu dyrygent N. N. Czerniatyński poprosił mnie o przepisanie nut dla jakiegoś instrumentu. Dostałem papier, tusz, odpowiednie pióro i nocą w wolnej chwili przepisywałem otrzymany utwór. Od tego czasu zacząłem przepisywać utwory aranżowane przez N.N. Czerniatyńskiego na całą orkiestrę. Dyrygent obiecał, że będę za to otrzymywał wynagrodzenie, które będzie wpływało na moje łagrowe konto. Nocami, często w zimie, z nogami owiniętymi kocem, przepisywałem nuty. Z czasem zaczęło brakować papieru nutowego. Dyrygent załatwił czysty papier i zlecił wykonanie specjalnego urządzenia do rysowania pięciolini. Urządzenie to mam do dnia dzisiejszego, chyba jako jedyny egzemplarz w kraju.

Nadchodziła kolejna sybirski zima. Robiło się szaro, dzień coraz krótszy, znowu pojawiła się „cynga” szkorbut i ponownie Wiera z „sanczasti” leczyła mnie proszkiem z dzikiej róży. W czasie trwania nocy polarnej, ludzie stają się bardziej nerwowi, ponurzy, źli. Wpływa to destrukcyjnie na całe zachowanie, psychikę. Zaczęliśmy myśleć o kolejnym Bożym Narodzeniu w łagrze, o kolej-

nym nadchodzącym roku z jego ogromną niewiadomą. Dwudziestego drugiego grudnia otrzymałem wiadomość, że będę wezwany na pocztę po odbiór paczki. To było tak nieoczekiwane, że radziłem się kolegów czy mogę po nią udać się na pocztę. Wiedziałem, że nie mam nikogo z mojej rodziny na terenie Związku Radzieckiego i poza tym nikt ze znajomych nie wie o miejscu mojego pobytu. Nie chciałem odbierać rzekomej paczki, która mi się nie należała, aby nie skrzywdzić jakiegoś jej odbiorcy. Przeważała jednak presja rodaków, aby pójść po odbiór paczki. Na drugi dzień zostałem wezwany na wartownię przy bramie łagru, gdzie sprawdzono moje dane i w asyście strażnika z karabinem oraz psem, odprowadzono mnie na pocztę. Byłem w ogromnej rozterce, czy paczka jest rzeczywiście dla mnie. Urzędnik NKWD na poczcie odnalazł pudełko z dykty owinięte materiałem (taki był wymóg pakowania paczek) i zapytał „kaka familia” podałem nazwisko z imieniem swoim i ojca. – „Nu poprawno Wiaczesław Wiaczesławowicz” (często przekręcano moje imię Wiesław). „Ot kawo ożydajesz peredaczu” (od kogo oczekujesz przesyłki – skąd). Strzeliłem bez namysłu – „ze Lwowa” – „poprawno – a familia? Tu nie wiedziałem jakie podać nazwisko nadawcy. Urzędnik jednak się spieszył i zapytał „Panek?” Nie znałem takiego nazwiska, ale odpowiedziałem „tak”. Paczka została otwarta, były w niej suchary, kalesony z tasiemkami na końcu, jakie nosili kiedyś starsi mężczyźni, biała koszula, trochę cukru w woreczku i duża puszka blaszana, w której po otwarciu ukazał się smalec. Urzędnik wziął nóż, przebił smalec zapewne dla kontroli, czy nie ma w nim czegoś zakazanego i zwrócił zawartość ze słowem „bieri” – bierz. Okropnie zdenerwowany wróciłem do baraku ze swoją paczką. A tu kolejna niespodzianka. Na pościeli leżał list nadany jak sprawdziłem ze Lwowa. W liście zatytułowanym „Kochany nasz braciszku...” pisały dwie kobiety, że pragną mi pomóc i wysyłają paczkę. Podpisy Zosia i Krysia. Na kopercie nazwisko nadawcy – Panek. Nie mogłem się opanować od łez. Ogromne wzruszenie, że jest ktoś, kto o mnie pamięta. Ale jednocześnie niepokój. Byłem jedynakiem. Skąd „siostry”? Skąd znaleziono mnie za kołem podbiegunowym akuratnie w tym łagrze? Tyle niewiadomych. Przecież już półtora roku minęło od wywiezienia mnie ze Lwowa.

Na drugi dzień był wieczór wigilijny. Podobnie jak przed rokiem zebraliśmy się w łaźni, opowiedziałem rodakom, a było nas już pięciu, o zdarzeniu z paczką i listem. W paczce był maleńki skrawek opłatka, którym podzieliliśmy się, przyniosłem też kilka sucharów i cukier, oraz puszkę ze smalcem. Józek Godzisz postarał się o jakieś rybki i rozpoczęliśmy wigilię, z bożym błogosławieństwem. Przystąpiliśmy do smarowania czarnego chleba obozowego smalcem z puszki. I nagle pod smalcem coś zaszeleściło. Z ogromnym napięciem znaleźliśmy owiniętą w papier pergaminowy książeczkę „Cztery Ewangelie Pana Naszego Jezusa Chrystusa”, wydane w Mikołowie w 1937 roku nakładem księży Salwatorianów. Na okładce wewnętrznej dedykacja „Wiesławowi, Najdroższemu Braciszкови, tę malutką, lecz najcenniejszą książeczkę, z życzeniami, by była Jego „Vademecum”, zarówno dziś w ciężkich chwilach w Abieź, jak i w pogodnych w przyszłości ofiarują przybrane siostry Zosia i Krysia. Lwów, 24.XI.1947 r.” Tak okładka jak i kilka dalszych stron zaszyły tłuszczem od noża, którym przebił smalec urzędnik na poczcie. To było ogromne przeżycie, wzruszenie, wstrząsnęło mną do głębi. Pomimo licznych rewizji, przeglądów rzeczy, książeczka ta przetrwała ze mną przez cały czas pobytu w łagrach, później na dożywotnim zesłaniu i mam ją do dziś. Bóg miał mnie w swojej

opiece, a wszystko to zawdzięczam modlitwom mojej Świętej Matki, która całymi latami leżąc krzyżem, modliła się o moje życie i powrót w Jej ramiona. Nastąpiło to dopiero w styczniu 1956 roku.

Przez kilka dni nie mogłem się uspokoić. Wciąż wracałem myślą do ostatniego zdarzenia. Nie znałem zupełnie obu pań. Nie miałem pojęcia, jak ktoś obcy po tak długim okresie czasu znalazł mnie za kołem podbiegunowym. Na drugi dzień po otrzymaniu paczki odpisałem bardzo serdeczny list z podziękowaniem za przesyłkę. Prosiłem jednocześnie, by odnaleziono moją rodzinę, która powinna była znaleźć się w Łodzi, gdzie mieszkał brat mojej mamy, przed wojną sędzia Sądu Najwyższego Tadeusz Kowalski, mój chrzestny ojciec. Tak rozpoczęła się moja korespondencja z przybranymi siostrami. Pierwszy kontakt z wolnym światem. Po dwu miesiącach otrzymałem wiadomość, że moi rodzice mieszkają nie w Łodzi, a w Krakowie. Jak odnaleziono ich? Ważne, że żyją i zostali powiadomieni o moim losie. Kiedy po powrocie do kraju spotkałem się z Zosią Panek dowiedziałem się, że wśród Lwowiaków Armia Krajowa zorganizowała akcję pomocy tym, którzy nie mając rodziny na terenie ZSRR, znajdują się w łagrach. Wywiad AK dotarł do dokumentów NKWD i w ten sposób moje „siostry” dostały adres do nieznanego łagiernika. Również dowiedziałem się, że miejsce pobytu w Polsce uzyskano dzięki pomocy AK, które oceniło moją postawę w śledztwie. Natychmiast napisałem krótki list do rodziców, by przez Lwów otrzymali o mnie wiadomość. Jak wielką była moja radość, kiedy 23 lipca otrzymałem via Lwów pierwszy list pisany rękoma rodziców. Tak zaczęła się pomiędzy nami odległa korespondencja.

W sierpniu nasza grupa artystów wyjechała na kolejne występy. Między innymi płynęliśmy statkiem oczywiście pod konwojem rzeką Usą docierając do słynnej Workuty, gdzie dziesiątki tysięcy więźniów pracowało w tamtejszych kopalniach węgla. We wrześniu nasz zespół otrzymał nową amerykańską odzież, spodnie, kurtki, buty. Widocznie w ramach pomocy USA dla ZSRR. Nowością była podróż wagonami (pod strażą) prawie 1000 km na południe aż do Kotłasu. Po koncertach, często w barakach łagrowych, podchodziły osoby pytając, czy jestem Polakiem. Tak działał grany przeze mnie kujawiak H. Wieniawskiego. To były serdeczne spotkania, często łzawe. W listopadzie otrzymałem pierwszy list od mojej dziewczyny Krystyny Mładejowskiej, którą wprowadziłem kiedyś w szeregi Armii Krajowej. Mniej więcej raz w miesiącu zacząłem otrzymywać korespondencję z kraju lub ze Lwowa. Był to wielki bodziec psychiczny podbudowujący moje zatroskane łagrowe życie.

Nadchodziła kolejna sroga zima, a wraz z nią dzień kolejnej wigilii Bożego Narodzenia. W ciągu roku nasze polskie grono zaprzyjaźniło się, zaczęliśmy się orientować, że Polacy uzyskują pozytywną opinię tak co do swojej solidności w wykonywaniu obowiązków, jak też wzajemnej więzi, która wytworzyła się wśród nas. To ośmieliło do wspólnego spotkania na wigilii już w baraku. Oczywiście byliśmy tylko w gronie męskim, gdyż nie było wolno wchodzić do męskiej zony kobietom i odwrotnie, chyba tylko w wyjątkowych wypadkach za pozwoleniem komendanta obozu lub kogoś z wartowni.

Rok 1948 rozpoczął się dla mnie niespodziewanym zapytaniem lejtnanta, opiekuna artystów i prawdopodobnie szefa straży NKWD pilnującej nas, czy znam się na grze na gitarze. W domu miałem gitarę, w orkiestrze gimnazjalnej w Łańcucie jej dyrygent, jednocześnie naczelnik poczty p. Kolijewicz uczył gry



na gitarze. Miałem o tym pewne pojęcie. Lejtnant zapowiedział, że będę uczył jego kolegów gry na gitarze. Wobec tego napisałem do „siostrzyczek” we Lwowie, by przysłały mi książkę o podstawowej nauce opanowania gry na tym instrumencie. Po miesiącu otrzymałem upragniony podręcznik, w który zacząłem się zagłębiać. Pewnego wieczoru lejtnant przyszedł po mnie i wyprowadził za obóz do jakiegoś pomieszczenia, w którym było siedmiu żołnierzy w mundurach, wszyscy z gitarami. Miałem uczyć ich gry na tym instrumencie. Rozpocząłem od nut, oraz pierwszych zasad trzymania instrumentu. Nie znałem jeszcze za dobrze języka rosyjskiego, stąd wykład mój był kaleczony. Jednocześnie pamiętałem z rozmów w orkiestrze, że Rosjanie nie używają nazw nut jak u nas C, D, E, F, G, A H, C, tylko Do, RE, Mi, Fa itd.

Po pierwszej lekcji lejtnant odprowadzając mnie do obozu wstąpił do jakiegoś sklepu i kupił butelkę sowieckiej wody kolońskiej. Po wyjściu ze sklepu otworzył ją i wypił. Ogromnie byłem tym zdziwiony. Takich obyczajów nie znałem. Lekcji gry na gitarze przeprowadziłem kilkanaście, jednak po pewnym czasie skończyły się. Moi „uczniowie” widocznie byli rozczarowani sądząc, że w bardzo krótkim czasie zaczną grać. Nudziły ich prawdopodobnie moje wykłady o nutach, akordach, tonacjach itp. Tak skończyła się nauka gry, a zawsze po takich zajęciach mój lejtnant tradycyjnie wstępował do sklepu, by napęlić swój organizm „pachnącymi” (okropnie) „duchami” (perfumami).

W teatrze życie biegło normalnym torem. Koncerty, spektakle, próby nad nowym repertuarem. Ciągłe mozolnie ćwiczyłem nad swoją techniką skrzypcową. Nocami przepisywałem nuty dla orkiestry, przekazywane przez dyrygenta. W wolnych chwilach spotykaliśmy się w gronie Polaków wspominając przeszłość szczęśliwą, w chwilach obecnej tęsknoty. Odtwarzaliśmy fragmenty zapamiętanej naszej ojczystej poezji. Okazało się, że trzech z nas pisuje wiersze. Kilka z nich przytoczę.

Śnieg. Tundra. Góry.  
Wiatr wieje...  
Kraj nędzny, smutny, ponury –  
Gnije...  
Martwe dokoła cienie –  
Symfonia śmierci dźwięczy.  
Lęk – i cierpienie  
Wiatr jęczy.  
Zrywa się myśl i leci –  
Ptasze tułacze  
Z burz, huraganów, zamieci  
Wiatr płacze...  
I tylko modlitwa cicha  
Ból tłumi  
I żali się, wzdycha...  
Wiatr – szumi...

Jerzy Sidorowicz    Abieź – maj 1948 r.

Jurek najwcześniej z pośród nas wrócił do kraju. Po powrocie był u moich rodziców w Krakowie opowiadając o naszym obozowym życiu. Był zatrudniony w operetce w Łodzi jako solista znanej orkiestry mandolinistów pod batutą Mariana Ciukszy. Po powrocie do kraju odwiedziłem go kiedyś w Łodzi i uczestniczyłem w spektaklu operetkowym, w którym on występował. Potem wielokrotnie

słuchałem go w radiu i zawsze powracały mi wówczas wspólne niełatwe obozowe przeżycia. Jurek był zawsze niepoprawnym optymistą i w najtrudniejszych chwilach obozowego bytowania zachowywał spokój. Miał też coś w sobie z romantyka. Zawsze snuł optymistyczne plany na przyszłość. Zatem do dzisiaj nie wiem dlaczego odebrał sobie życie.

Drugim naszym poetą był Julek Baczyński – Abieź 1948 r.

### Sen

Raz szczęście mi się przyśniło  
 Dawne szczęście moje –  
 Po świecie błądziło  
 Nie swoje...  
 Szukało mieszkania, serce –  
 W tęsknocie i udręce,  
 W długiej poniewierce –  
 W męce...  
 I w końcu umarło szczęście  
 Samotne, zabłąkane  
 Na wieczne wyklęcie  
 Wygnanie.

Julek po powrocie do kraju zamieszkał w Gdańsku, gdzie ukończył studia na Politechnice. Kontakt z nim urwał się.

Wszystkie te wiersze pisaliśmy w Abieź. To cud, że kilka z nich zachowałem. Ośmielę się jeszcze przytoczyć swój wiersz z tamtych czasów:

Kniaź Pogost 23.VI.1948.  
 Wandzie Kossakowskiej  
 [Fragment]

Czerwcowy jasny dzień  
 Pełen kwiecistych woni –  
 Snuje się wspomnień cień,  
 W przeszłości tonie.  
 W girlandy myśl się splata  
 Coś w sercu drży, coś łka  
 I ku ojczyźnie wzlata  
 Tęsknota ma.

Utwory te proste w treści, formie, w pewnym sensie prymitywne, rymowane, pisaliśmy z potrzeby ducha, by nie zapominać o ojczyźnie, utrwałać myśl i język. Na pewno wynika z nich nostalgia. Mieliśmy za sobą tylko szkołę średnią, wzorując się na dawnej poezji nie znaliśmy aktualnych trendów w nowożytnej literaturze, poezji. Ale tworzyliśmy tak jak umieliśmy.

W lipcu i sierpniu wędrowaliśmy wagonami po Komi ASSR bywając w różnych obozach. Byliśmy między innymi w takich miejscowościach jak Kotłas, Kniaź Pogost, Krasawino, Krasnyj Sewer. Wszędzie spotykaliśmy się z Polakami. Mój Kujawiak H. Wieniawskiego był pewnego rodzaju sygnałem dla rodaków, którzy podchodzili ze wzruszeniem, czasem ze łzami. Nie miałem pojęcia, że tyłu ich jest w łagrach. Tymczasem w chórze pojawiła się nowa twarz, Ukrainka ze Wschodniej Ukrainy. Bardzo lubił ją nasz dyrygent, podobno była z jego dawnych okolic. Nazywała się Helena Bławacka i twierdziła, że jej ojciec był Polakiem. Często rozmawialiśmy ze sobą, opowiadałem o Polsce, jaki

u nas dobrobyt, religijność. Słuchała z niedowierzaniem i marzeniem. Nie znała jednak naszego języka. Tymczasem kolejna zima. Przygotowujemy repertuar na dłuższy wyjazd, co najmniej na miesiąc. Mamy jechać z teatralnymi dekoracjami, orkiestra, chór, balet. Zaraz po Nowym Roku, jak zawsze z uroczystym, rozrywkowym programem. Wigilię spędzam w gronie rodaków, otrzymując wcześniej kolejną paczkę ze Lwowa, listy z domu i od rodziny.

W styczniu cały duży zespół teatralny wyjechał na daleką Północ do miasta Salechard. Był to cały pociąg z artystami, kostiumami, dekoracjami i rekwizytami. Zima bardzo mroźna. Na Święto Trzech Króli Zosia Klimaszewska zaprosiła mnie do wagonu na świąteczną kolację. Staliśmy na jakiejś dużej stacji kolejowej. Od mrozu dym ostrymi piuropuszami unosił się w górę. Noc polarna. Zosia stwierdziła, że konieczna jest woda do ugotowania „wermiszu” (makaronu). Wiedziałem, że w pewnej odległości od pociągu jest przerębla, do której nasi artyści i konwojenci chodzili po wodę. Powiedziano mi w którym to jest kierunku. Wziąłem wiadro i wybrałem się po wodę. Nagle zerwała się burza śnieżna „purga”, silny wiatr, zacząłem tracić orientację, w której stronie jest przerębla. Bałem się by nie wejść do niej, bo wtedy zginę. Usłyszałem jednak przeciągły gwizd lokomotywy i to dało mi orientację, w której stronie jest stacja kolejowa. Ostrożnie wracałem, by po chwili zobaczyć we mgle oświetlony budynek dworca i jego okolicy. Dotarłem do wagonu Zosi dziękując Bogu za uratowanie. Potem aby mieć wodę, musiałem kilkakrotnie wychodzić po śnieg, którego trzeba było dużo nabierać, aby zgromadzić jej potrzebną ilość na mycie i do bieżących potrzeb.

Tymczasem pociąg nasz dojechał do stacji Łabytnanga, gdzie kończyły się tory kolejowe. Dalej mieliśmy iść piechotą przez rzekę Ob do miasta Salechard, będącego celem naszej podróży. Dekoracje, rekwizyty, instrumenty załadowano na duże amerykańskie samochody ciężarowe „studebackery”, które jechały przez rzekę po przetartym lodzie. Salechard to miasto zesłańców, w którym istniał duży kombinat przetwórstwa ryb. Statki z Morza Północnego przywoziły połów przerabiany w kombinacie, leżącym u początku delty rzeki Ob, mającej w miejscu gdzie wylądowano nas z pociągu kilkanaście kilometrów szerokości. Zimą dla odbioru przerobionych konserw na zamrożonej rzece kładziono podkłady kolejowe z szynami i po nich pociąg towarowy wywoził towar z miasta. Latem komunikacja z miastem odbywała się przez samoloty.

Byliśmy bardzo zmęczeni przejściem przez rzekę. W barakach, w których nas ulokowano było ciepło. Otrzymaliśmy o dziwo kwotę pieniędzy do własnej dyspozycji i informację, że możemy się swobodnie poruszać na terenie miasta. Wiadomo – nie było żadnej możliwości ucieczki. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że władze miasta zezwoliły na kąpanie się w miejskiej łaźni. Zawsze miałem kłopot w łaźni z okularami na skutek pary, która osiadała na okularach. Znalazłem miejsce na jakimś okienku gdzie położyłem okulary i zacząłem się myć. W pewnym momencie zauważyłem koło siebie jakieś dziwne kształty. Okazało się, że była to kobieta. Poczulem się nieswojo i przesunąłem się w odleglejsze miejsce. Okazało się, że dzień, w którym kąpaliśmy się, był dniem kąpieli rodzin, które przyzwyczajone do miejscowych zwyczajów, razem załatwiały swoją toaletę.

Rozpoczęły się próby naszego zespołu. Wystawialiśmy operetki, graliśmy koncerty. Byliśmy ogromną nowością dla mieszkańców miasta. Sala wido-

wiskowa zawsze była przepelniona. W wolnych chwilach chodziłem po mieście, odczuwając pewną swobodę, coś na miarę wolności. Kupiłem sobie mydło, pasek do spodni, okulary w rogowej oprawie (te które miałem były w metalowej). Jednocześnie dowiedziałem się, że w Salechardzie mieszka Polka ze Lwowa. Odnalazłem ulicę i dom, w którym mieszkała. Zapukałem. Otworzyła średniego wzrostu kobieta pytając po rosyjsku czego żądam. Powiedziałem po polsku, że jestem ze Lwowa i że chcę porozmawiać z rodaczką. Tak nawiązałem znajomość z Janką Mierzyńską. Była córką znanego lwowskiego fabrykanta materiałów biurowych, kredek, ołówków itd. W pokoju okazało się, że w korytarzu jest dziecko. Ugościła mnie herbatą, czymś słodkim, zaczęliśmy rozmawiać o Lwowie, z którego została zesłana aż tu za koło podbiegunowe. Związała się z Rosjaninem, inżynierem, będącym obecnie na delegacji. W czasie pobytu odwiedziłem ją kilkakrotnie.

Po powrocie do kraju, po kilkunastu latach spotkałem w Warszawie już dorosłą jej córkę, absolwentkę Akademii Sztuk Pięknych, która jednak nie chciała ze mną rozmawiać o matce i jej mężu. Pod koniec lutego wracaliśmy do Abieży. W czasie powrotu Klara miała przygodę. Umyła wieczorem włosy i rano nie mogła oderwać głowy od ściany wagonu. Taka jest Północ. W Salechardzie przeżyłem też dziwne zjawisko. W dniu, w którym było 50°C mrozu, na widnokręgu zobaczyłem dwa słońca, a po pewnym czasie tęczę. Pierwsza tęcza od tyłu lat. I znowu wzruszenie i myśl o najbliższych.

Rok 1948 to rok różnych nieoczekiwanych zdarzeń. W styczniu otrzymałem list z fotografią Krystyny Młodejowskiej. Piszę do niej prośbę o odszukanie żony będącego w naszym obozie Stefana Nowickiego. Podobno mieszka we Wrocławiu. W styczniu kupuję skrzypce od Renaty Picho, która w najbliższym czasie ma wyjść na wolność i wrócić do Estonii. A więc będę miał na nieznaną przyszłość własny instrument, jeżeli nie daj Boże mi go nie odbiorą. W warunkach więziennych wszystko jest możliwe. W marcu wezwano dwóch Polaków rzekomo na wyjazd do kraju. Coś się dzieje? Czy można mieć nadzieję na wolność? W teatrze zmiany, ograniczenie etatów. Zima sroga. Domy zasypane po dachy śniegiem. Mrozy do 40°C. Nadchodzi Wielkanoc. Jeden z Ukraińców otrzymuje farby akwarelowe. Maluję kartki świąteczne z symbolami Północy. Otrzymuję za to główki czosnku i cebuli. Jedna z kartek dochodzi do domu! Przez dłuższy czas brak wiadomości z kraju. Jestem zaniepokojony. Ubywa muzyków z orkiestry.

W sierpniu mała grupa koncertowa wyjechała na krótkie tournée. W jednym z obozów w Incie spotkałem Polkę, siostrę zakonną Bernadette. Dostałem od niej obrazek Matki Boskiej i kostkę mydła. Siostra poinformowała mnie, że w sąsiednim obozie jest polski ksiądz kapucyn. Rzeczywiście tak się zdarzyło, że na drugi dzień mieliśmy koncert w tym łagrze, gdzie był ów ksiądz. Odnalazłem go i przy spotkaniu w czasie rozmowy chodząc po placu wypowiedziałem się. Była to jedyna spowiedź za tak długi czas i ostatnia, przed powrotem do kraju. Był to ksiądz Albin Janocha, kapucyn, z którym spotkałem się po wielu latach w Krakowie, w czasie organizowania Związku Sybiraków. Przyjaźniłem się z nim aż do jego zgonu. Jego tułaczce wspomnienia pt. *Pod opieką Matki Bożej*, ukazały się w roku 1993 we Wrocławiu w oficynie wydawniczej „Biblioteka Zesłańca”, istniejącej przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, które pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku podjęło śmiały pomysł konkursu na wspomnienia Polaków z Syberii, Kazachstanu i innych rejonów ZSRR. Na podstawie zgromadzonych wówczas materiałów utworzono serię wydawniczą niezwykle za-

służoną w dokumentowaniu polskich zesłań i deportacji do ZSRR w latach drugiej wojny światowej oraz pierwszych lat po jej zakończeniu, wyróżnionej za ten edytorski trud nagrodą Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.

We wrześniu wyjechał do Polski mój przyjaciel Józek Godzisz. W grudniu wyjechała do Polski Dorota Smetaniuk Jabłońska. Zaczyna świtać nadzieja szybkiego wyzwolenia i powrotu do kraju. Niestety życie potoczyło się zupełnie innym torem. Tak na tym oczekiwaniu minął dla mnie 1948 i 1949 rok. Były to dla mnie trudne lata pozostawania w niewoli której towarzyszyły dręczące myśli: dlaczego mnie nie zwalniam? Zosia Klimaszewska od czasu do czasu wspomagała mnie jakimś makaronem. W grudniu (1949) otrzymałem już trzecią paczkę ze Lwowa: cukier, tuszonka, smalec, makaron, suszone śliwki, papier, koperty, pióra do pisania, książkę Wincentego Pola. Bardzo cenna przesyłka.

Rok 1950. Wciąż zmniejsza się ilość artystów w teatrze. Podobno ma być rozwiązany. Część muzyków i artystów ma być przeniesiona do miejscowości Igarka nad Jenisejem. Nie mam pojęcia gdzie to jest? Podobno jeszcze głębiej w Azji. Następuje pakowanie nut, części dekoracji, rekwizytów. Jest kwiecień, maj. W czerwcu, korzystając z żeglugi po rzece, mamy płynąć do Igarki. I tak kolejny transport. Na szczęście wiozą nas oddzielnym wagonem tzw. „stołypin-skim”, gdzie do poszczególnych przedziałów nie ma drzwi, tylko przez cały wagon jest siatka, aby straż pilnująca nas miała wszystkich na oku. Wiozą nas przez Kotłas, Kirow, Perm, Omsk, Nowosybirsk do Krasnojarska.

Podróż pociągiem trwała dwa tygodnie. Siedząc bez ruchu traciliśmy siły, będąc na tzw. „suchym pajku”. Dobrze, że mieliśmy jeszcze trochę produktów z paczek. Dowieziono nas do Krasnojarska do portu na rzece Jenisej. Załadunek „niewolników” trwał długo, bo wprowadzano na statek wielu więźniów. Stąd bowiem odprawiano ciągle nowe transporty więźniów do łagrów w Norylsku, w których więziono także wielu Polaków. Można nad tym ubolewać, można uznać to za zbrodnię, fakt pozostaje jednak faktem i powinniśmy więcej o tym pisać kreśląc losy polskich zesłańców na Syberii. I to nie dlatego by utrwalać martyrologiczny obraz tej krainy i nas tam cierpiących. To dla prawdy historycznej, by ci urodzeniu już w wolnej Ojczyźnie wiedzieli jaki był Sybir!

Umieszczono nas na dnie statku w fatalnych warunkach. Byliśmy wprawdzie odgradzeni od grupy przestępców, złodziei i morderców, ale jedynie siatką, przez którą padały różne ordynarne, obraźliwe słowa. Instrumenty muzyczne mieliśmy ze sobą. Pod pokładem powietrze okropne. Zaduch, smród, kłopoty z czynnościami fizjologicznymi. Co parę dni wyprowadzano nas małymi grupkami na pokład. Płynęliśmy ponad dwa tygodnie. Wreszcie port Igarka. Pod konwojem wyprowadzono nas do kolejnego łagru. Barak schludny, nowy, widać kierownictwo łagru chce dbać o artystów. Niestety to są szczątki nas artystów z teatru w Abieź. Orkiestra liczy zaledwie 10 muzyków. Nie ma już wybitnego skrzypka, ani Renaty Picho, która wyszła na wolność, ani mego przyjaciela Węgra – Loci Sente. Na szczęście jest z kostiumami Zosia Klimaszewska.

Za naszym barakiem „buduje się” latryna. To ogromna praca, w której pomagamy. Trzeba wykopać głęboki dół, na jakieś 2 m głębokości. Ziemia zamrzła na lód, twarda jak kamień. Wietrzna zmarzlina. Kopie się kilofami, rozpała ognisko, żeby lód trochę tajał. Na szczęście na skutek interwencji naszego dyrygenta N.N. Czerniatyńskiego dowództwo obozu zwalnia nas z pracy fizycznej, która negatywnie odbija się nie tylko na zdrowiu, lecz przede wszystkim na

rękach, uniemożliwiając grę na instrumentach. Otrzymujemy dodatkowe wyższenie.

Po raz pierwszy od przybycia do tej miejscowości pod konwojem wyprowadzają nas do teatru. Odległość od łagru około dwu kilometrów. Budynek duży, wprawdzie nie taki jak w Abież, jednak musimy się jakoś rozlokować. Rozpakowujemy bibliotekę, pulpity, rekwizyty, kostiumy. – Igarcka to duże miasto. Idąc do teatru wciąż mijamy bardzo długie ogrodzenie składów drewna. Jest to port, w którym Rosja sprzedaje zagranicznym odbiorcom różnego rodzaju wyroby z drewna potrzebne m.in. dla statków. Ze zdumieniem obserwujemy w oddali obce bandery, m.in. fińskie, szwedzkie i inne. Tak niedaleko wolność. Jenisej w Igarce ma podobno głębokość 80 metrów, tu wpływają do portu statki morskie. To jeszcze jedno okno na świat z ZSRR, ale czy ci przybywający tu zagraniczni marynarze mają pojecie o tragicznych losach łągierników, którzy budowali ten port

W teatrze próby. Zostaję pierwszym skrzypkiem. Bardzo dużo ćwiczę, gdyż mam trudne partie. Skromny chór i balet. Ma się odbyć pierwszy koncert na którym mam wystąpić solo we fraku, przy akompaniamencie fortepianu. O ironio losu, łągierni i frak! Zosia twierdzi, że wyglądam bardzo elegancko. W dalszym ciągu przepisuję nuty, gdyż zmiana zestawu orkiestry powoduje inny rozkład harmonizacji. We wrześniu jestem nagle wezwany do komendy łagru przez jakiegoś śledczego. Znowu stres. Co mnie czeka? Dowiaduję się tam, że przysłały jakieś moje dokumenty z Moskwy.

Śledczy informuje, że ojciec mój poprzez Ministerstwo Spraw Zagranicznych stara się o moją repatriację. Jednak polityczny wyrok ciążyący na mnie nie pozwala póki co na zwolnienie i odesłanie do kraju. O tym powiadomił mnie śledczy. Moja sprawa będzie jeszcze rozpatrywana. Ciągłe łądę się nadzieją, że nastąpi to niebawem i podobnie jak niektórzy z kolegów udam się w powrotną drogę do kraju. W tym oczekiwaniu spotykam się nierzadko z objawami rozgorzałej nienawiści do systemu, który spowodował moją niewolę. Uczucie to musiało być jednak tłumione bo jakiegokolwiek ukazanie go znaczyło nic innego jak dalszy pobyt w niewoli. Radość ze szczęścia rodaków opuszczających łągierni była jednak stałym źródłem nadziei dla mnie.

Wrzesień. Wyjeżdżamy z występami do Norylska. Ogromne miasto, piętrowe budynki, duże oświetlenie elektryczne, linie autobusowe, ruch na ulicach. Jednocześnie duże „zagłębienie” łągrów. Podobno dalej na północ są złoża rud promieniotwórczych metali gdzie przy wydobywaniu ginie wielu więźniów. W Norylsku piękny budynek teatru. Wożą nas autobusem, z konwojem. Okazuje się, że w mieście są nawet tramwaje. Zespół nasz ulokowano na peryferiach miasta w jakimś enkawudowskim ośrodku, w dobrych warunkach. Można nawet wychodzić bez straży do ogrodu. W wolnych chwilach przebywam tam, ciesząc się chwilą jak gdyby wolności. Zamarznięte drzewa, raczej krzewy, gdyż na tej szerokości geograficznej jest tundra. Na obiady wyprowadzają nas do jakiegoś łagru.

Okazuje się, że z tego obozu uciekło stosunkowo nie tak dawno kilku więźniów. Po pewnym czasie złapano ich. Według opowiadań uciekający zaczęli ginąć z głodu i w tej sytuacji „ciągnęli losy”, którego z nich zabić, aby mieć pożywienie. Kanibalizm. Straszna rzecz. Koło wartowni w obozie dla postrachu więźniów wystawiono zamarznięte trupy ze śladami psich zębów na poślach. Wstrząsający widok. To są metody NKWD. Byliśmy wszyscy ogrom-

nie przybici. Tak minął 1950 rok. Wigilię obchodziliśmy tylko z Zosią Klimaszewską. Byliśmy w teatrze jedynymi Polakami.

\*

### **Irena Przywecka (z d. Kubisiak) – *Na zesłaniu***

Rodzice moi pochodzili z Poznania i byli nauczycielami. Mama urodzona 1 maja 1899 roku, tato 18 sierpnia 1894 roku. W 1930 roku wyjechali z Poznania do Mosiny w poszukiwaniu pracy bowiem tylko mama miała zatrudnienie w Poznaniu, tato natomiast nie. Był inwalidą wojennym z I wojny światowej, miał przestreloną prawą rękę, którą zamierzano pierwotnie amputować ale zrobiono wszystko by ją uratować. Prawdopodobnie dostał odszkodowanie, kupił kawałek ziemi w Żabinku, gdzie rozpoczął budowę domu.

W roku 1936 roku na Kresy Wschodnie aż do Prużany wyjechała kuzynka taty Helena z mężem Kazimierzem Ilińskim, inż. budowniczym dróg i mostów, w stopniu kapitana, który został starostą tego kresowego miasteczka. W 1939 roku aresztowali go sowieci i zaginął bez wieści. Namówili oni moich rodziców, żeby skorzystali z kontraktu pięcioletniego i przyjechali na Kresy uczyć w tamtejszych szkołach. Po pięciu latach mogli wrócić do Poznania, z gwarancją pracy i mieszkania. W 1938 roku rodzice sprzedali to, co było możliwe i wyjechali. Po rocznym nauczaniu w Prużanie przenieśliśmy się do Berezy Kartuskiej gdzie otrzymali większe mieszkanie oraz korzystniejsze warunki pracy i płacy. Mama była nauczycielką języka polskiego i niemieckiego, tato pracował w kancelarii szkolnej oraz uczył także języka niemieckiego.

\*

Nasza Mama (1899-1964).  
Zdjęcie wykonane w Nowosybirsku  
w 1949 r.

W nocy 22 lub 23 czerwca 1941 roku wtargnęło do naszego mieszkania dwóch enkawudzistów, przeprowadzili rewizję, kazali się spakować i wynosić z domu. Pamiętam jak jeden szeptem powiedział do mamy: „brać ciepłą odzież i

duzo jedzenia”. Przed domem stał drabiniasty wóz i jeszcze dwóch enkawudzi-  
stów. Tatę oddzielili od rodziny i osadzili w więzieniu w Berezie. Mamę z sió-  
demką dzieci powieźli na dworzec, gdzie stały bydłęce wagony, w których byli  
już ludzie wcześniej przywiezieni. Wsadzili nas wszystkich do wagonu i za-  
mknęli drzwi. Opiszę tę „małą” gromadkę dzieci: Aurelia –mówiliśmy Aura, ur.  
1920 r.; Apoloniusz – mówiliśmy Polu – ur.1924 r.; Wirgiliusz – mówiliśmy  
Tyło, ur. 1926 r.; Wenancja – mówiliśmy Wenia, ur. 1929 r.; Ja, Irena – ur.  
1933 r.; Teresa – ur. 1935 r.; Klara – ur.1937 r.

Na peronie staliśmy chyba dwa dni. Wieść o wywózkach rozniosła się  
echem błyskawicy po Berezie. Siostra Aura w sierpniu miała zaplanowany ślub,  
jej narzeczony Włodek Zalewski, biegł po peronie i wywoływał nasze nazwi-  
sko. Mama widząc to przez zakratowane okno spakowała trochę ciepłych rze-  
czy dla taty, ludzie pomogli otworzyć drzwi i podała Włódkowi. Zauważył to  
konwojent i nie bacząc na to, że mama wyglądała przez drzwi wagonu zatrza-  
snał je uderzając ją nimi w głowę. Zrobił się straszny krzyk. Mama tracąc przy-  
tomność osunęła się na podłogę wagonu. Z peronu wyglądało to tak, że Kubi-  
siakową zabito. Po pewnym czasie odzyskała ona przytomność i wróciła do  
zdrowia, chociaż przez całą drogę na zesłanie nie czuła się najlepiej.

Wreszcie po skompletowaniu eszelonu pociąg ruszył w nieznaną. Atmos-  
fera w wagonie pełna była niepokoju, ludzie modlili się i śpiewali nabożne pie-  
śni. Pisząc to po latach zdaję sobie sprawę z faktu, że moje widzenie tej sytuacji  
deportacyjnej jest kalekie i mało dokładne. Tak czy owak w tym zamkniętym  
pudle bydłęcego wagonu dojechaliśmy do Nowosybirsk skąd statkiem popły-  
nęliśmy do Toguru. Tam wysadzono nas na placu. Potem wozem dowieźli do  
Tajgi – „Sieło wtoraje”. Pamiętam barak, w którym kazali nam się „rozgościć”.  
Był okropny, dziurawy i przepełniony ludźmi. Całe szczęście, że było lato, bo  
zimy byśmy nie przeżyli. Osoby starsze bardzo chorowały, dzieci też, a stan  
moich sióstr Weni i Teresy był również bardzo ciężki, ale na szczęście przeży-  
ły.

Przygarnęło nas do swojego domu bezdzietne rosyjskie małżeństwo.  
Mieli jeden pokój w którym był duży piec. Gospodarze spali na piecu, my na  
podłodze. Dom był ciepły. Zrobiony z belek, między belkami był mech i nieste-  
ty pełno robactwa. Dorośli musieli iść do pracy, do wyrębu lasu i karczowania  
olbrzymich korzeni. Mama, Aura i Polu pracowali w lesie, Tyło przy koniach.  
Jak skończyła się żywność podkradał koniom sieczkę. Mama zalewała to mle-  
kiem i tak jedliśmy (mleko mama wymieniała za rzeczy). Rosjanie też nam po-  
magali to byli bardzo dobrzy ludzie. Zima była okropna, nikt nie był przygoto-  
wany na takie mrozy. Ludzie źle ubrani zamarzali przy pracy. My wszystkie  
chorowałyśmy na zapalenie płuc, Wenia już nigdy nie wróciła do zdrowia.

1941 rok. Po rozmowach Sikorski – Majska mogliśmy wyjechać do innej  
miejscowości. Mama zdawała sobie sprawę, że w tej leśnej osadzie następnej  
zimy nie przeżyjemy. Za futro, które zabrała z domu wynajęła sanie i jeszcze  
zamarzniętą rzeką Kiet przyjechaliśmy wiosną do Kołpaszewa. Tam było więk-  
sze skupisko Polaków i dochodziła amerykańska pomoc (UNRA). Mama praco-  
wała w szwalni, szyła kufajki i watowane spodnie, Aura pracowała w ogrodnic-  
twie, Polu w przetwórstwie rybnym.

1942 rok. W Tomsku powstał Polski Dom Dziecka. Mama wysłała Tyla i  
Wenię z nadzieją, że uratują jej zdrowie (chodziło o płuca), nas zatrzymała przy



sobie. Głód doskwierał wszystkim. Nie zapomnę rosołu, który był ugotowany na biednym wróbelku, upolowanym procą przez Pola. Jak ta biedna mama szukała tych skrawków „mięsa”, żeby każdy miał chociaż kawałek na talerzu. Pamiętam upośledzoną dziewczynkę, Rosjankę, może 12-letnią. Miała na sobie worek wycięty na głowę i ręce, leżała w sieni na ziemi pod ławką, cała się trzęsła, wychodziła na podwórze, zjadała kurze odchody i wszystko, co znalazła. Potem gospodyni popychała ją nogami pod ławkę jak psa. To widziałam, bo chodziłam do nich po mleko. Jeszcze jedna scena zapadła mi w pamięci na całe życie. Chłopiec, może miał 15 lat, może 17. Nie wiem czy był Polakiem czy Rosjaninem. Szukał już po wykopkach, z pewnością z głodu, ziemniaków, które być może pozostały w ziemi. Podszedł do niego enkawudzista i zastrzelił go na moich oczach! Państwowego nie wolno było ruszać.

Personel wychowawczo-opiekuńczy Domu Dziecka w Tomsku (1943). Chlebik (dozorca), Szatochinowa, Lutostańska (wychowawca), Smolińska (wychowawca), Michalska, Szmidt (nauczycielka), Nowikowa, dr Piotrowicz (lekarz), Paulina Mironowa (nauczycielka?), Grzywaczowa (nauczycielka), Skibowska, Klaudia Konstantinowna (vice dyrektor), Tomaszewski, Anna Kościuk (dyrektorka), Piotrowicz (pielęgniarka), Wołosańska (nauczycielka), Nikiciuk (nauczycielka), Zofia Grygalis (nauczycielka prac ręcznych), Szajdowa, Godlewska (wychowawca).

Jest jeszcze rok 1942. Zostaje aresztowana nasza mama. Zrobili rewizję, znaleźli słownik polsko-niemiecki, książkę kucharską – niemiecką, braciom ukradli klasery ze znaczkami, które zbierali od 1934 roku. Mamę uznano za kontrewolucjonistkę i wroga Związku Radzieckiego, za co skazana została na 5 lat więzienia. Siostra i brat nadal pracowali. Ja opiekowałam się młodszymi siostrami. Raz w miesiącu nosiłam paczkę z jedzeniem dla mamy do więzienia. Wspólnota rodzinna i pokrewieństwo postaw życiowych wywodzących się z jakiejś wewnętrznej siły by przetrwać umacniały nas we wzajemnym wspomaganiu się. Nie wolno było załamywać się mimo zesłańczego koszmaru, a to co nas

umacniało to była ciągła nadzieja odjazdu z Syberii ku wolności, czyli do kraju. W tym wszystkim umacniała nas mama, a potem gdy jej zabrakło czyniło to starsze rodzeństwo. Tak więc trwaliśmy w nadziei i modlitwie.

1943 rok. Miałam wypadek, poszłam zimą po wodę do studni. Nie przewidziałam jednak, że oblodzone wiadro przeważą moje siły i kiedy odkręcałam korbę by nabrać wody, łańcuch z całym impetem, ściągnął wiadro w dół a ja korbą dostałam w głowę i rękę. Obudziłam się w szpitalu, gdzie chirurg nast-

Wychowankowie i opiekunowie Domu Dziecka w Afipskiej (1945). Elżbieta Szajdowa, Smolińska, (wychowawca), Zina Fiodorowna, Krysia Biessiekierska, Lusja Żurawska, Marysia Szydłowska, Teresa Kubisiak, Marysia Niemcówna, Julia Zaugolna, Rusieńka Urbańska, Tomaszewski, Janina Lutostańska (wychowawca), Sabinka Kowalczyk, Marysia Puszkowna, Maria Piotrowicz, (pielęgniarka), Wołosańska, (nauczycielka), dr Piotrowicz, Grzywacz (nauczycielka), Tarnowska, Cylwich, Blanka Cylwich, Jerzy Grzywacz, Halina Juchnowicz, Urszula Lutostańska, Alicja Tomaszewska, Janina Juchnowicz, Dzikka Wołosańska, Marysia Szajdówna, Eugeniusz Szajda, Tadeusz Szmidt, Nowik, Cezary Juchnowicz. Pozostałe osoby niezidentyfikowane.

Dociera do nas wiadomość, że powstaje Wojsko Polskie czyli Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Jedno z rodzeństwa musi iść na wojnę. Pojechał Polu. Siostra pod koniec września 1943 roku wysłała nas do Tomska do Domu Dziecka. Mieścił się on przy ul. Róży Luksemburg. Brat Tyło wrócił do Kołpaczewa do siostry. Domem tym kierowała Anna Iwanowna Kościuk, a zastępcą była jej siostra Klaudia Iwanowna, obie bardzo surowe ale sprawiedliwe. Było w nim

sporo dzieci o podobnych do naszych losach, niektóre zupełnie osierocone, inne na pół, inne jeszcze oddane zostały przez rodziców do tego przytułku by jakoś przeżyć, bo w miejscu osiedlenia często groziła im śmierć z głodu i wyczerpania. Nasz budynek był trzykrotnie oblany benzyną i podpalony i tyleż razy uratowany przez p. Chlebika, który był naszym stróżem. W Domu Dziecka uczyliśmy się po rosyjsku i po polsku. Głód był okropny. Śniadanie – 10 dkg chleba i

Wychowankowie i opiekunowie Domu Dziecka w Afipskiej (1945). Krysia Biessiekierska, Lusja Żurawska, Dwidka Wołosiańska, Irena Wołosiańska, Maria Kowalczyk (wychowawca), Blanka Cylwich, Maria Szajdówna, Lusja Kurkówna, Jurek Żurawski, Jaddwiga Grzywacz (nauczycielka), Wołosiańska (nauczycielka), Anna Iwanowna (dyrektorka), Smolińska (wychowawca), Elżbieta Szajdowa (zaopatrzeniowiec), Irena Kubiśiak, Gienio Szajda, Tadzju Szmidt, Dziunia Szajdówna, Jurek Szmidt. Pozostałe osoby nierozpoznane.

Pracować też musieliśmy. Kto umiał robić na drutach – robił szaliki, rękawiczki, skarpetki i nauszники dla żołnierzy na front. Pozostali dostawali po dużym worku runa owczego i musieli skubać osobno wełnę, osobno odchody, tego drugiego było dużo więcej. Jak wyglądały nasze ręce można sobie wyobrazić, ponieważ nie było mydła! Myśliśmy je piaskiem zmieszany z wodą. Kiedyś poprosiłam koleżankę Julkę Zanutolną by nauczyła mnie robić na drutach. Szybko opanowałam tę czynność. Zgłosiłam się więc do naszej wychowawczynie Zosi Grygalis by dała mi także możliwość robienia szalików. Byłam zadowolona z tej pracy.

I jeszcze na moment pozostanę w kręgu spraw związanych z pobytem w tym domu dla dzieci zesłańców. Życie w nim regulował określony regulamin, wyznaczający pory dnia na naukę, jedzenie w stołówce, czas wolny i zajęcia

porządkowe. Personel administracyjny i wychowawczy był mieszany z przewagą rosyjskiego. Wśród dzieci zrównanych w nieszczęściu syberyjskim zesłaniem panowała atmosfera przyjaźni, przepojona, rzec dzisiaj można, jakimś dziecięcym a jakże humanistycznym pojmowaniem wspólnego losu, poddanego niezawinionym okolicznościom. Bez wątpienia trudno oprzeć się wrażeniu, że to dzięki tej placówce opiekuńczo-wychowawczej w Tomsku część dzieci przetrwała zesłanie i powróciła do kraju.

Nie mogę też nie wspomnieć tutaj o tym jak bardzo nasi wychowawcy troszczyli się o to byśmy byli zdrowi i pogodni. Rozmawialiśmy w nim po polsku, chociaż mieliśmy też lekcje z języka rosyjskiego, uczyliśmy się też historii Polski, modlić się nie wolno było natomiast święta Bożego Narodzenia i Wielkanocne, obchodzone były bardzo skromnie. Nie doznaliśmy też ponizania z tego powodu, że byliśmy Polakami, dziećmi zesłańców. Ze szczególnym wzruszeniem wspominam dzisiaj po latach naszego lekarza dr Piotrowicza człowieka, o którym wspomnienia nawet dzisiaj przynoszą ulgę w nostalgii umacniania

Dom Dziecka w Afipskiej (1945). Osoby rozpoznane: Janina Lutostańska (wychowawca), Anna Iwanowna (dyrektorka) oraz Dziunia Szajdówna, Stasia Szobczak, Maria Szajdówna, Lusja Kurkówna, Teresa Kubisiak, Adela (?), Stasiu Kowalczuk, Urszula Lutostańska.

W 1944 rok wiosną wyjeżdżamy na Kaukaz do miejscowości Afipskaja koło Krasnodaru. Tam w klimacie o wiele cieplejszym wkrótce po przyjeździe pojawiły się owoce na drzewach, ale jeszcze zielone – głodne dzieciaki zrywały i jadły. Było bardzo dużo zgonów, skręt kiszek. Nawet nasz cudowny dr Piotrowicz nie mógł nikogo uratować. Dyrektorką była Rosjanka Anna Iwanowna,

bardzo dobry człowiek. Nasze opiekunki, przeważnie Polki, były wspaniałe! Siostra Wenia nadal chorowała, a dr Piotrowicz umieścił ją w sanatorium w Krasnodarze. Od mamy nie mieliśmy żadnych wiadomości. Brata korespondencja wojenna się urwała. Jedyne kontakty były z Aurą i Tylem.

1946 rok. Wracamy w marcu do kraju. Pierwszy polski przystanek to Przemyśl. Przynależałam sobie, że nigdy nie opuszczę Polski. Raz przysięgę złamałam. W 1980 roku 20 sierpnia pojechaliśmy z mężem do Budapesztu, a w Polsce rozpoczęły się strajki – dla mnie to był horror. Wszystko szczęśliwie się skończyło i wróciliśmy do kraju. Po tej dygresji powracam do głównego wątku tego powrotu z zesłania. Z Przemyśla pojechaliśmy do Opoła, z Opoła na odwzawianie do Gostynina. Przez całe pięć lat na Syberii i Kaukazie, meszki, komary, karaluchy, pluskwy, wszy, to byli nasi najwierniejsi przyjaciele, nie opuszczali nas ani na chwilę! Dobijały nas czyraki, skrofuły i inne choroby – przetrwaliśmy wszystko! Z Gostynina przewieźli nas do Sikorowa k. Inowrocławia. Do Mątew chodziliśmy do szkoły. Pierwsza Komunia była przygotowa-

Dom Dziecka w Afipskiej (1945). Osoby rozpoznane: Stasiu Kowalczyk, Irena Markiewicz, Adela (?), Krysia Tarnowska, Irina Iwanowna (córka dyrektorki), Maria Piotrowicz (pielęgniarka), Anna Iwanowna (dyrektorka), Klara Kubisiak, dr Piotrowicz, Maria Kowalczyk (wychowawca), Alicja Tomaszewska, Sabinka Kowalczyk, Halina Juchnowicz, Jerzy Smoliński.

Nasz tato znalazł się po nieudanych poszukiwaniach w końcu bardzo schorowany. Osiadł w 1945 roku w Jędrzychowicach (d. Kurniki). Przez radio dowiedział się o powrocie polskich dzieci z Syberii i usłyszał nasze nazwiska. Przyjechał po

nas, nie wierzył, że przeżyjemy! Zabrakło Pola, który zginął 2 marca 1945 roku w walkach o Wał Pomorski – leży na cmentarzu wojskowym w Wałczu. Wenia wróciła ostatnim transportem, dzięki p. Niekludowej, która nie chciała zostawić nawet na wpółżywe dziecko! Po dwóch tygodniach w szpitalu w Przemyślu siostra zmarła mając 17 lat. Tato umarł 18 lipca 1957 roku. Mama wróciła dopiero w 1953 roku., zmarła 20 marca 1964 roku. Tyło zmarł 8 maja 2006 roku.

\*

Gdy w „Zesłańcu” nr 27/2006 przeczytałam artykuł W. Haniewiczza, pt. *Polski Dom Dziecka w Tomsku*, ożyły w mej pamięci tułacze wspomnienia z dzieciństwa. Przez pewien czas przebywałam właśnie w tym ośrodku wychowawczo-opiekuńczym, a to co powyżej napisałam nie jest pełną rekonstrukcją moich losów. To przeważnie urwane ich fragmenty, które ocalały w mej pamięci. Nie mają one nic z ambicji piękności, ot są zapisem tego co zachowało się w zwietrzałej już pamięci dawnej małej dziewczynki, dzisiaj mieszkającej w Poznaniu i należącej do Związku Sybiraków. Wspomniany artykuł w „Zesłańcu” był bezpośrednim powodem tego osobistego wyznania dotyczącego zesłańczych przeżyć sprzed lat wielu. Może zamieszczone w nim zdjęcia dopełnią tego obrazu i zachęcą tych którzy się na nich rozpoznają do podobnego opisu swoich dziecinnych losów.

\*

W dniach 11-13 czerwca 2007 roku odbyła się we Wrocławiu VI Międzynarodowa konferencja pod nazwą „Polacy w nauce i kulturze Tomska oraz Zachodniej Syberii” zorganizowana przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego. Wśród jej uczestników była także Pani Irena Przywecka, która przyjechała z Poznania do Wrocławia by spotkać się z W. Haniewiczem, autorem artykułu na łamach „Zesłańca” opisującego Dom Dziecka w Tomsku gdzie w okresie wojny przybywały polskie dzieci, a wśród nich Pani Irena z rodzeństwem. Oboje byli bardzo wzruszeni tym spotkaniem, podczas którego wygrzebano z pamięci wiele nowych faktów. Można bez przesady powiedzieć, że w ten sposób dopisana została dalsza historia tej placówki. Fakty poznane z autopsji wyzwołyły pomysł by na budynku w którym mieścił się Dom Dziecka umieścić pamiątkową tablicę. Wiemy, że na uroczystość tę zaplanowaną na rok 2008 wybiera się parę osób, których zesłańczy los rzucił w czasie drugiej wojny światowej na Syberię i mieszkali w tej placówce opiekuńczo wychowawczej w Tomsku. Redakcja „Zesłańca” będzie promować ten wyjazd i ufundowanie wspomnianej tablicy, podobnie jak przed laty przyczyniła się do wzniesienia w Tomsku obelisku poświęconego „Pamięci Polaków, ofiar stalinowskich represji na Ziemi Tomskiej w latach 1930-1956”. (red.)



---

## KRONIKA

W 22 numerze „Zesłańca (2005) opublikowaliśmy listy Barbary Zięby, świeckiej misjonarki z Puław pracującej od siedmiu już lat, początkowo w Irkucku, teraz natomiast podejmującej także misjonarski trud na Kameczatce, we Władywostoku, Nachodce i Chabarowsku. Jej dzieło misyjne wspomagające Kościół katolicki w tej części Rosji przybiera różne formy, co widać wyraźnie z listów pisanych do „Przyjaciół Kościoła na Syberii przy Parafii pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej w Puławach.” Z każdym rokiem przebywania na Syberii dzieło twórcze tej dzielnej Kobiety ogromnieje w miarę doświadczeń i zmagania się z losem we wszystkich jego odmianach, społecznych, egzystencjalnych czy nawet politycznych.

Sądzymy więc, że podobnie jak poprzednio, także i teraz kolejne listy z Syberii zainteresują naszych Czytelników. Informacje zawarte w tej korespondencji to bogata faktografia duszpasterska i humanitarna, zanurzona w tamtej czasoprzestrzeni, tworzona w skromności, rzecz można jakoby cicha modlitwa ludzkiego serca idąca ku tym, którzy takiej pomocy potrzebują. Trudno jest kwalifikować tę wieloraką działalność naszej misjonarki z Puław, można natomiast stwierdzić, że dzieło przez Nią tworzone potężnieje z rokiem każdym. Wspomagajmy więc je modlitwą oraz finansowym darem serca. Czytający te listy niech poczują się ich adresatami oraz wspomagają Kościół na Syberii i solidaryzują się z pracującymi tam duszpasterzami oraz dzielną Panią Barbarą. Redakcja „Zesłańca” oraz jego Czytelnicy rozmawiają w ten sposób z nimi. Podajemy nr konta, na które można przekazywać finansowe wsparcie na rzecz misyjnej działalności na Syberii: **Parafia Rzymsko-Katolicka p.w. M. B. Różańcowej, 24-100 Puławy, ul. Wojska Polskiego 5 D1. Konto: PEKAO S.A. I Oddz. w Puławach nr 60 1240 2412 1111 0000 3628 3048 „Syberia”.**

*Redakcja „Zesłańca”.*

\*

### • LISTY Z SYBERII

Irkuck, 2 lutego 2006 r.

Drodzy Moi!

W tej chwili w Irkucku jest 41 stopni mrozu i to jest ostateczna przyczyna, by nareszcie wziąć się za napisanie tego listu. W końcu taka okazja trafia się nie często. W ostatnich tygodniach docierają do mnie wieści o tym, jak to cała Polska ekscytuje się mrozami w okolicach – 20 C. No cóż, nie chcąc pozostać obojętną na Wasze ciężkie przeżycia, nie potrafię jednak przejmować się tym



tak bardzo, jak byłoby to możliwe dziesięć lat temu. W okolicach 20-30 stopni mrozu, to my tu mamy całą zimę i nikomu nie przychodzi do głowy, by się nad tym zbytnio rozwodzić, ale już dzisiejsza czterdziestka, to jest jednak wydarzenie! W ostatnich latach zimy były bardzo łagodne, więc ludzie odwykli nieco od prawdziwie syberyjskich mrozów. Przy takiej temperaturze, jak dzisiaj, dzieci oczywiście nie chodzą do szkoły, dorośli mają nieco więcej kłopotów z dotarciem do pracy, a ja się cieszę, że oto właśnie osiągam kolejny rekord życiowy! Ciekawe, czy dociągnę kiedyś do pięćdziesiątki? Może trzeba będzie w tym celu wybrać się zimą do Jakucji – oni mają to murowane przez kilka miesięcy. No a dziś cieszę się, że wszystkie ważne sprawy w mieście załatwiłam przedwczoraj i dziś wystawię nos z mieszkania dopiero w drodze na wieczorną Mszę i spotkania w parafii. Teraz trzeba trochę przeczekać (jest okazja napisać ten list), a do wieczora na pewno się ociepli.

Kupiłam sobie bilet do Chabarowska na 2 marca i myślami jestem już przy swojej dalekowschodniej podróży. Prawie dwa miesiące spędzę we Władywostoku, Nachodce i Chabarowsku. Do Irkucka wrócę 30 kwietnia, a zaraz potem skończy mi się wiza i trzeba będzie lecieć do Polski. Ten rok zapowiada się na bardzo wędrowny, co niezmiernie mnie cieszy, bo właśnie po to przyjechałam na Syberię. Będzie okazja poznać nieco tamtejsze parafie i tamtejszą rzeczywistość. Choć to wszystko Rosja, więc podobieństw z Irkuckiem wiele, ale to tysiące kilometrów stąd, a więc jednak inny świat, inne narodowości, inne problemy i zdecydowanie silniejsze wpływy Japonii, Korei i Chin.

Oczywiście nie jadę tam w celach krajoznawczych, więc te atrakcje zaistnieją dla mnie tylko na marginesie. Mój główny cel, to nawiązać kontakty z tamtejszymi psychologami, psychiatrami, lekarzami i tymi wszystkimi, którzy mogą zajmować się terapią narkomanów i alkoholików. Również z tymi wszystkimi, którzy związani są jakoś z tematem, a więc – z odpowiednimi organizacjami społecznymi, z dziennikarzami, prawnikami, pracownikami oświaty oraz przedstawicielami struktur państwowych i miejskich, odpowiedzialnych za ten problem. Trzeba będzie zatem pracować intensywnie, by zaraz po Wielkanocy wypełniły się sale na seminariach w tych miastach. Zajęcia będą prowadzić specjaliści z Polski i Angarska, a oprócz szkolenia fachowców, celem ich przyjazdu jest również wzmocnienie tutejszych - bardzo jeszcze słabych – grup samopomocowych: Anonimowych Alkoholików, Anonimowych Narkomanów, grup osób współzależnych itd.

Odświeżyłam już nieco telefonicznie stare znajomości z poprzedniego pobytu w listopadzie 2004, umówiłam się z tamtejszymi parafiami na temat noclegu i ufam, że z Bożą pomocą wszystko uda się dobrze zrealizować. Zadanie jest trudne, więc tym bardziej proszę Was o modlitwę, aby Pan otworzył mi wszystkie drogi i pozwolił znaleźć życzliwych i zainteresowanych sprawą ludzi.

A teraz przede mną jeszcze miesiąc w Irkucku. Codzienne parafialne spotkania idą swoim rytmem, grupy pracują i się rozrastają, pojawiają się nowi dyżurni na Telefonie Zaufania. Właśnie dla tych, którzy włączyli się niedawno, przeznaczony będzie intensywny kurs uzupełniający w lutym (cztery spotkania). Poza tym spotykamy się jak zawsze raz w miesiącu, a 19 lutego pojedziemy na coroczne całodzienne szkolenie „w przyrodę”. Tym razem będzie to *turbaza „Angarskie Górkę”*, podobno w pięknej okolicy. Zobaczymy. Ja tam

jeszcze nie byłam. W każdym razie najbliższy miesiąc zapowiada się bardzo obficie, zwłaszcza że - oprócz spraw bieżących - staram się możliwie aktywnie przygotowywać już do dalekowschodnich podróży: nie tylko do tej wiosennej, ale także do jesiennej - w jeszcze dalsze okolice.

Kończę swój krótki meldunek z zimowego frontu. Za oknem wciąż czterdziestka i nie ma słońca, o dziwo! Jest za to coś w rodzaju zamrożonej lodowatej mgły, a po ulicy biega stado psów. Nie wygląda to wszystko zachęcająco. Dziś od rana nawet nie przewietrzyłam mieszkania. Na całe szczęście jest gorąca woda i w lodówce też co nieco się znajdzie. W moim pokoju ciepło (21 stopni, plus!, chociaż zazwyczaj bywa 23). Warto było okleić okno polskimi uszczelkami.

Pozdrawiam Was bardzo serdecznie i liczę na Waszą pomoc.

Życzę Wam szybkich powiewów wiosny i Bożej pomocy we wszystkich dobrych sprawach.

Barbara

\*

Pietropawłowsk Kamczacki, 1 października 2006 r.

Drodzy Moi!

Jakie to wszystko niesamowite: po czternastu latach jestem znowu na Kamczatce! Pamiętam, jak wówczas - w lipcu 1992 roku, podróżując tu w czasach studenckich z grupką znajomych, szukaliśmy uparcie jakiegokolwiek chrześcijańskiej świątyni, by móc uczestniczyć w niedzielnej Eucharystii. A Kamczatka - ziemia większa od całej naszej Polski, już w latach trzydziestych została ogłoszona pierwszym ateistycznym obszarem świata i zniszczono na niej wszystko, co poprzednie pokolenia wzniosły na chwałę Bożą. A jednak nad brzegami Zatoki Awaczyńskiej zaczynały wtedy wyrastać mury pierwszej po wielu latach cerkwi prawosławnej. W sąsiednim domu, napełnionym ikonami i świecami, jakby w atmosferze lekko zakonspirowanej, była sprawowana liturgia. Pamiętam, jak napełniło mnie to wtedy wielką radością, nadzieją i wdzięcznością za odradzenie się wiary nawet w najdalszych zakątkach Rosji, nawet na takim końcu świata, jak Kamczatka! To było niesamowite. Oczywiście marzeniem z kategorii zupełnie abstrakcyjnych, była wówczas myśl o kościele katolickim wśród tutejszych wulkanów. No nie, to było zupełnie niemożliwe... A jednak - nigdy nie obawiałam się swoich marzeń, nawet tych najbardziej sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem, bo wierzyłam, że TAKIE marzenia może budzić we mnie tylko Wszechmogący.

A dziś... Siedzę właśnie w katolickiej kaplicy pod wezwaniem św. Teresy z Lisieux, w dniu jej święta, w Pietropawłowsku Kamczackim, na ulicy Gagari-na 25, na wzgórzu nieopodal pomnika Lenina, z widokiem na Zatokę Awaczyńską oraz przepiękne góry i wulkany na jej drugim brzegu. Z bocznej ściany spogląda z ośmiu fotografii sama święta Terenia, Doktor Kościoła, zawsze wierząca w rzeczy niemożliwe i swoim świętym - lekko szelmowskim uśmiechem zdaje się mówić: *jeszcze nie takie cuda tu się wydarzą!*

No właśnie - jest już pozwolenie i zgoda na budowę prawdziwego kościoła. Zacznie się ona prawdopodobnie wiosną przyszłego roku. I jeśli chcecie uczestniczyć w tym cudzie, to pamiętajcie o Kamczatce w swojej codziennej modlitwie. A malutka kaplica, w której teraz mogę oddać się tym wspomnieniom,

marzeniom i refleksjom, napełniła się dziś przed południem kwiatami przyniesionymi przez parafian z okazji święta Patronki i – co najważniejsze – napełniła się samymi parafianami, których tak tu jeszcze niewielu, że kilkanaście osób obecnych na niedzielnej Eucharystii robi wrażenie.

A ja, tak zupełnie zwyczajnie, jestem sobie tutaj jakby nigdy nic, przyklejam tapety, maluję ściany, sprzątam, zmieniam wodę w kwiatkach, myję okna, wmurowuję cegły w budujący się piec, otwieram i zamykam kaplicę, i robię takie różne zwyczajne rzeczy, myśl o których czternaście lat temu przejęłaby mnie metafizycznym dreszczem. A dziś istnienie tego miejsca jest taką codziennością jak wschody i zachody słońca, jak dymiące wulkany i gotujące się gejzery, i siłą rzeczy prowadzi to ponownie do refleksji o nieustannie dokonujących się cudach, przybierających oblicze zwyczajności.

Dodam jeszcze, że prawosławna świątynia, wspomniana na początku tego listu, stoi już dawno w pełnej krasie i kilka dni temu odwiedziłam ją, odświeżając w ten sposób wspomnienia sprzed czternastu lat. Jest malutka, ale prawdziwie napełniona Duchem, otoczona piękną przyrodą i świadcząca o istnieniu Niezniszczalnego.

To dla mnie wielka radość i święto, że mogę być na Kamczatce i że jestem tu właśnie dziś – w dzień św. Teresy od Dzieciątka Jezus, karmelitanki bosej. Myśl o tej parafii towarzyszyła mi od samego początku misyjnego pobytu na Syberii (co pamiętacie być może z moich pierwszych listów), a właściwie – towarzyszyła mi od pierwszego pobytu na Kamczatce, która w jakiś niezwykle sposób umiejscowiła się w mojej świadomości i pamięci. Jestem wdzięczna tu-tejszemu proboszczowi, że pomimo braku warunków mieszkaniowych dał mi możliwość pobytu tu w tym roku i zakosztować codzienności spełniających się cudów. Ks. Krzysztof jest Wam znany z poprzednich listów, jako proboszcz parafii katedralnej w Irkucku, a już prawie od trzech lat pełni tę funkcję w Pietropawłowsku. Rozbudowuje tu i remontuje kaplicę, z niezwykle starannością prowadzi osobiście wszystkie prace, całe serce wkłada w swą nową codzienność i wytrwale odkrywa w niej Bożą Obecność. Przyjął mnie gościnnie i serdecznie, pomógł w realizacji zadań, dla których tu przyjechałam i umożliwił nawet zakosztowanie nieco piękności tutejszej przyrody. Jest ona bardzo surowa i niedostępna, nie ma publicznego transportu, nie ma dróg, wszędzie jest daleko i bez jego pomocy pewnie bym nosa za miasto nie była w stanie wystawić.

No ale właśnie – dlaczego ja się tu w ogóle znalazłam? Jak wiecie, ten rok zapowiadał się bardzo wędrowny i dopiero teraz, pomalutku, kończy się moje podróżowanie i niedługo wrócę do Irkucka. 2 marca wyleciałam do Chabarowska i od tamtej pory objechałam kawał Dalekiego Wschodu, zahaczając w tym czasie również o Litwę i Polskę. To był wir wszelakich zajęć organizacyjnych, setki nowych osób, dziesiątki nowych instytucji, na każdym kroku problemy do rozwiązania, decyzje do podejmowania, sprawy do załatwiania, tobołki do dźwigania, zmiany klimatyczne, setki rozmów, tysiące przelecanych i przejechanych kilometrów, godziny oczekiwania na opóźnione pociągi i samoloty, stresy przeróżne, zadziwienia wielkie nad Bożym działaniem i Bożą opieką, i – krótko mówiąc – misyjny szal twórczy. A dziś – pierwszy oddech po tych wielu miesiącach... Po prostu Kamczatka, kaplica św. Tereni, cisza, spokój, zachód słońca nad wulkanami... O tak! To był niezwykle rok, niezwykle miesiące, na-

wał doświadczeń, ogrom radości i trudów, nowej wiedzy i nowych umiejętności, umacniania wiary i pewności, że to sam Bóg posłał mnie na to wędrowanie i bezustannie mi w nim towarzyszy.

Organizowałam w tym czasie seminaria i mniejsze spotkania polskich specjalistów z miejscowymi lekarzami, psychologami, pedagogami, społecznikami, dziennikarzami, służbami mundurowymi, studentami, grupami anonimowych alkoholików, narkomanów, współuzależnionych. Objechałam Chabarowsk, Władywostok, Nachodkę, Buriację i Kamczatkę, wracając po kilka razy do tych miejsc. Nie zabrakło też imprez w samym Irkucku. Wszystko to związane było oczywiście z głównym tematem mojej działalności, czyli sprawami uzależnieniowymi.

W każdym z tych miejsc korzystałam z noclegu w parafii, doświadczając niezwyklej gościnności ze strony księży i sióstr, a także pomocy miejscowych katolików, dzięki którym mogłam szybko poczuć się swojsko w nowych dla mnie miastach i stawały się one przez to mniej obce. Wspierano mnie także w gromadzeniu informacji, docieraniu do odpowiednich osób i instytucji, i w różnych innych drobnych sprawach, mających jednak ogromne znaczenie. Był to czas niezwykle intensywnego poznawania Rosji i tajemnic jej duszy (niestety, nie sposób teraz zgromadzić i wyrazić tych wszystkich obserwacji i refleksji), a także bardzo radosny dla mnie czas poznawania Kościoła syberyjskiego i dalekowschodniego. Mam nadzieję, że chociaż troszkę wieści z tych odległych parafii uda mi się przekazać w kolejnych listach.

A dziś – po prostu refleksja spod kamczackich wulkanów, z kaplicy św. Teresy z Lisieux, z nadzieją, że wkrótce stanie tu prawdziwy kościół, że będę mogła jakoś przyczynić się do jego budowy i uczestniczyć w innych dokonujących się cudach. Pozdrawiam Was serdecznie z okazji dzisiejszego święta.

Barbara

\*

Władywostok, 15 października 2006 r.

Droży Moi!

Nie tak łatwo wydostać się z Kamczatki. W październiku odwołano już ostatecznie wszystkie bezpośrednie loty do Irkucka i tym sposobem – w drodze powrotnej – z konieczności trafiłam na kilka dni do Władywostoku. A oto dziś znowu uroczystość – nie tylko niedziela, ale jeszcze dzień św. Teresy z Avili. Tak się składa, że ostatnio piszę do Was w karmelitańskie dni. Zamyśliłam się nad tym wszystkim, bo właśnie 15 października mija równo pięć lat od mojego wyjazdu na stałe na misje do Irkucka (nie liczę wcześniejszego pobytu „na zwiady”). Specjalnie wybrałam wówczas ten dzień, by ruszyć w kolejową podróż na Sybir, bo św. Teresa Wielka była i jest dla mnie postacią osobiście ważną. Co prawda swoje karmelitaństwo – misyjne powołanie realizowała tylko na małym obszarze malutkiej Hiszpanii, a ja w dodatku wybierałam się w kierunku dokładnie przeciwnym, ale jednak jej wielkość ducha, odwaga, zdecydowanie, radykalizm i konsekwencja, a nade wszystko – świętość i doświadczanie bliskości Boga, pozostają wzorcem na każde czasy i na wszystkie miejsca. To niezwykle, że tę rocznicę świętuję sobie na samym końcu (lub początku) Rosji,

nad Oceanem Spokojnym, tak daleko od punktu wyjścia mojej podróży sprzed pięciu lat, że dalej to już chyba nie można...

Wyruszałam wtedy w nieznaną, nie bojąc się jednak ani przyszłości, ani przestrzeni i ufając w sensowność tego, co robię, a także mając pewność Bożej opieki na każdy mój krok po syberyjskiej ziemi. Nie zawiodłam się oczywiście i dzisiejszy dzień, i wydarzenia całego mijającego roku, są tego namacalnym dowodem. Wszystko w życiu zawsze jest tak, jak Pan Jezus powiedział i obiecał. Jakże nie wspomnieć dziś Jego słów: „Nikt nie opuszcza domu, braci, sióstr, matki, ojca, dzieci lub pól z powodu Mnie i z powodu Ewangelii, żeby nie otrzymał stokroć więcej teraz, w tym czasie, domów, braci, sióstr, matek, dzieci i pól, wśród prześladowań, a życia wiecznego w czasie przyszedłym” (Mk 10, 29-30).

Podczas moich tegorocznych wędrówek po Syberii bywały takie momenty, że miałam w kieszeni klucze od czterech mieszkań w różnych miastach Rosji oddalonych od siebie o tysiące kilometrów. Gdyby wówczas ktoś powiedział mi, że nie jest pewien, czy Bóg istnieje i czy Biblia przekazuje Jego Słowo, nie przekonywałabym go wcale. Wyjęłabym tylko ten stos kluczy i zacytowała powyższe słowa Jezusa. Może powiecie, że do „stokroć”, to jeszcze daleko, nawet jeśli zliczyć wszystkie parafie udzielające mi gościny. Owszem, ale może to tylko kwestia czasu. A poza tym – już nie dziesiątkami, ale setkami muszę liczyć nowopoznane życzliwe osoby, przeróżnych narodowości, udzielające mi wsparcia w Rosji i w Polsce lub oczekujące pomocy i współpracy z mojej strony. To wszystko dar, choć trudny i udzielany „wśród prześladowań”, choć niosący zobowiązania i wyzwania, ale też przynoszący ocean spokoju i pewności, że to wszystko prawda i że także końcowa część tej obietnicy mnie dotyczy. A „prześladowań” też nie brak, bo to i zwykłe zmęczenie, i użeranie się z urzędnikami, i milicyjny nakaz opuszczenia Kamczatki tydzień wcześniej niż planowałam (podczas lipcowego pobytu), i wszelakie trudności wewnętrzkościelne.

Dziesięć lat temu, w 1996 roku, podróżowałam po Ameryce Południowej, chcąc na wszelki wypadek sprawdzić, czy przypadkiem nie tam jest miejsce mojej przyszłej działalności misyjnej. Od kilku lat myślałam już wtedy o Syberii i pewnie chciałam się od niej wykręcić... Pamiętam dokładnie jak pewnego marca tego dnia, siedząc na plaży w jednym z miast chilijskich i mając przed sobą bezmiar Oceanu Spokojnego, bardzo wyraźnie pomyślałam jedno: po drugiej stronie jest Kamczatka i Syberia (nie wiedziałam jeszcze, że Daleki Wschód to nie Syberia) i to tam jest moje miejsce! Spojrzenie na ten drugi brzeg powracało i w Peru, i w Ekwadorze... W Ameryce utwierdziłam się w przekonaniu, że mam jechać na Sybir. Co też pięć lat później wykonałam, a dziesięć lat później powróciłam nawet na Kamczatkę. Teraz to wszystko moje dziedzictwo; pomnożone stokroć w stosunku do tego, co poza mną. A przede mną? Zobaczymy, co jeszcze dostanę, zanim dotrę do „życia wiecznego w czasie przyszedłym”.

Do takich to refleksji prowadzi mnie dzisiejsza patronka – św. Teresa Wielka, a przecież chciałabym przekazać choć trochę wiadomości z życia tutejszego Kościoła. We Władywostku, już po raz trzeci w tym roku, goszczą mnie siostry z hiszpańskiego Zgromadzenia św. Anny: dwie Hiszpanki – Alicja i Eugenia oraz trzy Rosjanki – Ola, Marina i Oksana. Te dwie ostatnie już za trzy tygodnie, 5 listopada, będą składały swoje pierwsze śluby. Siostry pracują bardzo intensywnie: uczą na uniwersytecie, studiują, opiekują się mieszkańcami domu starców, inwalidami, katechizują w parafii, z podobną pomocą jeżdżą też do wioski Romanowka, gdzie ich głównym problemem jest pomoc dzieciom z

rodzin alkoholowych. Ostatnio zatrudniły też u siebie panią psycholog z AA, która prowadzi konsultacje dla parafian związane z uzależnieniami i współuzależnieniem. To jeden z owoców kwietniowego seminarium.

Wzięło w nim udział ponad sto osób z wielu instytucji, a w czasie przygotowań miałam okazję poznać wiele nowych środowisk, bywać na tutejszych uczelniach i w wielu instytucjach, odświeżyć znajomości z grupami samopomocowymi itd. Obiecałam Wam jednak kiedyś, że nie będę już pisać za wiele o tych sprawach, bo było ich już chyba nadmiar w moich listach. Powiem tylko jako ciekawostkę, że wiosną we Władywostoku powstała pierwsza na Dalekim Wschodzie grupa DDA (Dorośle Dzieci Alkoholików). Na Syberii zresztą też takiej nie ma.

A samo miasto przedstawia się nawet interesująco. Czuć w nim otwarcie na ocean, na Azję, Japonię, Chiny. Remontują się stare domy, wymieniają trotuary, życie tętni we wszelkich sferach. Również kościelnych. Prawie zakończono budowę domu parafialnego i przenieśli się tam księża (dwaj Amerykanie i Hindus) oraz wszelkie grupy. Natomiast stuletnia świątynia poszła pod młot, czyli zaczęto wyburzanie pozostałych jeszcze po czasach sowieckich stropów i wewnętrznych ścian. Wkrótce wszystko ma zostać doprowadzone do stanu pierwotnego. A w związku z tym liturgia jest chwilowo sprawowana w tymczasowej kaplicy, bardzo przytulnej zresztą, urządzonej chwilowo w przyszłym garażu plebani. Może podczas mojego następnego pobytu wszystko będzie już zakończone, ale na razie z radością powrócę do Irkucka.

I mam nadzieję, że stamtąd napiszę kolejny list. A dziś pozdrawiam Was razem ze świętą Teresą Wielką.

Barbara

\*

Irkuck, 22 października 2006 r.

Drodzy Moi!

A zatem znowu Irkuck! Powitał mnie lekko mroźną, ale słoneczną pogodą. Nie ma już liści, już i jeszcze nie ma śniegu (był podczas mojej nieobecności) i warunki sprzyjają temu, by od czasu do czasu pobiegać nad Angarą, zanim zrobi się prawdziwa zima. Szybko wracam do spraw pozostawianych z powodu kolejnych wyjazdów i odkrywam różne nowości. Z radością spotykam nowe osoby na „moich” grupach i nowe osoby w parafii, a także nowe chodniki w centrum miasta. Może kiedyś te ulepszenia dotrą i na drugą stronę rzeki, po której znajduje się katedra.

Obok Kaplicy Pojednania i Pokoju przy naszej katedrze odkrywam głaz zainstalowany tu przez miejscowych Litwinów z napisem: „LIETUVOS TREMTINIŲ VARGAMS IR NETEKTIMS IRKUTSKO KRASTE ATMINTI (1946-1952). В ПАМЯТЬ О МАССОВОЙ ССЫЛКЕ ГРАЖДАН ЛИТВЫ В ИРКУТСКИЙ КРАЙ В 1946-1952 гг (было сослано 38.500, заключено в лагерь 5.900 человек)”. Podobno pamiątkową płytę poświęconą Polakom zainstalowano wiosną w Wierszynie, ale ponieważ nie byłam w tej uroczej wiosce już ponad rok, to nie mogę zaświadczyć osobiście.

Swój poprzedni irkucki list pisałam do Was na początku lutego, a niedługo potem, w połowie tego miesiąca, przeżywaliśmy smutne wydarzenie. Otóż,

wyjeżdżał z naszego miasta o. Ignacy i przeprowadzał się do Kaliningradu. Jego wyjazd, to doprawdy historyczne wydarzenie i jednocześnie – wstrząsające dla tutejszej wspólnoty katolickiej; zwłaszcza dla osób od lat związanych z pierwszą, historyczną parafią. Przyjechał on do Irkucka w 1991 roku i przez pewien czas był jedynym księdzem na wschód od Uralu, a potem jedynym księdzem na terenie naszej obecnej diecezji. Na szczęście z czasem pojawili się następni i przejmowali kolejne miasta wschodniej Syberii i Dalekiego Wschodu. Dla miejscowych władz i dla Cerkwi, o. Ignacy był uosobieniem Kościoła katolickiego. Cieszył się ogromnym szacunkiem i zaufaniem nie tylko administracji i Prawosławia, ale także dziennikarzy, świata kultury, nauki, środowisk medycznych, oświatowych i – krótko mówiąc – wszystkich. Umiał przebaczać i utrzymać dobre relacje z każdym środowiskiem i każdym człowiekiem, dając w ten sposób najbardziej wymowne świadectwo chrześcijańskiej miłości. A przede wszystkim – cecha chyba najważniejsza dla misjonarza na Syberii – naprawdę kochał Rosjan, do których przyjechał. Zapewne w podobny sposób służy teraz Bogu i ludziom w nowym miejscu, ale dla irkuckiego Kościoła jego wyjazd, to ogromna rana, gdyż wpisał się tu nie tylko w krajobraz katolicki, ale i ogólnomiejski. Przy okazji odżyło wiele wspomnień, w jaki sposób ludzie stawali się katolikami; jak tym, co na początku przyciągało ich do Boga i Kościoła, była życzliwość, akceptacja, mądrość o. Ignacego, a nawet znak pokoju przekazywany przez niego osobiście każdemu uczestnikowi liturgii.

Dla mnie też przez lata był symbolem misji na Syberii, gdyż to właśnie on w roku 1992 przyjmował mnie i grupkę znajomych w swoim irkuckim mieszkaniu i w irkuckiej parafii, gdy po raz pierwszy w życiu dotarłam nad Bajkał. On też pomógł nam wówczas kupić bilety na Kamczatkę (co było przedsięwzięciem karkołomnym), na wyjazd wspomniany przeze mnie w przedostatnim liście, a także przyczynił się znacząco do mojej przeprowadzki do Irkucka w 2000 roku. Przykro byłoby pisać o jego wyjeździe, gdyby nie fakt, że właśnie kilka dni temu przybyli do Irkucka dwaj inni salwatorianie, o. Tadeusz i o. Dariusz, by kontynuować pracę w parafii Wniebowzięcia NMP. Bardzo się z tego cieszymy i wśród ludzi odradza się nadzieja, że po kilku miesiącach pustki powróci i będzie się dalej rozwijać życie w starej parafii.

A za to w nowej, katedralnej, jedne rzeczy idą po staremu, a inne pojawiają się po raz pierwszy. Na przykład ponownie rozpoczął się kurs języka polskiego, tym razem aż trzy razy w tygodniu. Prowadzi go p. Natalia z Polski, która jednocześnie ma zajęcia również na terenie konsulatu. Dziś, na niedzielnej Eucharystii, odbył się chrzest małego Wiktora Ignacego, a drugie imię dziecka bez wątpienia nawiązuje do wcześniejszego wątku tego listu. Zresztą nie jest to pierwszy przypadek. Znam małego Ignatika z Majska, a pewnie jest ich i będzie jeszcze więcej. To chyba najwymowniej świadczy o znaczeniu o. Ignacego dla irkuckiego Kościoła. Niech Bóg pomnaża dobro, które tu zasiał i niech mu błogosławi w nowym miejscu.

Wam też niech błogosławi w każdym miejscu i dniu.

Barbara

\*

Irkuck, 24 października 2006 r.

Drodzy Moi!

Wczoraj cały dzień sypało, sypało, sypało... Na wiele godzin zamknięto lotnisko i samoloty lądowały w sąsiednich miastach – Bracku (600 km) i Ułan Ude (500 km). W samym Irkucku również paraliż na ulicach - drogowcy zapomnieli, że na Syberii zimą bywa śnieg... A dziś od rana znowu pełne słońce i piękny dzień ze świeżą białą pierzynką skrzącą się w jego promieniach. Rano – minus 15 stopni, ale po południu – mimo zimowej aury – jest jeszcze ciepło i korzystam z tych ostatnich chwil, by zatroszczyć się o swoje zdrowie i codziennie pobiegać nad Angarą.

Ale cóż znaczy taki śnieg! W tym miejscu powinienem znowu popisać o Kamczatce. Oczywiście w lipcu i we wrześniu było tam coś w rodzaju lata i jesieni, ale na zdjęciach w komputerze ks. Krzysztofa mogłam zobaczyć, co znaczy prawdziwy śnieg i wyobrazić to sobie w konkretnych miejscach, w których akurat byłam. To wszystko przypominało mi dawne opowieści z przedwojennych Puław, kiedy to zimą kopano tunele, aby można było przemieszczać się po mieście. Ale z tamtych czasów nie ma zdjęć i dopiero teraz mogłam nieco zasmakować tego klimatu.

Wyobraźcie sobie śnieg leżący do poziomu pierwszego piętra i otwieranie okna na parterze. Oczywiście musi się ono otwierać do wewnątrz. Albo próby wyjścia z domu, gdy po otwarciu drzwi mamy przed sobą białą ścianę i wychodzenie trzeba rozpoczynać od wykopania drogi. Albo lawiny schodzące z domów (tabliczki z ostrzeżeniem wiszą również latem). Albo samochody, których rano – po nocnych opadach – nie sposób odnaleźć pod blokiem. Albo konwój ciężarówek zasypanych na jedynej drodze przez półwysep, do których helikopterami i skuterami dowożono opał i żywność dla kierowców. Albo codzienne proboszczowskie zadanie – odkopywanie drogi i wejścia do kaplicy. Albo dmuchawę z silnikami odrzutowymi, oczyszczającą drogę przed startującym samolotem. Oczywiście trudno sobie to wszystko wyobrazić w polskich realiach, a nawet w irkuckich, bo tu opadów bywa bardzo mało, za to mrozu pod dostatkiem. Chciałabym pokazać Wam zdjęcia z tym kamczackim folklorem, a może nawet kiedyś doświadczyć go na własnej skórze.

Zresztą nie brak tu i innego folkloru. Na całym półwyspie, o wiele większym od Polski (472 tys. km<sup>2</sup>, długość 1700 km), mieszka zaledwie 330 tys. osób, a w samym Pietropawłowsku, założonym przez Beringa w 1740 r. – około 200 tys. A mimo to specjaliści doliczyli się tu 170 grup narodowych i etnicznych. Aż trudno uwierzyć! Najbardziej znane lokalne narodowości, to oczywiście Koriacy, Itelmeni, Eweni, Czuczczycy i Aleuci. Jednak nie tak łatwo zobaczyć ich i poznać nieco prawdziwego życia tych narodów. Ich codzienność toczy się w niedostępnych, północnych rejonach Kamczatki i wyznaczana jest rytmem hodowli reniferów, połowu ryb i produkcji kawioru oraz porami roku, z których dominującą jest oczywiście zima. I to bardzo śnieżna.

A mimo tego ta bezkresna biała kraina kipi żarem. To są i gorące źródła, i gejzery, i gotujące się błota i – przede wszystkim – wulkany. Znajduje się ich na półwyspie kilkaset, a z tego aż trzydzieści czynnych. Jest wśród nich Kluczewska Sopka (4850 m n.p.m), najwyższy czynny wulkan Eurazji, który wybuchł ostatnio w 2004 r. U jego stóp leży miejscowość Kluczi, a w niej – druga katolicka wspólnota Kamczatki. Do tych kilku wiernych parę razy w roku przyjeżdża z Pietropawłowska ks. Krzysztof, pokonując te 600 km w jedną stronę w



miarę możliwości pogodowych i technicznych. Niestety, nie miałam okazji odwiedzić tamtych stron, więc nie mogę napisać Wam nic więcej o realiach tej części parafii.

Wiem tyle, co ze zdjęć: śnieg, śnieg, śnieg... Mnóstwo śniegu: na górach, wulkanach, w dolinach i na drogach, na domach i na wszystkim.

Życząc i Wam pięknej zimy, pozdrawiam z Irkucka.

Barbara

\*

Piwowaricha – Irkuck, 5 listopada 2006 r.

Drodzy Moi!

I oto już listopad, który rozpoczęliśmy wspaniałą uroczystością Wszystkich Świętych. To bardzo wymowne móc obchodzić ją w sercu Syberii – ziemi męczenników i wyznawców, bo przecież ta ich wierność, to najpewniejsza droga do świętości. Listopad to także szczególny miesiąc modlitwy za zmarłych, a Syberia – szczególne miejsce dla takiej modlitwy, bo przecież miliony ludzi nie mają tu nawet swoich mogił. Rozpoczęliśmy tę modlitwę nieco wcześniej, bo już 1 listopada, ale może to i lepiej dla podkreślenia świętości ofiar Nieludzkiej Ziemi.

Przedstawiciele obu katolickich parafii i konsulatu polskiego udali się tego dnia do lasu w pobliżu podirkuckiej wioski Piwowaricha. W 1989 roku odkryto tam zbiorowe mogiły z tysiącami ofiar stalinizmu. W ścisłej tajemnicy, systematycznie i z zimnym okrucieństwem, rozstrzeliwano tam w latach 1937 - 1938 osoby przeróżnych narodowości i profesji. Obecnie oznakowane są cztery groby, a przy każdym z nich znajduje się krótka informacja: **rów nr 1** – głębokość 5 m, długość 33 m, szerokość 5,3 m, po napełnieniu – ciała zasypane 30-40 centymetrową warstwą ziemi; **rów nr 2** – głębokość 5 m, długość 8,7 m, szerokość 5,5 m, po napełnieniu – ciała zasypane 30-40 centymetrową warstwą ziemi; **rów nr 3** – głębokość 5 m, długość 14,7 m, szerokość 3,5 m, po napełnieniu – ciała zasypane 30 – 40 centymetrową warstwą ziemi; **rów nr 4** – głębokość 5 m, długość 15 m, szerokość 7 m, po napełnieniu – ciała zasypane 30-40 centymetrową warstwą ziemi. Pośród mogił stoi kamień, a na nim wyryto po rosyjsku poruszające słowa: „Wołamy do waszej pamięci, ludzie, i do waszych serc wołamy, nie dopuście, aby nasz los stał się i waszym losem” (*Взываем к памяти вашей, люди, и к вашим сердцам взываем – не допустите, чтобы наша судьба стала и вашей судьбою*).

Cały teren jest oczywiście bardzo zaniedbany, jak wszystkie rosyjskie cmentarze i z całą pewnością żadna władza nie stara się o to, by było to miejsce znane i odwiedzane. I tylko nowe tabliczki na pamiątkowym murze świadczą o pojawiających się od czasu do czasu gościach. A można na nich zobaczyć twarze ofiar, a także poznać ich nazwiska, narodowość, zawód, długość życia. Najwięcej jest oczywiście Rosjan, ale spotyka się też Buriatów, Ukraińców, Polaków, Żydów, Niemców, Chińczyków, Łotyszów, Greków, Białorusinów, Tatałów. A przecież to tylko niewielka część spośród tych, o których nic nie wiadomo. Napis na pomniku z głazów trafnie wyraża tragizm tego miejsca i całej sytuacji: „Pamiętaj, ojczyzno, nas wszystkich, którzy zginęliśmy niewinnie.

Будь miłosierna i powróć nas z niebytu” (*Помни родина, нас всех, кто погиб невинно. Будь милосердна и возврати нас из небытия*).

Przy tej okazji po raz kolejny uświadamiam sobie stopień ateizacji tutejszego społeczeństwa. Tak naprawdę ludzie nie wierzą w życie wieczne! Skoro współczesne pokolenie w takim miejscu umieszcza na kamieniu prośbę o przywrócenie z *niebytu*... Skoro błaganie o miłosierdzie skierowane jest nie do Boga, ale do ojczyzny... Jakże często to właśnie ona stawała się bożkiem dla ludzi czasów wojny i niekiedy jest nim aż do dziś. Mówienie o śmierci jest sprawą wstydliwą i krępującą, nie przywykło się stawać z tym tematem twarzą w twarz. Cmentarze są zarośnięte chwastami i od dnia pogrzebu bliskich osób właściwie nikt ich nie odwiedza. Niektórzy, powołując się na prawosławną tradycję, bywają na grobach w okresie wielkanocnym (*родительский день*), ale nie jest to wizyta wypełniona modlitwą, tylko przyniesienie pokarmu na grób i spożywanie tam alkoholu. Jakże bardzo brak wiary prowadzi do głęboko pogańskich postaw, zachowań, do zabobonnych reakcji i przesądów.

Ta myśl powraca także w odniesieniu do Piwowarichy. Zbiorowe mogiły, znalezione w podirkuckim lesie, znajdują się zaledwie kilkaset metrów od terenu lotniska. Wieść gminna głosi, że wszystkie pasy startowe zbudowane są właśnie na ludzkich kościach i to „wyjaśnia” tak częste w Irkucku katastrofy lotnicze.

Jednak, nie zniechęcając się pogaństwem, katolicy pamiętają w swej modlitwie o ofiarach Syberii, co urzeczywistnia się przede wszystkim w przykatedralnej Kaplicy Pojednania i Pokoju – symbolicznym cmentarzu, na którym znajdują się urny z ziemią z łagrów i miejsc zsyłki. A 7 listopada Kościół katolicki w Rosji obchodzi liturgiczne wspomnienie męczenników ziemi rosyjskiej.

Barbara

\*

Warszawa, 31 grudnia 2006 r.

Drodzy Moi,

Ostatnie dni roku szczególnie sprzyjają refleksyjnemu spojrzeniu na minione miesiące. Staram się ogarnąć ten niezwykły czas pełen przeróżnych doświadczeń i przeżyć. Tak wiele było w tym moim roku wędrowania po najdalszych zakątkach ziemi i tylko małą garść wspomnień przekazałam Wam w kilku poprzednich listach. A przecież nie pisałam jeszcze w ogóle o mojej wiosennej podróży na Daleki Wschód, który teraz – z polskiej perspektywy – wydaje się jeszcze dalszy. A mimo to zadomowił się w mojej pamięci i po obu tegorocznych wyprawach w tamte strony stał się już częścią mojej syberyjskiej rzeczywistości. Po prostu poszerzył mi się znacząco królewski pałac, w którym spędzam swoje doczesne życie. Przybyło w nim oceanów, mórz, wulkanów, wysp, gór, lasów, rzek, zieleni, śniegu i blasku słońca. A także chmur, nad którymi trzeba się przemieszczać w kolejne miejsca przyzamkowego ogrodu. W ten ostatni wieczór mijającego roku pragnę wspomnieć Wam choć parę słów o tamtej podróży z marca i kwietnia, o której jeszcze nic nie wiecie.

Wraz z początkiem Wielkiego Postu wyruszyłam na dwa miesiące do Chabarowska, Władywostoku i Nachodki. Częściowo nie były mi to miasta zupełnie obce, bo już raz miałam możliwość przebywać w tamtych stronach półtora roku wcześniej. Ten fakt bardzo mi pomógł podjąć trudne wyzwanie zorgani-

zowania tam szkoleń dla lekarzy i psychologów, we współpracy z miejscowymi grupami AA. Wymagało to bardzo wielu kontaktów z miejscowymi strukturami władzy, z uczelniami, z różnymi instytucjami i organizacjami. To wejście w zupełnie obcy mi świat, gdzieś na końcu Rosji, której zrozumieć i ogarnąć nie sposób. Sama się dziwię, jak ja to wszystko zrobiłam i jedno jest pewne: gdyby Bóg nie otwierał tak wielu drzwi i tak wielu serc, nic by z tego nie wyszło. A z kolei ja ze swej strony doświadczyłam bardzo namacalnie, jak poprzez swój trud i wysiłek, niekiedy ponad moje siły, mogłam pomóc prostować ścieżki i przygotowywać drogi dla Dobrej Nowiny. To wszystko długa opowieść, bardzo dla mnie ważna, ale jednak nie podejmę jej dzisiaj. Zwłaszcza że tak wiele było w poprzednich listach tematów związanych z uzależnieniami, więc może już czujecie przesyt.

Natomiast chciałabym dziś napisać parę słów o tamtejszych parafiach, położonych na końcu chrześcijańskiego świata, a jednak równie bliskich Bogu jak my. Miejscowi katolicy w każdym z odwiedzanych miast udzielali mi ogromnej pomocy, poczynając od noclegu w parafii, poprzez wyczerpującą pomoc informacyjną na każdy temat, aż po wytrwałe modlitewne wspieranie mojej misji. W **Chabarowsku** mieszkałam w już wyremontowanym ośrodku duszpasterskim, który jednocześnie jest siedzibą południowej parafii. Warunki wspaniałe, wszystko nowe i świeże. W miejscowej kaplicy przeżyłam też Paschę 2006 roku i byłam świadkiem przyjęcia do Kościoła czterech dorosłych osób.

Ponownie spotkałam się z japońskimi siostrami. Jedną z nich znałam już z wcześniejszego listu. Z ich strony też doświadczyłam wiele serdeczności, życzliwości i zainteresowania. Oczywiście z językiem rosyjskim nic im się nie poprawiło, więc po zaproszeniu mnie na dokładną opowieść na temat mojej działalności, zorganizowały również tłumaczkę. Dzięki temu rozumiałam, jak bardzo rzeczowe i profesjonalne są w swojej pracy, bo była okazja dowiedzieć się też więcej o ich życiu. Wszystkie mają około osiemdziesiątki, więc to cała epoka w historii Kościoła w Azji. Pochodzą z buddyjskich rodzin i przyjmując chrześcijaństwo doświadczyły wielu przykrości ze strony swoich bliskich, a decydując się na wstąpienie do zakonu, podjęły niekiedy heroiczne wyzwanie. Jedna z nich mogła zrealizować to postanowienie dopiero w poważnym wieku, już po śmierci ojca. Ich zgromadzenie jest bardzo nieliczne i powstało niegdyś w Ameryce Północnej dla opieki nad japońskimi emigrantami. A teraz trzy z nich przyjechały na misje do Rosji i dają tu świadectwo powszechności Kościoła. Dzięki nim mogłam też odwiedzić filharmonię i wysłuchać koncertu współczesnej muzyki japońskiej, organizowanego przez japońskiego konsula.

W ogóle w tej części naszej diecezji wpływy dalekowschodnie są znaczące. Jest kilku koreańskich księży, m. in. franciszkanie, a i wśród samych parafian nie brak Koreańczyków. W Chabarowsku spotkałam p. Ninę, która opowiadała mi o swojej rodzinie katolickiej od kilku pokoleń, o niezwyklej wierze swojej matki zmarłej przed laty w Korei oraz o siostrze żyjącej obecnie w Korei Północnej, z którą nie widziała się od pięćdziesięciu lat. Oczywiście nie ma żadnych możliwości, by mogła ona przyjechać na spotkanie do Rosji. Natomiast Nina chodzi z wizytami do północnokoreańskiego konsula, by uzyskać wizę na podróż do siostry.

Tak wiele przykładów wierności Bogu można spotkać w najdalszych zakątkach ziemi i czerpać z nich siły dla swej własnej wierności, która w naszych

warunkach i w naszych czasach jest tak łatwa i tak niewiele kosztuje... A jednak bywa heroicznym wysiłkiem codzienności.

Wspomnę tu od razu o jeszcze jednej historii, tym razem z wioski **Romanowka**, położonej między Władywostokiem i Nachodką. Poznałam tam panią Ludmiłę: notariusza, wdowę po oficerze, Polkę z Kijowa, która przed paroma laty odrodziła tutejszą parafię. Przez dziesięciolecia zachowała świadomość swej wiary i chroniła ją wiernie bez jakiegokolwiek dostępu do sakramentów. Gdy w latach dziewięćdziesiątych pojawił się we Władywostoku o. Miron z USA i cudownym sposobem wiadomość ta dotarła do p. Ludmiły, zaczęła ona wraz z dwoma córeczkami przyjeżdżać na niedzielną Eucharystię. Po sześciodniowym tygodniu pracy wstawały one przed szóstą rano i potem czterdzieści minut wędrowały przez pole, również w śnieżnej zamieci i mrozie, do stacji kolejowej, by zdążyć na jedyny o tej porze pociąg do Władywostoku. O takiej godzinie w niedzielę nie było możliwości dotrzeć autobusem, który przejeżdża przez ich wioskę. A po długiej podróży, w mieście należało jeszcze przenieść się z dworca do kościoła i o godzinie 12.00 uczestniczyć w Eucharystii. Potem droga powrotna, równie długa i uciążliwa, i powrót do domu na wieczór. I tak w każdą niedzielę, co tydzień, cały rok, bez względu na pogodę i zdrowie. Parę lat temu, raz w miesiącu ksiądz zaczął przyjeżdżać do Romanowki, zaczęła się organizować wspólnota parafialna, a dziś jest już kaplica i niedzielna Msza. Takie rzeczy dzieją się na krańcach świata, takie rzeczy dzieją się w Rosji, do której MY chcielibyśmy jechać, by ludzi uczyć wiary i wierności. Dedykuję tę historię szczególnie tym, którym brak sił i chęci, by wybrać się do kościoła położonego kilkaset metrów od domu.

Obecnie do Romanowki przyjeżdża ksiądz z miasta **Nachodka**, znanego portu, położonego najdalej na południowo – wschodnim krańcu Rosji. Tuż obok jest Korea i Chiny, a tuż za morzem – Japonia. Wielkie plakaty wyznaczają Nachodce szczególną rolę: „*Здесь начинается Россия*” i „*Россия смотрит в океан твоими глазами*”. Mimo tych wielkich aspiracji trudno w nie uwierzyć patrząc na zaniedbane, brudne miasto, tak typowe dla rosyjskiej prowincji. A przecież – jak wszędzie – tak wielu tu dobrych i życzliwych ludzi: w różnych instytucjach, organizacjach i w samej parafii. Spotkałam tu panią Litwinę spod Kowna, która nawet umiała parę słów po polsku i jej wnuka płonącego chęcią rozpoczęcia jak najszybciej budowy kościoła. Na razie jest tylko kaplica, ulokowana w mieszkaniu, w domu sprzed kilkudziesięciu lat, w historycznej części miasta, na ulicy Lenińskiej. Ale wkrótce ma rozpocząć się budowa prawdziwego kościoła i dzięki finansowemu wsparciu z USA powinien on stanąć dość szybko.

W Nachodce, w związku z celem mojego pobytu, poznałam się z pastorem Aleksandrem, który z wielkim poświęceniem zajmuje się miejscowymi narkomanami. Jest trzydziestopięcioletnim człowiekiem, który zakasuje rękawy i wraz ze współpracownikami chodzi po dzielnicach i domach wypełnionych narkomanami. Stara się przyciągać ich do swego ośrodka oraz - przede wszystkim – do Boga, głosząc w najprostszy sposób na tym ludzkim rumowisku Dobrą Nowinę. Mogłam uczestniczyć w jednej z takich wypraw i choć trochę dotknąć tego oceanu egzystencjalnej nędzy.

Wspominając tę wiosenną podróż, nie mogę pominąć i **Władywostoku**, z którym się bardzo oswoiłam. Nie dotarłam do niego w 1992 roku w drodze z Kamczatki i dopiero po kilkunastu latach pojawiła się możliwość odwiedzenia

tego słynnego portu. Parafia odrodziła się tu dawno dzięki pracy amerykańskich księży, a w tym roku przystąpiono do końcowego remontu starego kościoła, budowanego jeszcze przez polskich tułaczy. Jednak o tych sprawach już wiecie. Natomiast ja, myśląc o tym mieście i o całym moim tegorocznym wędrowaniu, ze szczególnym ciepłem wspominam władywostockie siostry, z którymi miałam możliwość modlić się w ich kaplicy. Było tam dużo pokoju, ciszy i po prostu trwania przed Bogiem. W parafiach trudno znaleźć taką atmosferę, nawet w małych kaplicach, bo trwanie w milczeniu przed Bogiem wydaje się być dla współczesnych ludzi heroizmem ponad siły.

A jednak dziś, w ostatnich godzinach roku, myślę o tak wielu małych iskierkach rozsianych po Syberii i Dalekim Wschodzie, o iskierkach płonących lamp i ludzkich serc, czuwających na modlitwie, wielbiących Boga, pamiętających o Nim, poszukujących Jego Oblicza. Poszukujących niekiedy zupełnie po omacku, w ciemnościach szalonego świata, czuwających w samotności lub w niewielu parafiach. Na ile kto potrafi, na ile każdy jest gotów, na ile czuje się wezwany, by żyć inaczej. Jest zima, dzień krótki – te płonące iskiereki wskazują drogę ku Słońcu.

Barbara

\*

Warszawa, 1 stycznia 2007 r.

Drodzy Moi!

W sierpniu i wrześniu minionego roku dane mi było trzykrotnie odwiedzić Ułan Ude, stolicę Buriacji. Kraina ta leży tuż za miedzą, czyli po drugiej stronie Bajkału, a jednak nieczęsto mam możliwość tam bywać. Bardziej dostępny dla mnie okazywał się Arszan, buriackie miasteczko w Sajanach, w którym bywałam już wcześniej, ale stolica była mi dotychczas prawie nieznana. A to przecież tylko 500 km od Irkucka! I oto pojawiła się możliwość, by poznać ją nieco dokładniej, a przy okazji – przyczynić się do uruchomienia w parafii grupy dla alkoholików i dla ich rodzin, pomagać się z lekarzami, a także zorganizować wraz z rządową komisją do spraw niepełnoletnich wrześniowe seminarium na temat uzależnień dla zainteresowanych osób z wielu różnych środowisk.

Na zwiedzanie oczywiście zabrakło czasu, ale i tak nie sposób było nie zauważyć pięknie odremontowanej starej części miasta, które ma niemal tak długą historię jak Irkuck. Wielokrotnie, zmierzając do różnych ministerstw, przechodziłam obok słynnej kilkumetrowej głowy Lenina, która swego czasu trafiła do Księgi Guinnessa. Podziwiałam również przestrzenne nowe drogi, jakich niestety brakuje w Irkucku, oraz urocze krajobrazy nad Selengą – główną rzeką Buriacji.

Wszystko to jednak pozostało tłem dla wyzwania najważniejszego, czyli prób przeniknięcia buriackiej mentalności i zorganizowania wszystkiego według norm znanych mi z mojego świata. Wiele mnie to kosztowało sił i nerwów, i przekonałam się dobitnie, że kilkuletnia praktyka w środowisku rosyjskim, to zdecydowanie za mało, by łatwo i skutecznie porozumieć się z Buriatami. Oczywiście nie chodzi o język, bo w Ułan Ude rosyjski znają wszyscy. Nie chodzi też o religię, bo choć najwyraźniej widoczny jest buddyizm, to jednak większość społeczeństwa jest niewierząca. Zupełnie jak u Rosjan. Chodzi po prostu

o jeszcze inną mentalność, inne rozumienie pojęć, upływu czasu i podejmowanych zobowiązań. Nieprzeniknione twarze i spojrzenia, urzędowe maski skrywające skutecznie szczere reakcje, wiele życzliwości wydobytej z ukrycia dopiero po długotrwałym przebijaniu się przez pancierz. A nade wszystko – specyficzny rytm dojrzewania do decyzji, do podjęcia dzieła, do czynu. Ale może to tylko moje błędne wrażenia wynikające z nieznamomości narodów Wschodu. Jednak jakże to wszystko inne niż u Rosjan! A w końcu oni też nie stanowią monolitu. Wspominam tu swoją wiosenną podróż na Daleki Wschód, gdy tak mocno doświadczyłam różnicy w funkcjonowaniu, reagowaniu i sposobie bycia między mieszkańcami Chabarowska i Władywostoku. I jakże to wszystko było inne niż w Irkucku! O tak! Rosja, to olbrzymi kraj tysiąca krain, a każda z nich - z własnym obliczem i duszą.

A skoro o duszy mowa, to pora powiedzieć o tamtejszej parafii katolickiej. Istnieje ona już około dziesięciu lat, ale większość tego czasu mieściła się w kaplicy w domu mieszkalnym. Teraz, od ponad roku, stoi piękny kościół z dobrym zapleczem na wszelkie spotkania, obok – małej klasztor siostr dominikanek i choć drobne prace wciąż jeszcze trwają, to baza materialna pod dalszą budowę wspólnoty parafialnej jest doskonała. To właśnie tam miałam możliwość zatrzymać się w czasie swoich pobytów i korzystać z wszelkiej pomocy ks. Adama, s. Tatiany oraz niektórych parafian. Przy okazji dowiedziałam się też, jak to jeden z Buriatów, ochrzczonych kilkanaście lat temu w Moskwie, mobilizował przed laty lokalne stowarzyszenie Polaków do zaangażowania się w odrodzenie w Ułan Ude Kościoła katolickiego. Uświadomiłam sobie też, że najbliższej położona parafia znajduje się na terenie Mongolii, bo do syberyjskich „sąsiadek” jest po kilkaset kilometrów.

I tak wspomnieniami z 2006 roku zaczynam nowy rok, w wielkiej ciekawości, co też on przyniesie. Niestety, nie jestem w stanie przekazać więcej o minionych wydarzeniach i wędrownościach. Organizowanie seminariów dla kilkuset osób w sześciu miastach (a o samym Irkucku nawet nie wspomniałam) zajęło mi mnóstwo czasu i kosztowało dużo sił. Nie byłam w stanie dzielić się na bieżąco refleksjami z kolejnych doświadczeń, więc wiele z nich przepadło bezpowrotnie. Dziś muszę już patrzeć w przyszłość i myśleć o wyzwaniach na kolejny rok. Życzę nam wszystkim, by był on napełniony światłem, nadzieją i dobrem.

Barbara

#### • FOTOGRAF KRESÓW – JAN BULHAK

W Muzeum Narodowym w Warszawie od 14 grudnia 2006 do 4 lutego tego roku oglądać można było monograficzną wystawę prac prekursora polskiej fotografii artystycznej „Jan Bułhak 1876-1950. Fotografik”. Publiczności udostępniono blisko 570 zdjęć, pochodzących z kolekcji muzealnych polskich i litewskich, a także prywatnych zbiorów rodzin Jana Bułhaka i malarza Ferdynanda Ruszczyca. Jest to druga prezentacja prac artysty w Muzeum Narodowym, pierwsza odbyła się w 1946 roku, pokazano wówczas zdjęcia powojennej, zrujnowanej stolicy. Obecna wystawa z Warszawy pojedzie do Wrocławia, potem do Wilna, Kowna, Łodzi, a w maju 2008 roku odwiedzi Muzeum Historii Fotografii w Krakowie. Tak bardzo wybiegające w przyszłość kalendarium stanowi

wyjątek w praktyce muzealniczej, tym bardziej, że fotografia nadal rzadko gości w dużych muzeach sztuki.

Jan Bułhak – fotografik, teoretyk sztuki, publicysta, pedagog – najbardziej znany jest starszemu pokoleniu z fotograficznych obrazów Wilna i Wileńszczyzny. Rozpoczął od fotografowania Ziemi Nowogródzkiej, skąd pochodził. Urodził się w Ostaszynie Murowanym, a jego matka chrestna mieszkała we dworze w Czombrowie, utożsamianym z Soplicowem. Zakorzenie w mickiewiczowskim kraju lat dzieciennych wywarło znaczący wpływ na jego dorobek i postawę twórczą. W latach 1905-1911 w okolicach Mińska Litewskiego i Nowogródka zrobił kilkaset zdjęć, nastrojowych obrazów wsi, widoków dworów i ich wnętrz, postaci kobiet w krajobrazie. Dominował pejzaż, rzadziej pojawiał się portret.

Mistrzem duchowym stał się dla Bułhaka prezes Photo Club de Paris Emil J. Constant Puyo, z którym korespondował. Warsztat doskonalił w drezdeńskiej pracowni jednego z najwybitniejszych fotografów niemieckich Hugo Erfurtha. Główną inspiracją były estetyczne teorie piktoralizmu, przenoszące na grunt fotografii sposoby ujęcia, kompozycji, operowania światłocieniem właściwe malarstwu. Dążył do tego, by fotografia przestała być rzemiosłem, a stała się dziedziną sztuki. Swoim artystycznym wizjom nadał Bułhak indywidualny rys. Dobór motywów i tematów wyznaczała propagowana przez niego idea fotografii ojczystej. Twórczym poszukiwaniom nadała kierunek przyjaźń z Ferdynandem Ruszczycem, malarzem symbolistą, jego poglądy na sztukę oraz intelektualne wsparcie. Dzięki niemu zajął się inwentaryzacją fotograficzną zabytków architektury Wilna. W ciągu niespełna czterech lat powstało ponad osiemset zdjęć kościołów, klasztorów, pałaców i kamienic. Towarzyszył także pracom konserwatorskim i archeologicznym, dokumentował uroczystości reaktywowania wileńskiej Alma Mater, renowację obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej i odkrycie grobów królewskich w katedrze.

Bułhak fotografował nie tylko Wilno. Ewakuowany w 1920 roku do Warszawy, stworzył cykl widoków stolicy: Starego Miasta, Łazienek, Jabłonny. W okresie międzywojennym podróżował po całym kraju, co zaowocowało wielotysięczną serią „Polska w obrazach fotograficznych Jana Bułhaka”. Złożyło się na nią 158 albumów tematycznych: „Kresy”, „Wołyń”, „Lwów”, „Nowogródzkie”, „Kraków”, „Polski Bałtyk”. Po wojnie powstał nowy cykl „Polska w fotogramach Jana Bułhaka i Syna”. Znalazły się w nim zdjęcia niemal wszystkich miast i zakątków Polski, wśród nich Ziemie Zachodnie i Północne.

Bułhak oddawał się nie tylko twórczości, był również organizatorem życia fotograficznego, w latach 20. zakładał Fotoklub Wileński i Fotoklub Polski, a po wojnie Związek Polskich Artystów Fotografików. Parał się pracą pedagogiczną, był kierownikiem Zakładu Fotografii Artystycznej na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Dał się poznać także jako teoretyk, publicysta, pisarz i poeta. Jemu zawdzięczamy termin foto-grafika, oznaczający fotografię artystyczną. Spod jego pióra wyszły liczne opracowania fachowe: *Fotografika*, *Estetyka światła*, *Fotografia ojczysta*, jak również ilustrowane własnymi zdjęciami artykuły krajoznawcze, powieść autobiograficzna *D.O.M.* i poemat *Moja Ziemia*. W latach 1940-1942 napisał odznaczające się dużymi walorami literackimi wspomnienia *Kraj lat dzieciennych*, które szczęśliwie przetrwały i zostały wydane przed czterema laty przez Gdyńską Oficynę Wydawniczą „ASP Rymcza”. Niestety w niewielkim nakładzie. A szkoda, bo – jak napisał prof. Ryszard Kiersnowski – we wstępie „Ten pamiętnik-album, na-

pisany piękną polszczyzną, zawiera opisy, a może raczej jeden wielki opis Nowogródziny widzianej okiem artysty wyczulonego na kształty, barwę i kompozycję, czy będzie to prezentacja szerokich krajobrazów nadniemeńskich, czy poszczególnych ich fragmentów, pól, łąk, drzew, kwiatów, budynków. Dla badacza, ale i zwykłego odbiorcy twórczości fotograficznej Bułhaka teksty te mogą być kluczem i przewodnikiem.” Tom drugi „Pół życia w Wilnie”, pisany od listopada 1942 roku, spłonął i nigdy nie został odtworzony.

W czasie okupacji artysta był zaangażowany w działalność polskiego podziemia. Jako członek AK sporządzał mikrofilmy dokumentów dla wileńskiego Biura Delegata Rządu. Latem 1944 roku Bułhak przeżył dramat, pożar strawił jego dom, a wraz z nim pracownię i archiwum. Pisał: „zginęło dosłownie wszystko, nad czym pracowałem i co nagromadziłem w ciągu czterdziestu lat, zmarniał, obrócił się w popiół cały mój dorobek fotograficzny i literacki”.

Na szczęście nie wszystko przepadło. W Muzeum Narodowym pokazano portrety, dawne budowle, a przede wszystkim pejzaże – czarno-białe „malowane światłem” romantyczne krajobrazy. Autorzy wystawy starali się przedstawić Bułhaka nie tyle jako dokumentalistę, co wrażliwego na piękno przyrody i architektury artystę. Na zdjęciach widzimy świat, który już nie istnieje, świat Kresów nieubłagane odchodzący w zapomnienie. To bezcenny historyczny zapis i twórczość najwyższej próby.

Ewa Ziółkowska

#### • NAGRODY „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO” ZA 2006 ROK

Już po raz czternasty nagrodzono autorów najlepszych publikacji naukowych poświęconych problematyce wschodniej. Ceremonia wręczenia prestiżowych nagród kwartalnika „Przegląd Wschodni” za 2006 rok odbyła się 17 marca 2007 roku w Sali Balowej Pałacu Potockich na Uniwersytecie Warszawskim.

Nagrody w kategorii autorów krajowych otrzymali ex aequo: Bogdan Gancarz z Krakowa za książkę *My szlachta ukraińska. Zarys życia i działalność Wacława Lipińskiego (1882-1914)* oraz Maria Kałamajska-Saeed z Warszawy za prace *Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa nowogródzkiego* oraz *Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa wileńskiego*. Nagrody w kategorii autorów zagranicznych przyznano: Władysławowi Duczko z Uppsali za książkę *Ruś Wikingów* oraz Mathiasowi Niendorfovi z Kilonii za książkę *Das Großfürstentum Litauen. Studien zur Nationsbildung in der Frühen Neuzeit (1569-1579)*.

Nagrodą Specjalną uhonorowano prof. Władysława Serczyka z Uniwersytetu Rzeszowskiego, historyka zajmującego się dziejami Ukrainy i Rosji oraz stosunkami polsko-ukraińskimi, autora między innymi monumentalnej *Historii Ukrainy* oraz monografii *Poczet władców Rosji: Romanowowie i Iwan IV Groźny*. Laureat nie był obecny na uroczystości, nagroda zostanie mu wręczona w późniejszym terminie. W kategorii „Edycja Źródeł” nagrodę otrzymała Urszula Paszkiewicz z Warszawy za pracę *Inwentarze i katalogi bibliotek z ziem wschodnich Rzeczypospolitej do 1939 roku*

Celem Nagrody „Przeglądu Wschodniego” im. Aleksandra Gieysztor, ustanowionej w 1999 roku dla uczczenia pamięci Profesora, jest honorowanie



osób wybitnie zasłużonych w sprawach wschodnich. Tym razem statuetka autorstwa Gustawa Zemły trafiła do rąk prof. Alfredasa Bumblauskasa, prodziekana Wydziału Historii na Uniwersytecie Wileńskim, zajmującego się problematyką stosunków polsko-litewskich, dawnych i współczesnych.

W skład jury nagrody weszli: prof. Andrzej Ajnenkiel z Instytutu Historii PAN, prof. Juliusz Bardach z Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Chodkiewicz – dyrektor Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, dr Adolf Juzwenko – dyrektor Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Jan Malicki – redaktor naczelny „Przeglądu Wschodniego” oraz prof. Elżbieta Smułkowa i prof. Leszek Zasztowt z Uniwersytetu Warszawskiego, a także Ewa Gieysztor (Jury Nagrody im. Aleksandra Gieyszтора).

Podobnie jak w latach ubiegłych nagrody zostały ufundowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Radio Polonia – Program dla Zagranicy Polskiego Radia S.A. oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”. Patronat prasowy objęła „Rzeczpospolita”.

*Ewa Ziółkowska*

#### • MUZEUM POLSKIEGO DZIEDZICTWA W NOWEJ ZELANDII

Fundacja Polskiego Dziedzictwa w Auckland – Polish Heritage Trust – utworzona 17 września 1999 roku to dzieło Johna Roy-Wojciechowskiego Honorowego Konsula Rzeczypospolitej Polskiej w Auckland. W jej ramach działa prestiżowa placówka Muzeum Polskiego Dziedzictwa – Polish Heritage Museum znajdujące się na wschodnim wybrzeżu Auckland, w malowniczej dzielnicy Howick, tworząca harmonijny i spójny w tej międzykulturowej przestrzeni ośrodek promocji polskiej historii, kultury i nauki.

Cele, dla których powołano Fundację, to przede wszystkim chęć „dzielenia się bogactwem polskiego dziedzictwa kulturalnego” w Nowej Zelandii, to również „zachęcanie i popieranie czytelnictwa, kupowanie i sprzedaż polskich książek i publikacji o imigrantach polskich w Nowej Zelandii i ich wkładzie oraz wkładzie ich potomków do wszelkich dziedzin życia gospodarczego, kulturalnego i politycznego Nowej Zelandii, inicjowanie, utrzymywanie i popieranie wszelkich przedsięwzięć mających na celu ułatwienie studiowania języka polskiego, polskiej literatury, historii i kultury poprzez organizowanie studiów i kursów (także korespondencyjnych), założenie witryny internetowej, zbieranie i kompletowanie polskich pamiątek i utrwalanie polskiej tradycji ustnej w publikacjach, na dyskach komputerowych oraz taśmach audio i video, udostępnienie trwałego miejsca do przechowywania książek, fotografii i innych dokumentów oraz zapewnienie dostępu do tych zbiorów wszystkim Nowozelandczykom; popieranie programów wymiany studentów między Polską a Nową Zelandią, współpraca ze wszystkimi organizacjami polonijnymi oraz organizacjami innych grup etnicznych, które działają obecnie i działać będą w przyszłości, w realizowaniu celów Fundacji, podejmowanie wszelkich kroków, działań i przedsięwzięć, które Fundatorzy uznają za celowe dla spełnienia wyżej omówionych zadań” (wyciąg z Aktu Ustanawiającego Fundację).

Tyle mówi Statut Fundacji. A jak to odnosi się do naszej działalności?

W swojej ofercie Muzeum Polskiego Dziedzictwa zachęca zwiedzających do zapoznania się ze stałą wystawą, gdzie przedstawiona jest historia przybycia polskich sierot do Nowej Zelandii w 1944 roku oraz z wystawą na temat Polaków walczących pod Monte Cassino, na której eksponowane są także pamiątki wojenne i inne eksponaty. Muzeum posiada także eksponaty, z których część to dary otrzymane z Polski, a wśród nich znajduje się kolekcja lalek w polskich strojach regionalnych. Zbiór książek, broszur i filmów dotyczących Polski dostępny jest dla odwiedzających, które często przywołują wśród rodaków dawne obrazy z ich kraju nierzadko z lat dzieciństwa, tj. jeszcze sprzed wywiezienia na Syberię.

Co kilka tygodni odbywa się pokaz polskiego filmu; zwykle jest to klasyka kina polskiego: „Pan Tadeusz”, „Zemsta”, „Przedwiośnie”. W październiku 2005 Muzeum gościło wystawę drewnianych polskich lalek „Joli Doll Exhibition”. Ta prywatna kolekcja, ponad 70 drewnianych ręcznie wykonanych laleczek, była udostępniona dzięki uprzejmości Pani Sue Cayless. Wśród nich znajdują się lalki w regionalnych strojach z Polski. Muzeum służy również jako punkt, gdzie można zasięgnąć różnych informacji o Polsce. Współpracuje także z tłumaczami oraz udziela lekcji języka polskiego. Muzeum posiada również program dla grup zorganizowanych, szkół i przedszkoli. Dla Shelley Park Primary School został przygotowany specjalny dzień zajęć dla uczniów, dostosowany do artystycznego profilu tej placówki. Uczniowie wraz z nauczycielami dzięki interaktywnym zajęciom mieli okazję poznać Polskę, jako kraj o wsławniejszej kulturze, a wśród nich polskie tradycyjne powitanie chlebem i solą, film przedstawiający Polskę, ćwiczenie plastyczne obejmujące łowickie wycinanki, piosenkę „Panie Janie”, polską legendę „O Złotej kaczce”, z jakże pięknym przesłaniem, że należy się dzielić tym, co się posiada.

Na zamówienie zorganizowanych grup odwiedzających muzeum John Roy-Wojciechowski wygłasza prelekcje na temat polskich dzieci – sierot z Pahiatua, ich losów i przeżyć. Muzeum chce rozwinąć swoją działalność obejmującą także audycję radiową w Auckland dzięki sieci radiowej Community Access w Nowej Zelandii, rozbudować stronę internetową, zacieśnić współpracę z placówkami uniwersyteckimi w Auckland, Wellington, Hamilton, Christchurch oraz z innymi placówkami oświatowymi w Nowej Zelandii. Udział w imprezie „Howick Santa Parade” – organizowanej od 3 lat, to też okazja do zaprezentowania naszej placówki muzealnej oraz polskich tradycji bożonarodzeniowych budzących powszechne zainteresowanie widzów. Grupa uczestników tej parady zorganizowana przez muzeum odniosła sukces zwyciężając w konkursie „Parady w 2004”. Barwne stroje, przykuwająca wzrok dekoracja, gościnna atmosfera na polskiej platformie – to zalety podkreślane i docenione przez jurorów. W 2006 r Muzeum Polskiego Dziedzictwa (Polish Heritage Trust Museum) zostało również docenione zajmując 3 miejsce wśród ponad 20 grup ocenianych przez jurorów.

W ramach uroczystości Dnia Niepodległości, 11 listopada 2006, Polish Heritage Trust Museum gościło Marcela Weylanda, który promował poemat „Pan Tadeusz” w języku angielskim we własnym przekładzie. Wśród gości przybyłych na tę uroczystość można było spotkać przedstawicieli placówek dyplomatycznych z wielu krajów europejskich, azjatyckich oraz regionu wysp Pacyfiku.

W maju 2006 roku Polish Heritage Trust Museum było obecne w Lublinie wraz z wystawą pod nazwą „Polskie Dzieci z Pahiatua”, towarzyszącej kon-

ferencji na temat „Z Sybiru na drugą półkulę. Wojenne wędrówki polskich dzieci”, zorganizowanej przez Katolicki Uniwersytet Lubelski im. Jana Pawła II. Głównym wydarzeniem tego międzynarodowego spotkania było odsłonięcie tablicy pamiątkowej ufundowanej przez Honorowego Konsula RP w Nowej Zelandii, Johna Roya-Wojciechowskiego, w miejscu gdzie znajduje się w Lublinie nazwany na tę cześć „Plac Dzieci z Pahiatua”, stanowiący trwały znak niedoli naszych niewinnych syberyjskich tułaczy. Tablica upamiętnia los 733 osieroczonych polskich dzieci na Syberii, do których należał także wspomniany już Jaoh Roy Wojciechowski. Deportowane wraz z rodzicami, mieszkańcami Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej szczęśliwie ocalały one w sierocińcach syberyjskich, mimo skrajnie trudnych warunków – chorób, głodu i poniewierki. Wreszcie drogą przez Związek Radziecki i Persję w dniu 31 października 1944 roku dotarły do portu w Wellington w Nowej Zelandii na amerykańskim okręcie wojennym „General Randall”. Tu znalazły spokojną życiową przystań, tu wielu z nich mieszka do dzisiaj, tworząc w dalekiej, przyjaznej im dawniej i teraz Nowej Zelandii „Polskę poza Polską”.

Los bowiem sprawił, że decyzje podjęte w Jałcie przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Związek Radziecki nie dały młodym Polakom szansy powrotu do wolnej Polski. Dzięki interwencji ówczesnego premiera Nowej Zelandii 1 listopada 1944 r. otwarty został kampus w Pahiatua dla dzieci i ich 105 opiekunów. Społeczność ta pozostając w kampusie przez pięć lat, kultywowała pamięć o Ojczyźnie i polskich tradycjach. Późniejsze losy większości dzieci związały się z Nową Zelandią, gdzie stworzyły zintegrowaną wspólnotę polonijną, znaną mieszkańcom kraju jako Polskie Dzieci z Pahiatua. Ta społeczność polonijna zrzeszyła się w Stowarzyszeniu Polaków istniejących w większych miastach Nowej Zelandii. Powstał też Związek Sybiraków w Nowej Zelandii, którego członkowie otrzymali w roku 2006 Krzyże Zesłańców Sybiru, przyznawane przez Prezydenta RP. Muzeum Polskie posiada taki Krzyż w swej kolekcji wraz z opisem tego odznaczenia.

W programie dla grup zorganizowanych odwiedzających Polskie Muzeum znajduje się sugestywna informacja o Polskich Dzieciach z Pahiatua, prezentowana poprzez film pt. „Poles Apart”. Wielu Nowozelandczyków, należących do pokolenia polskich dzieci, które w roku 1944 przybyły do ich kraju pamięta wydarzenia prezentowane wówczas przez radio i prasę o młodych Polakach, którzy znaleźli gościnę w Nowej Zelandii. Często oni sami opowiadają różne sympatyczne historie związane dotyczące ówczesnych spotkań z Polakami. W muzeum można też kupić książki na temat Polskich Dzieci z Pahiatua: w języku polskim oraz angielskim: „Polski Nowozelandczyk” – biografia Johna Roya-Wojciechowskiego oraz „Dwie Ojczyzny”, które dokładnie dokumentują losy tych dzieci. I oto po ich lekturze rozrasta się w wyobraźni nowozelandzkiej czytelników lodowata kraina sybirska, kraina śniegu i poniewierki, gdzie zewsząd czyhała na te bezbronne istoty otaczająca ich śmierć, która dla wielu z nich wcześniej zabrała ukochanych rodziców. Te i inne przeżycia naznaczone syndromem Sybiru, tkwią do dzisiaj w Polskich Dzieciach z Pahiatua.

Wspomnieć tu jeszcze należy o tym, że ostatnią niedzielę miesiąca, počawszy od sierpnia 2006, ma miejsce „Sunday Programme at the Polish Museum” skierowany do całej rodziny – dla osób dorosłych i dzieci; do tej pory odbyły się 4 niedzielne imprezy tematyczne pod nazwą: „Polska”, „Zamki i ry-

cerze w Polsce”, „Kuchnia polska”, „Święta Bożego Narodzenia – tradycje i zwyczaje w Polsce”. W czasie wakacji odbywają się dopołudniowe sesje z dziećmi obejmujące tematykę polskich tradycji kulturowych, literatury, geografii, historii oraz współczesnego życia odległej Polski. Powoli powiększa się nasza muzealna kolekcja dotycząca polskich tradycji i kultury. Dary dla muzeum przekazywane są przez osoby prywatne, rzadziej przez instytucje. Obecnie czynione są starania by pozyskać stroje ludowe dla dzieci i młodzieży, bowiem Muzeum Polskiego Dziedzictwa uczestniczy w wielu imprezach kulturalnych w Nowej Zelandii. Dlatego też prezentując naszą placówkę zwracamy się za pośrednictwem „Zesłańca” z apelem do darczyńców o wsparcie tej inicjatywy. Natomiast chcących nas odwiedzić informujemy, że muzeum czynne jest dla zwiedzających 7 dni w tygodniu, w godzinach od 11<sup>00</sup>-15<sup>00</sup> od poniedziałku do piątku, w weekend od 11<sup>00</sup> do 17<sup>00</sup>.

*Ania Biazik*

- **KOMISJA BADAŃ NAD HISTORIĄ SYBERII  
KOMITETU HISTORII NAUKI I TECHNIKI PAN**

Komisja powstała w 1994 roku z inicjatywy śp. Prof. dra. Władysława Jewsiewickiego, jej pierwszego honorowego przewodniczącego. Od początku prowadzi ją prof. dr hab. Zbigniew Wójcik (Muzeum Ziemi PAN), którego wspiera, jako wiceprzewodniczący prof. dr hab. Antoni Kuczyński (Uniwersytet Wrocławski, kierownik Ośrodka Badań Wschodnich tej uczelni, wybitny znawca dziejów diaspory polskiej na Syberii). Stałymi uczestnikami prac Komisji jest 20 osób, głównie z Warszawy (m.in. prof. Wiktoria Śliwowska, dr Jan Trynkowski), Krakowa (prof. Władysław Masiarz), Łodzi (prof. Maria M. Blombergowa, prof. Jerzy Supady), Wrocławia (prof. Antoni Kuczyński), Kielc (prof. Wiesław Caban) oraz Lublina, Poznania, Rzeszowa i innych miast. Wymienieni, a także inni członkowie Komisji dokumentują swe dokonania publikacjami książkowymi oraz artykułami ogłaszanymi w czasopismach krajowych i zagranicznych (zwłaszcza w Rosji) oraz biorą udział w licznych międzynarodowych i krajowych konferencjach dotyczących różnych aspektów związków polsko-syberyjskich.

Formuła prac Komisji realizowana jest głównie poprzez odbywające się cyklicznie posiedzenia naukowe, w których oprócz stałych członków tego gremium biorą także udział goście, zwykle przebywający w Polsce na stypendiach lub pobytach studyjnych historycy z Federacji Rosyjskiej. Niektóre z posiedzeń Komisji w roku akademickim 2005/2006 wiązały się z obronami rozpraw doktorskich i habilitacyjnych (m.in. dr Barbara Jędrychowska z Uniwersytetu Wrocławskiego – habilitacja w Instytucie Historii Nauki PAN, mgr Krzysztof Maj – doktorat w Uniwersytecie Łódzkim), bądź z przygotowanymi do druku książkami (m.in. prof. Wiesław Caban z Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach). Zawsze rzeczowe i merytorycznie wszechstronne dyskusje miały istotny wpływ na walory poznawcze tych naukowych przedsięwzięć oraz wzbogacały tematykę innych wystąpień prezentowanych przez: prof. Bolesława Orłowskiego, „Polscy budowniczości kolei transsyberyjskiej”; Imama Mahmuda Taha Żuka, „Udział specjalistów z ziem polskich w wojnie japońsko-rosyjskiej 1904/5 roku”; dr Hanę Krajewską, „Informacja o przygotowywanej wystawie o udziale Pola-

ków w badaniach Syberii”, prof. Marię M. Blombergową „Badania archeologiczne Juliana Talki-Hryncewicza w okolicy Kiachty”; Imama Mahmuda Taha Żuka „Obecność dokonań Juliana Talki-Hryncewicza we współczesnej literaturze karaimskiej oraz o polsko-litewskich Tatarach”; prof. Tadeusza Brzezińskiego „Lekarze wojsk formowanych przez gen. W. Andersa w ZSRR”; prof. Zbigniewa Wójcika „Lekarze polscy w Rosji – problem badawczy”, mgr Romana Świeżewskiego „Kapituła Medalu im. Wiktora Godlewskiego w Bogutach”; prof. Wiesława Cabana „Polacy w Orenburskiem w XIX i XX wieku”; dr hab. Barbarę Jędrychowską „O pracy magisterskiej z 1938 roku s. Marii Stelli Trzecielskiej, urszulanki”, dr Idę Sadowską „Egzotyka rodzin zesłańców polskich na Syberii – przypadek Wacława Sieroszewskiego”; dr Mariusza Chrostka „Niebo i gwiazdy w pisarstwie polskich zesłańców syberyjskich”, dr Zofię Strzyżewską „Wyniki najnowszych poszukiwań w archiwach Permu”; dr Jana Trynkowskiego „Z Zabajkała przez Chiny do Szwajcarii. Z listu Szymona Tokarzewskiego do Agatona Gillera”; prof. Zbigniewa Wójcika „«Lzwestia gornych inżynierow»” i jego redaktorzy: Zygmunt Wojśław i Leon Bacewicz”.

Tematyka tych spotkań dawała także asumpt do nowych przedsięwzięć badawczych obejmujących szerokie spektrum tematyki syberyjskiej – zesłania, kulturotwórcza rola Polaków za Uralem i ich działalność gospodarcza, wkład Polaków w badania etnologiczne i przyrodnicze na Syberii, zesłania i deportacje Polaków na Syberię, Daleki Wschód, do Kazachstanu i w inne rejonu ZSRR w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Nade wszystko jednak ważny jest w toku prac Komisji znamieny fakt, iż integruje ona krajowy zespół specjalistów zajmujących się tematyką syberyjską oraz przekonuje młodszą generację badaczy, że podejmowany przez nich trud jest wartościowy poznawczo i wypełnia wieloletnie zaniedbania zakresie polskiego dziedzictwa kulturowo-gospodarczego za Uralem. Na miarę posiadanych możliwości Komisja wspiera też autorów krajowych i zagranicznych w możliwościach publikowania artykułów oraz prac zwartych dotyczących tematyki leżącej w spektrum jej programowych założeń. Dzięki temu ich artykuły ukazują się na łamach rocznika „Wrocławskie Studia Wschodnie”, wydawanego przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu oraz Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, kwartalnika „Zesłaniec”, będącego organem wydawniczym Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków, „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki” oraz rocznika „Annalecta” wydawanych przez Instytut Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk.

Jak w poprzednich latach członkowie Komisji uczestniczyli w posiedzeniach Towarzystwa Historyków Medycyny i Farmacji w Łodzi, gdzie pod przewodnictwem prof. Jerzego Supadego prof. Zbigniew Wójcik przedstawił dwa referaty: w maju pt. „Stan rozpoznania udziału lekarzy polskich w podnoszeniu zdrowotności ludności Syberii” oraz w listopadzie 2006 roku – „Wacław Lasocki (1837-1921) – lekarz, sybirak”. Wiceprzewodniczący Komisji, prof. A. Kuczyński zorganizował międzynarodową konferencję naukową pod nazwą: „Polacy w nauce, administracji i gospodarce na Syberii XIX – początek XX wieku”. Sesja odbyła się w Pułtusk 8-9 listopada 2006 roku. Członkowie Komisji przedstawili na niej następujące referaty: prof. W. Śliwowska, „Zasługi sybiraków – zesłańców politycznych (kilka przykładów)”; prof. Z. Wójcik, „Wkład Polaków do rozpoznania przyrodniczego Syberii”; prof. A. Kuczyński,

„Polskie dziedzictwo naukowo-cywilizacyjne na Syberii w XIX i na początku XX wieku i jego współczesna recepcja w nauce rosyjskiej”; mgr Janina Owczarek, „Historycy nauki Instytutu Historii Nauki PAN o roli Polaków w naukowym poznaniu Syberii XIX i początku XX wieku”; prof. Maria M. Blombergowa, „Bronisława Grąbczewskiego (1855-1926) opisy starożytności w trakcie podróży po Azji”; prof. Wiesław Caban, „Udział Polaków w ekspedycjach naukowych gubernatorów orenburskich (lata 40-50 XIX wieku)”; dr Anna Milewska-Młynik, „Jan Witort i Seweryn Gross – polscy badacze kultury Kazachów w latach 80. XIX wieku”; prof. Zbigniew Wójcik, „Galicjanie jako badacze Syberii”; dr Jan Trynkowski, „«Zaimka» – gospodarstwo wiejskie w życiu polskich zesłańców I połowie XIX wieku”; Imam Mahmud Taha Żuk, „Polski personel medyczny w wojnie rosyjsko-japońskiej 1904-1905 roku”; prof. Zbigniew Wójcik, „Udział geologów polskich w budowie kolei transsyberyjskiej”. Dalejszych 5 członków Komisji nadesłało swe referaty do druku do księgi mającej się ukazać pod redakcją prof. A. Kuczyńskiego.

Przy czynnym udziale członków Komisji Katolicki Uniwersytet Lubelski i Oddział PAN w Lublinie w listopadzie 2006 roku zorganizował międzynarodową konferencję naukową pod nazwą „Losy zesłańców postyczniowych w Imperium Rosyjskim”. Członkowie Komisji przedstawili na niej następujące referaty: prof. Zbigniew Wójcik, „Przyrodnicy syberyjscy wobec powstania nadbajkalskiego”; mgr Anna Brus, „Usole – szczególne miejsce, szczególni ludzie. Polscy zesłańcy po powstaniu styczniowym w guberni irkuckiej”; dr Jan Trynkowski, „Z Zabajkala przez Chiny do Szwajcarii”; dr hab. Barbara Jędrzychowska, „Nowe badania nad losami duchownych zesłanych do Tunki”. Ponadto referaty swe nadesłali prof. Wiktoria Śliwowska i prof. Antoni Kuczyński. Ważnym elementem pracy Komisji jest pomoc w pozyskiwaniu najnowszej specjalistycznej literatury na temat Syberii. Przewodniczący Komisji uczestniczy w pracach zespołu kierowanego przez dr Hanne Krajewską, dyrektor Archiwum PAN, przygotowujący wystawę „Polscy badacze Syberii”. Ponadto Komisja stale współpracuje z Radą Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków, inicjując różne przedsięwzięcia edytorskie dotyczące „polskich spraw na Syberii”, do których np. należy przygotowywany monotematyczny numer „Zesłańca” poświęcony gen. Władysławowi Andersowi.

*Zbigniew Wójcik*

#### • SYBIRAK-SENIOR W GLIWICACH

Sybirak, kapitan Kazimierz Chrobak, w dniu 1 grudnia 2006 roku rozpoczął setny rok życia. W tym dniu Zarząd Oddziału Związku Sybiraków w Gliwicach wręczył Jubilatowi szeroką panoramę przełęczy pod Monte Cassino, komputerowo zmontowaną z czterech fotografii, wykonanych przez Kazimierza Grenzaka. Tu, na polskim cmentarzu wojennym spoczywają Sybiracy, koledzy bojowi Jubilata, z którymi uczestniczył On w zdobywaniu klasztoru-fortecy Monte Cassino. Na wręczonej Mu panoramie widnieje napis:

**„Bene Meritus’ – Kapitanowi Kazimierzowi Chrobakowi,  
który przebył szlak gen. W. Andersa i Monte Cassino,**

**w roku wieńczącym Jego 100-lecie, z pokłonem uznania  
Sybiracy w Gliwicach. 1. XII. A.D. MMVI”.**

Kazimierz Chrobak uczestniczył w kampanii wrześniowej jako ogniomistrz w artylerii przeciwlotniczej. W listopadzie 1939 roku został we Lwowie aresztowany przez NKWD. Po pewnym czasie uciekł z więzienia. Ponownie został we Lwowie aresztowany 12 marca 1940 roku i po ośmiomiesięcznym śledztwie w Brygidkach został skazany na 15 lat ciężkich robót i osadzony w Komsomolsku. W grudniu 1941 roku amnestionowany, w dramatycznych okolicznościach dostał się do Buzułuku, do formującej się Armii gen. Andersa. Po ukończeniu Szkoły Podchorążych Artylerii w Kara-Su i wyprowadzeniu Armii Polskiej na Bliski Wschód, został wcielony do 8 Pułku Ciężkiej Artylerii Przeciwlotniczej. Pełnił tu funkcję zastępcy dowódcy baterii. Jako podporucznik w II Korpusie Wojska Polskiego brał udział we wszystkich jego bojowych działaniach we Włoszech – Od Monte Cassino przez Ankonę do Bolonii.

Jest Kawalerem licznych odznaczeń bojowych polskich i brytyjskich a po wojnie został odznaczony Orderem Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino, Medalem Wojska, Medalem „Za udział w Wojnie Obronnej 1939”, Krzyżem Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, The 1939-45 Star, The Italy Star, The Demeanor Medal 1939-45. Jest członkiem Oddziału Związku Sybiraków w Gliwicach. Otrzymał również Odznakę Honorową Sybiraka i Krzyż Zesłańców Sybiru.

Na zdjęciu od lewej: Eugeniusz Cymbor – Prezes Oddziału ZS w Gliwicach;  
Jubilat – kpt. Kazimierz Chrobak; Kazimierz Grenszak – Honorowy Prezes Oddziału,  
członek Zarządu Głównego ZS; Maria Lewczuk – Przewodnicząca Komisji Rewizyjnej  
Oddziału ZS w Gliwicach.

Pod honorowym patronatem pani Ireny Anders i wielu innych osób w 2000 roku ukazała się wydana w Askon książka pt. *Monte Cassino – historia –*

*ludzie – pamięć. History people memory*, w której zamieszczono w języku polskim i angielskim krótkie notatki o uczestnikach tej bitwy, wśród nich znajduje się krótka biografia Kazimierza Chrobaka.

Natomiast Muzeum Śląskie w Katowicach w 1999 roku wydało książkę pod redakcją Witolda Zdanowicza pt. *Śląsk pamięci Monte Cassino*, stanowiącą zbiór przeżyć uczestników bitwy, m.in. zamieszczono w niej opowiadanie Tadeusza Janiszewskiego i Kazimierza Chrobaka pt. *Po bitwie o Monte Cassino*, mówiące o „krajobrazie po bitwie” oraz wyglądzie wzgórz Monte Cassino i doliny Liri bezpośrednio po przejściu frontu za Piedimonte.

*Helena Nikiel*

## 1. WIGILIJNE SPOTKANIE

Wigilijne spotkania to już tradycja w niektórych Oddziałach Związku Sybiraków. Taką też wieczerzę zorganizowano w Puławach(2006 ), a jej urokowi poddali się wszyscy uczestnicy mimo, iż momentami prowadziła ona w przeszłość i przywoływała smutne syberyjskie Bożonarodzeniowe święta, odległe emocje i doświadczenia. Miłą niespodzianką zebranych sprawiła młodzież jednej z miejscowych szkół średnich, która przybyła na spotkanie wraz z nauczycielką, przynosząc w darze misternie zrobioną szopkę, która przez swoją wyrazistość jeszcze bardziej wprowadzała zgromadzonych w atmosferę będącą pochodną kolędowej pieśni „Wśród nocnej ciszy” i innych śpiewanych przez młodzież przy akompaniamencie gitary.

Przed wigilijną kolacją 2006. Fot. Jerzy Jabłonka.

Wizyta ta, była jeszcze jednym dowodem na to jak we współpracy z nauczycielami można stworzyć harmonijny i spójny świat, „między dawnymi a



nowymi laty”, w pejzażu którego pojawiają się obrazy niosące elementy patriotycznego wychowania, polskiej tradycji i kultury. Prezes Oddziału łamiąc się opłatkiem złożył młodzieży życzenia i podziękował za tak piękny gest, wręczając jej „słodki upominek”, a gronu nauczycielskiemu, które pamiętało o Sybirakach w Puławach przekazał słowa wdzięczności za ukonkretnione zapisem świadomości fakty jakie starają się oni przekazać młodzieży o krętych drogach Polaków na Syberii. Następnie, po wysłuchaniu hymnu Sybiraków, minutą ciszy i w zadumie uczczono pamięć tych, którzy pozostali na nieludzkiej ziemi i tych, których przykryła ziemia ojczysta.

Po tej ceremonii łamiąc się opłatkiem uczestnicy spotkania złożyli sobie życzenia z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W życzeniach przejawiały się słowa oprócz doznań osobistych i rodzinnych także pomyślnych życzeń za Ojczyznę. Przy muzyce i kolędowych śpiewach wspominano wigilie w kolejnych latach na zesłaniu, spędzane w ziemiankach Kazachstanu, w jednoizbowych chatach kołchozów, sowchozów zamieszkiwanych przez kilka rodzin w Krasnojarskim Kraju wśród Chakasów, w osadach przy kopalniach węgla, w obozowych śródleśnych barakach tajgi czy też w sierocińcach, na tych ogromnych przestrzeniach nieludzkiej ziemi.

Kiedy popłynęły słowa kolędy „W żłobie leży” jeden z Sybiraków zwierzył się, że kiedy będąc dzieckiem, matka prowadząc go za rękę, to niosąc, zmęczonego podczas wędrówki od jednego, do znacznie odległego drugiego kołchozu, nie mając gdzie się zatrzymać na odpoczynek widząc zmęczenie dziecka, ułożyła go w żłobie napotkanej stajni. Powiedział: usnąłem od razu w ciepłej sianie. Kiedy przez sen usłyszałem jakieś szmery, obudziłem się i zobaczyłem przed sobą koński łeb. Narobiłem krzyku a klacz podniósłszy głowę zarżała. Wówczas, z któregoś kąta stajni przybiegła mama i zabrała mnie z tego posłania. To wydarzenie pozostanie w mej w pamięci do końca życia – powiedział. Podobnych wspomnień było wiele Przy akompaniamencie akordeonu śpiewano kolędy i inne pieśni zapamiętane z lat młodości.

Jedna z uczestniczek zaśpiewała pieśń, którą nauczył ją dziadek, zesłaniec jeszcze z czasów carskich. Słowa tej nostalgicznej pieśni warto zapamiętać:

Smutna wierzba u jeziora  
Kąpie swój brunatny włos,  
A Polacy co wieczora  
Ślą do Polski z wiatrem głos.

Powiedz wietrze mej rodzinie  
Jak mi smutno tutaj żyć,  
Jak mi smutno ten czas płynie,  
Nie wiem dokąd mam tu być.

Tam znam każdą górkę, rzeczkę,  
Każdy strumyk, każdy gaj  
Tutaj mi jest wszystko obce,  
A las szumi, gdzież twój kraj?

Boże, Ojczy Wszechmogący  
Wzbudź Polakom siłę, wzbudź,  
A nas Boże do Ojczyzny,  
Do ojczystej ziemi wróć.

Wykonawczynię pieśni nagrodzono oklaskami. Rozstając się, uczestnicy spotkania życzyli sobie doczekania w zdrowiu i Ojczyźnianej pomyślności spotkania wigilijnego w następnym roku. Tak więc „Do siego roku”.

*Henryk Skirgajło*

## • LOSY MOICH RODAKÓW

W syberyjskiej wsi Kapyriowo znajduje się duży drewniany dom wybudowany jeszcze w XIX wieku przez polskiego zesłańca Józefa Aleksandrowicza Bruszewskiego ( 1832 – między 1918/1920) Do dzisiaj najstarsi mieszkańcy wsi wspominają dobrym słowem tego człowieka, podobnie jak jego dzieci, uważając ich za symbol i wzór bezinteresownego służenia ludziom i stronom, w którym wypadło im żyć.

Kim więc byli Bruszewscy, jak potoczyły się ich losy? Założycielem tej syberyjskiej rodziny o polskich korzeniach był wspomniany Józef Bruszewski, zesłany za udział w powstaniu styczniowym do wsi Bajkałowoje opodal Abakanu, w Jenisejskiej guberni. Poddane dyktaturze zesłania rygory nie załamały go i starał się zaadaptować do nowych warunków życia z dala od rodzinnego kraju. W policyjnych archiwach zachowały się szczegóły jego rysopisu , jako człowieka dość wysokiego „o piwnych oczach, blond włosach, zwykłych ustach i nosie”. W 1875 r. złagodzono mu rygory zesłania i mógł korzystać z możliwości swobodnego wyboru miejsca pobytu na terenie Syberii. Wybrał więc wieś Kapyriowo leżącą opodal miejscowości Szuszenskoje w powiecie minusińskim. W niej osiadł i pracował zjednując dla siebie uznanie i szacunek otoczenia. Skazany na egzystencję w nowej i niełatwej przecież rzeczywistości, podjął trud odnalezienia siebie i własnego miejsca oraz określenia roli w tym odległym świecie, w którym wypadło mu żyć. Był tu postacią barwną, której życie przeplatało się z realiami wsi, w której mieszkał.

Według wspomnień starych mieszkańców Kapyriowa E. A. Gubanowej i N. N. Gorbunowa, Józef Aleksandrowicz – jak go nazywano – cieszył się szacunkiem mieszkańców wsi i z ufnością odnosił się do nich. Otrzymał nawet od nich zgodę na zagospodarowanie kawałka leżącej odłogiem wioskowej ziemi. Udowodnił, że ubogą glebę można użyźnić, choćby za pomocą rzetelnej pracy na niej. Żył więc z uprawy roli, świetnie gospodarował a siano na uprawianej przez niego łące budziło podziw współmieszkańców ze względu na obfite zbiory. Stał się nawet wykonawcą wozu-rydwanu do przewozu siana oraz wymyślił urządzenie do suszenia i czyszczenia prosa, które uprawiał w niewielkim gospodarstwie. Unowocześnił więc w jakimś stopniu swoje rolnicze zajęcie, zintensyfikował plony i korzystał z dobrodziejstwa uprawianej ziemi. Na skrzyżowaniu dróg w centrum wsi zbudował okazały dom według własnego projektu. Były w nim dwa ganki: jeden od strony frontowego wejścia dla gości, i drugi – rzec można gospodarczy – wychodzący na podwórze rozciągający się za domem. Był więc Pan Jan barwną postacią w tej prowincjonalnej zaściankowości syberyjskiej wsi, któremu udało się sprostać niełatwemu zesłańczemu życiu na obczyźnie.

Pełniejsza wiedza faktograficzna o jego życiu niknie gdzieś w mrocznej codzienności, wiadomo natomiast, że pod koniec lat 70-tch XIX stulecia ożenił się z córką jenisejskiego kozaka Andrieja Monastyrszyna, z osady Altan, Apoli-

narią. Poszedł więc śladami niektórych Polaków przebywających wówczas na zesłaniu w Kapturiowie – Kaczkowskiego, Pawłowskiego, Sokowicza, Marchlewskiego i innych. Część z nich ożeniona była z sybiraczkami, do czego zmuszały nieraz trudy życia w tym surowym kraju, szczególnie odczuwalne przez zesłańców. Założenie rodziny z kobietą z miejscowej społeczności łagodziło te trudności i ułatwiało włączenie się w życie gospodarcze i kulturalne regionu, czy konkretnej miejscowości. Ponadto łagodniała surowość przypisów, które dotyczyły zesłańców, a cerkiew prawosławna nie przeszkadzała w zawieraniu małżeństw między prawosławnymi a katolikami, wymagało to jednak spełnienia określonych warunków regulowanych określonymi postanowieniami władz cywilnych i kościelnych.

Idźmy jednak dalej w tej opowieści. Żonaty już Józef Bruszewski, być może dzięki posagi Apolinarii, otworzył sklep wzbogacając swój status materialny ale i gospodarczo-społeczny pejzaż wsi. Sklep był bowiem ważnym miejscem komunikacji społecznej, w którym robiono nie tylko zakupy ale także wymieniano wiadomości i opinie. Na początku lat 1910. z inicjatywy nauczyciela W. Katanowa postanowiono wznieść we wsi budynek szkolny, bowiem lekcje odbywały się w domu kupca Mironowa. Józef Aleksandrowicz czynnie włączył się do realizacji tego pomysłu, a że miał zaufanie mieszkańców wsi przeto i łatwiej mu było doprowadzić ten pomysł do urealnienia i zebrać część pieniędzy na tę inwestycję wśród miejscowej społeczności. W latach 1912-1913 pod kierunkiem doświadczonego budowniczego W. Bonina został wzniesiony okazały piętrowy budynek szkoły. Tak więc mieszkańcy wsi, zbliżyli się na tyle, na ile było to możliwe do zapewnienia dzieciom elementarnego wykształcenia. Budynek ten istnieje do dzisiaj, zmienił jednak swoją pierwotną funkcję i mieści się w nim wiejski szpital rejonowy. W realizacji tego przedsięwzięcia pozostała także jakaś część organizacyjnego trudu Józefa Aleksandrowicza.

Józef Bruszewski zmarł między 1918 a 1920 rokiem „w sędziwej starości”, zostawiając majątek żonie i synowi Beniaminowi, a jego sklep oraz gospodarstwo liczące kilka dziesięcin ziemi, mimo likwidacji własności prywatnej po rewolucji październikowej w Rosji ostały się przez jakiś czas dzięki autorytetowi i zasługom jakie wniósł w rozwój wsi, w której mieszkał i cieszył się szacunkiem. Wspomniany syn Bruszewskich był jedynym dzieckiem Józefa i Apolinarii. Data jego urodzin oraz śmierci nie są znane. Przypuszczalnie urodził się między 1879 a 1881 rokiem. Kształcił się początkowo w szkole średniej w Krasnojarsku, a potem w Moskwie gdzie uzyskał dyplom inżyniera energetyka. Do wsi rodzinnej przyjeżdżał rzadko. Często bywał w delegacjach zagranicznych w Belgii, Francji i innych krajach. Kierował bowiem zakupami sprzętu elektrotechnicznego dla potrzeb rozwijającego się przemysłu w Rosji. Był także członkiem zespołu specjalistów opracowujących plan elektryfikacji Związku Radzieckiego. Przyjeżdżając na urlop do Kapturiowa gdzie mieszkała jego matka, zadziwiał mieszkańców tym, że w porze letniej często chodził boso po wsi i radził innym czynić to samo, bowiem jak mówił był to jeden z skuteczniejszych sposobów bezpośredniego kontaktu z naturą i nade wszystko cenił sobie odpoczynek na łonie przyrody.

O życiu rodzinnym inżyniera Beniamina Bruszewskiego nie wiele zachowało się wiadomości. Wiadomo jedynie, że był żonaty. Po ślubie i urodzeniu się

---

około roku 1910 córki Luizy (Lucyny) Bruszewscy wzięli na wychowanie osieroconą dziewczynkę z chłopskiej rodziny Anię Melnikową. Obie dziewczynki były wychowane jako rodzone siostry. Córka Bruszewskich ukończyła chemię na Uniwersytecie w Tomsku. Pracowała jako inżynier-chemik w jednym z ze specjalnych zakładów pracujących na potrzeby wojska.

Dom rodziny Bruszewskich. Fotografia z roku 2006.

## Rodzina inżyniera W O. Bruszewskiego. Minusińsk 1928 r.

W latach II wojny światowej w Kapyriowie odbywało się szkolenie snajperów spośród dziewczyn Szuszynskiego powiatu. Po ukończeniu szkolenia przybrana córka Bruszewskich – Anna Grigoriewna Melnikowa w 1942 roku jako ochotniczka poszła na front i walczyła w plutonie dziewczyn-snajperów. Po wojnie wróciła do rodzinnej wsi. U niej zachowały się niektóre rzeczy Bruszewskich i w latach 70-tych ubiegłego wieku Anna Grigoriewna przekazała je, w tym zdjęcie rodziny, do muzeum w miasteczku Szuszenskoje, w którym znajdują się pamiątki z pobytu na zesłaniu W. Lenina w tej miejscowości. Na jednym ze zdjęć widzimy – Beniamina, jego córkę Luizę i matkę Apolinarię, wdowę po Józefie Aleksandrowiczu. Zdjęcie było zrobione w 1928 roku w minusińskim zakładzie fotograficznym R.F. Stunczusa.

Tablica na ścianie domu Józefa Bruszewskiego, informującą o tym, że w latach drugiej wojny światowej znajdował się tam Dom Dziecka.

Interesującym jest los domu Bruszewskich, który do tej pory znajduje się w centrum wsi. W 1944 roku zorganizowano w nim jedyny w powiecie Szuszenskim dom dziecka dla sierot i dzieci ewakuowanych z europejskiej części kraju. Dom ten istniał do początku lat 50-tych, potem zaś mieścił się w nim zarząd miejscowego kołchozu, a następnie biblioteka znajdująca się tutaj do dzisiaj. W 2001 roku z udziałem polskiej delegacji ze Związku Sybiraków odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej Józefowi A. Bruszewskiemu oraz upamiętniającej znajdujący się w tym budynku dom dziecka. W bibliotece znajduje się też mała ekspozycja poświęcona Bruszewskim, na której centralne miejsce zajmuje kopia zdjęcia ich rodziny. Tak więc trzy pokolenia Bruszewskich wniosły znaczny wkład w historię syberyjskiej wsi Kapturiowo i pamięć o nich przetrwała do naszych dni.

Redakcja „Zesłańca” publikując tekst Rubiny Kiemalowej uczennicy ze szkoły w Kapturiowie na dalekiej Syberii, powstały z inspiracji jej nauczyciela Aleksago Boguckiego ma nadzieję, że ta skromna saga o polsko-syberyjskiej rodzinie Bruszewskich ożywi źródła myśli o wielu podobnych, które w czasach niewoli zawędrowały za Ural i przyczyni się do wiedzy o polskich korzeniach tych rodzin mieszkających do dzisiaj na Syberii. Wiemy z wielu relacji polskich zesłańców na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego ZSRR z okresu drugiej wojny światowej oraz z pierwszych lat po jej zakończeniu, że spotykali oni tam podobne rodziny przechowujące świadomość swoich polskich korzeni. Radzi będziemy za informacje na ten temat a pełniejsze sagi o polsko-syberyjskich rodzinach będziemy publikować na naszych łamach. Za tę o rodzinie Bruszewskich dziękujemy serdecznie jej autorce.(red.).

*Rubina Kiemalowa*

*Tłumaczenie z języka rosyjskiego Olesia Szwec*

#### • IZBA PAMIĘCI W SZKOLE IM. SYBIRAKÓW W SZCZECINIE

W dniu 20 kwietnia 2007 roku odbyło się uroczyste otwarcie Izby Pamięci w Gimnazjum nr 7 im. Sybiraków w Szczecinie. Honory gospodarza pełniła dyrektor Ewa Zagubień. Zaproszeni goście to: prezes Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Szczecinie Iwona Biedulska, wraz z wiceprezesem Aleksandrem Nizowiczem, ks. Tadeusz Szponar, kierownik Działu Edukacji Muzeum Narodowego w Szczecinie Krystyna Milewska, inspektor Wydziału Oświaty Urzędu Miasta Szczecina Andronika Maciejewska-Wyryszuk, prezes Koła Sybiraków „Śródmieście” w Szczecinie Edward Kowalski, prezes Koła Sybiraków „Słoneczne” w Szczecinie Ryszard Rybicki oraz przewodniczący Rady Osiedla „Majowe” Mirosław Sienkiewicz, Sybiracy.

Fakt utworzenia Izby Pamięci zasługuje na uwagę z kilku względów:

- ❖ po pierwsze, nastąpiło to w bardzo krótkim czasie po nadaniu imienia Sybiraków szkole, które odbyło się dnia 29 września 2006 roku. Dyrektor szkoły, nauczyciele i uczniowie włożyli sporo pracy w powstanie tej izby.
- ❖ po wtóre, sama uroczystość składała się z kilku odrębnych, a jednocześnie integralnych części,

- ❖ po trzecie, była to lekcja historii o sporym ładunku faktograficznym i emocjonalnym, a jednocześnie okazja do wspomnień zaproszonych Sybiraków.

Jak wspomniałem, całość uroczystości została bardzo dobrze skomponowana. I tak: przy wejściu do szkoły stali uczniowie, którzy kierowali Sybiraków i zaproszonych gości do sali na poczęstunek (herbata, kawa, ciasto). Potem zaproszono wszystkich do świetlicy szkolnej na program słowno-muzyczny oparty na wspomnieniach Sybiraków. Stanowił on swego rodzaju wprowadzenie do następnego punktu programu. Przy akompaniamencie pianina, gitary i skrzypiec, zobrazowano moment wywózki, to jest wkroczenie do domostw grup operacyjnych NKWD. Zostało też ukazane przerażenie dzieci nową sytuacją tak w transportach deportacyjnych, jak i w miejscach zsyłki. Przedstawiono też dość obrazowo pracę ponad siły dorosłych, a szczególnie troskę matek o własne dzieci. Zaakcentowano też jeden z głównych problemów deportacyjnego życia – zdobywanie żywności. Nie pominięto również kwestii śmierci i pogrzebu, integralnie ze sobą powiązanych. Wprowadzające w zadumę słowa: „trumienka ze zwykłych nieociosanych desek. Samotny pogrzeb dziecka w stepie”.

I jako sekwencja: „ubić, zagłodzić, stłamsić Polaków”.

Na zakończenie tej części zaśpiewali pieśń. Oto niektóre jej słowa: „o życie, życie, kocham cię nad życie... uparcie i skrycie, życie, kocham cię nad życie”.

Ostatnie słowo: **N a d z i e j a**.

Następne części uroczystości to zwiedzanie wystawy składającej się z kilkunastu prac plastycznych uczniów. Prace te uderzają swoją prostotą i prawie idealnie oddają rzeczywistość. Te właśnie walory nadają im wartość. Widziałem płaczącego Sybiraka przy jednej z prac. Po obejrzeniu wystawy udano się do Izby Pamięci, której otwarcia dokonali: Iwona Biedulska, Ewa Zagubień, Andronika Maciejewska-Wyryszczek oraz przedstawiciel uczniów Łukasz Nowacki. Następnie ksiądz proboszcz T. Szponar dokonał aktu poświęcenia Izby Pamięci. Z kolei I. Biedulska, E. Zagubień i R. Rybicki wręczyli dyplomy uznania za upamiętnienie wartości patriotycznych, obywatelskich, poszanowania tradycji narodowych i niepodległościowych oraz realizację idei sybirackich. Dyplomy otrzymali Sybiracy z Koła „Słoneczne”: Krystyna Robert, Waleria Sosińska, Zbigniew Galant, Jan Remsza, Franciszek Kowalski, Stanisław Fudali.

W Izbie Pamięci wyeksponowano: mapę miejsc zsyłek, pamiątki Sybiraków z zesłania: zdjęcia, świadectwa szkolne, prace wykonane przez uczniów obrazujące czas zsyłki i inne. Na naczelnym miejscu Izby znajduje się godło Sybiraków. Przebywając w tym przybytku pamięci, nasuwa się pewna refleksja: urządzenie Izby i ekspozycje siłą rzeczy ukazują zło, które człowiek może wyrządzić człowiekowi, a jednocześnie tworzą atmosferę hartu ducha, patriotyzmu i niezłomnej postawy. To jednocześnie atmosfera przestrogi przed wszelkim totalitaryzmem.

I stwierdzenie natury ogólnej: myślę, że w każdej szkole noszącej imię związane z Sybirem, powinna być taka Izba Pamięci.

*Ryszard Rybicki*

- **60 LAT OSADNICTWA SYBIRAKÓW NA ZIEMI GRYFIŃSKIEJ**

W 2006 roku obchodziliśmy 60 rocznicę przyjazdu Sybiraków na Ziemię Gryfińską. Aby uczcić to wydarzenie Zarząd Koła Terenowego Związku Sybiraków w Gryfinie ogłosił konkurs wśród młodzieży szkolnej na najlepszą pracę na temat: „Mali zesłańcy Sybiru”. Zorganizowano też dla młodzieży gimnazjalnej z miasta i gminy projekcję filmu dokumentalnego produkcji angielskiej pt. „Zapomniana Odyseja”. Zaproponowano również władzom oświatowym nadanie jednej ze szkół imienia Sybiraków.

O powrocie obywateli polskich z zesłania do kraju zadecydował układ sił militarnych, politycznych i gospodarczych w Europie po zakończeniu II wojny światowej. Znaczący też był udział Armii Polskiej walczącej z Niemcami u boku aliantów zachodnich i Armii Czerwonej. Wiadomość o powrocie do Polski Sybiracy przyjęli z wielką radością. Pamiętam, jak rzucali się w objęcia, płakali, dziękowali Bogu i śpiewali patriotyczne pieśni. Nędznie ubrani, niedożywieni, upokorzeni, ale weseli! Wracali w towarowych wagonach, ale już bez konwoju zbrojnego, bez okratowanych okien i bez zamykanych drzwi od zewnątrz. Po przekroczeniu granicy państwowej w Brześciu nad Bugiem wychodzili z wagonów, klękali i całowali ziemię polską.

Przybywające transporty naszych rodaków z Syberii kierowane były na Zachód. Jak się wtedy ładnie mówiło na Ziemi Odzyskanej. Takie były motywacje polityczne ówczesnych władz Polski oraz decyzje „Wielkiej Trójki” na konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Po przybyciu na miejsce nie byli bezradni. Zajmowali pusto stojące ponemieckie mieszkania i domy. Uprawiali ziemię i siali zboże. Troszczyli się o szkoły, kościoły oraz usuwali zniszczenia wojenne. Przywieźli tu swój sposób życia, tradycje i obyczaje. Byli zdziwieni, że w Polsce Ludowej milczy się o deportacji Polaków w głąb ZSRR. Ubolewali, że historia ta jest zapomniana, fałszowana i źle interpretowana. Nie było jej nawet w podręcznikach szkolnych. Ba, nawet w życiorysach trzeba było ukrywać ten fakt, no chyba, że ktoś licząc na apanaże komunistycznych władz pisał w życiorysie: „w czasie wojny przebywałem na gościnnej ziemi radzieckiej”. O ironio, jakaż to była „gościnna ziemia”!

Historia zesłańców polskich zmieniła się całkowicie, gdy w grudniu 1988 roku reaktywowano Związek Sybiraków. Ustanowiony został przez Sejm RP Krzyż Zesłańców Sybiru jako wyraz narodowej pamięci o obywatelach polskich deportowanych w latach 1939-1956 na Syberię, do Kazachstanu i Północnej Rosji, w hołdzie dla ich męczeństwa oraz wierności ideałom wolności i niepodległości. Pojawiły się opracowania dotyczące zesłań i deportacji, ukazują się wspomnienia Sybiraków, powstają liczne znaki pamięci związane z dziejami Polaków na Syberii – pomniki, nazwy ulic, tablice pamiątkowe, symboliczne krzyże itp. Są w kraju sanktuaria sybirackie, do których corocznie odbywają się pielgrzymki, a do tradycji zaliczyć już można „Marsz Zesłańców Sybiru” odbywający się corocznie w Białymstoku i gromadzący liczne rzesze sybirackiej społeczności oraz młodzież.

60. rocznica powrotu naszych rodaków z Syberii była stosowną okazją do zapoznania się z działalnością Koła Terenowego Związku Sybiraków w Gryfinie. Szczególne osiągnięcia Koła to: sztandar, tablice pamiątkowe, Plac Pamięci Sybiraków oraz pomnik – Golgota Wschodu na Cmentarzu Komunalnym. Dzięki staraniom prezesa Koła Antoniego Raka i władz samorządowych miasta, sprowadzono do Gryfina cztery rodziny z Kazachstanu. Sybiracy biorą aktywny udział we wszystkich uroczystościach lokalnych miasta i gminy oraz uroczysto-



ściach państwowych i związkowych. Pamiętają i modlą się za tych zesłańców, którzy nie wrócili do Polski i pozostali na zawsze w syberyjskiej ziemi.. Gromadzą się na spotkaniach opłatkowych z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Rangę tych uroczystości podnosi obecność władz samorządowych, kościelnych i oświatowych. Cieszy się, że w uroczystościach masowych uczestniczą poczty sztandarowe, kompania honorowa WP, harcerze, młodzież szkolna, organizacje społeczne i zakłady pracy.

Udanym przedsięwzięciem była projekcja filmu dokumentalnego dla młodzieży gimnazjalnej w Gryfińskim Domu Kultury o przemocy sowieckiej i cierpieniu zesłańców na nieludzkiej ziemi, pomiędzy Uralem a Kamczatką w czasie II wojny światowej. Uwypuklone zostały w nim wzruszające sceny ciężkiej pracy fizycznej, głodu i mrozu. Frekwencja młodzieży była zadziwiająca. Organizatorzy byli zadowoleni z tego kontaktu z młodzieżą podczas którego Sybiracy jako autentyczni świadkowie wydarzeń tamtych lat opowiadali o tych czasach pogardy, niewoli i zesłań. Było to prawdziwe patriotyczne spotkanie.

*Kazimierz Stranc*

- **SZKOŁA W RADZISZEWIE MA IMIĘ –  
MAŁYCH ZESŁAŃCÓW SYBIRU**

Radziszewo to niewielka miejscowość nad Odrą w gminie Gryfino. Tu 29 listopada 2006 roku odbyła się uroczystość nadania szkole imienia Małych Zesłańców Sybiru. Szkoła przyjęła tę nazwę aby przywołać i czcić pamięć najbardziej niewinnych i bezbronnych ofiar drugiej wojny światowej – dzieci (tułacze dzieci – świadkowie Golgoty Wschodu). Na Ziemi Gryfińskiej mieszka dużo Sybiraków bowiem 60 lat temu przyjechały tu wagony naszych rodaków z dalekiej Syberii, którzy deportowani byli tam przez władze sowieckie z terenów wschodniej Polski. Gryfino i okolice w 1946 roku stały się dla nich przystanią do osadnictwa, gdyż ziemię, na których mieszkali przed wojną, należały już do Związku Radzieckiego. Na Ziemię Odzyskane (jak się wtedy ładnie mówiło) kierowani byli też repatrianci zza Bugu.

Każdy jubileusz skłania do wspomnień, zadumy, przywołania chwil i obrazów z przeszłości. Jednym z trwałych znaków pamięci o zesłaniach jest nadanie szkołom imienia Sybiraków, które przez to stają się nośnikami historii związanej z deportacją Polaków w głąb ZSRR w czasie II wojny światowej. Taką placówką w gminie Gryfino, która przyjęła imię – Małych Zesłańców Sybiru, jest Szkoła Podstawowa w Radziszewie.

Uroczystość nadania szkole tego imienia odbyła się w miejscowym kościele. Hasłem i myślą przewodnią tej uroczystości były umieszczone w środku świątyni wymowne słowa naszej słynnej piosenkarki i aktorki Hanka Ordonówny: „Wam, małym wiekiem, lecz dojrzałym cierpieniem – tułaczym dzieciom”. W czasie II wojny światowej Hanka Ordonówna znalazła się na terenach okupowanych przez ZSRR, została aresztowana i wywieziona do obozu pracy w Uzbekistanie. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej i zawarciu układu Sikorski-Majski (1941) została zwolniona z obozu. Po dotarciu do armii generała Władysława Andersa podjęła się ratowania polskich dzieci, które znalazły się w ZSRR. Aktorce udało się z pomocą męża – Michała hrabiego Tyszkiewicza –

wywieść kilkaset dzieci na Bliski Wschód, gdzie sierotami zaopiekowały się polskie placówki.

Ceremonia nadania szkole im. Małych Zesłańców Sybiru rozpoczęła się wprowadzeniem licznych pocztów sztandarowych (szkolnych, harcerskich, sybirackich) do kościoła i odśpiewania hymnu narodowego. Jej rangę uświetniło też przybycie znakomitych gości: kierownika Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, ministra Janusza Krupskiego, członka Prezydium Zarządu Głównego Związku Sybiraków – Jadwigi Ostrowskiej, pełnomocnika wojewody zachodniopomorskiego ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych – Lecha Jakóbowskiego, dyrektora Szkoły Podstawowej w Żabnicy – Sławomira Fuksa, autora hymnu Szkoły Podstawowej im. Małych Zesłańców Sybiru w Radziszewie, władz samorządowych i oświatowych, kombatantów, strażaków, Sybiraków, delegacji szkół i chóru „Kombatant” ze Szczecina.

Na zdjęciu minister Janusz Krupski, kierownik Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych w asyście Antoniego Raka prezesa Związku Sybiraków w Gryfinie odznacza Krzyżem Zesłańców Sybiru członkinię Związku Sybiraków z Gryfina.

Wymownym akcentem na tej uroczystości były odznaczenia państwowe, sybirackie i kombatanckie. Otrzymali je zasłużeni nauczyciele, Sybiracy, ks. proboszcz oraz działacze samorządowi, szkoła zaś otrzymała w prezencie od Sybiraków ładne i wymowne logo, które zostało umieszczone nad głównym wejściem do budynku szkoły. Po odczytaniu aktu nadania szkole imienia nastąpiło poświęcenie pięknego sztandaru, ufundowanego przez Sybiraków z Koła Terenowego w Gryfinie oraz przekazanie go społeczności uczniowskiej, która złożyła wzruszające ślubowanie dotyczące kultywowania pamięci o polskich losach na Syberii.

Część artystyczna w wykonaniu uczniów miejscowej szkoły, oparta była na przeżyciach małych zesłańców Sybiru. Pomysłowa aranżacja tego widowiska sprawiła, że widzowie i wykonawcy doświadczali przeżyć sprzed lat, oczami wyobraźni widziano straszliwą wojnę, zapłakanych i zatroskanych rodziców. Słyszały głośnie stukanie Sowietów do drzwi, gdy przyszli aby ich wywieźć z Ojczyzny. Pytały rodziców: „Dlaczego w wagonie jest ciemno i zimno? Dlaczego tak długo jedziemy i dokąd?” Po 30 dniach podróży ujrzały krainę surowej natury – wschodniosyberyjskie lasy. Mrozy dochodziły tam do  $-50^{\circ}\text{C}$ , a latem dokuczały owady. Brakowało chleba, mleka, soli i cukru. Nie było polskiej szkoły ani kościoła. Oprawę tej inscenizacji stanowiły autentyczne zdjęcia ukazujące się na ekranie oraz sugestywny podkład muzyczny. Z wiązką pieśni patriotycznych wystąpił też chór „Kombatant”, który na zakończenie zaśpiewał hymn Sybiraków, wspomniał pieśń której tekst napisał znany aktor, poeta i zesłaniec do Kazachstanu, niezapomniany śp. Marian Jonkajtys.

Wystąpienie ks. proboszcza – Jacka Fabisiaka, dyr. Szkoły – pani Heleny Gęśłowskiej, prezesa Koła Terenowego Związku Sybiraków – Antoniego Raka oraz gości zaproszonych: ministra Janusza Krupskiego, członka Prezydium Zarządu Głównego Związku Sybiraków – Jadwigi Ostrowskiej, dyr. Szkoły podstawowej w Żabnicy – Sławomira Fuksa, dotyczyły roli szkoły w środowisku oraz kreowania takich postaw uczniowskich jak wrażliwość na ludzką krzywdę i uczciwość w codziennym życiu. Podkreślano, że hasło na sztandarze szkolnym: „Bóg, Honor, Ojczyzna – Nauka – Cnota – Wiara – Wolność – Wierność”, jest wyrazem piękna, prawdy i sprawiedliwości we wszystkich wymiarach życia. Symbolem minionego wieku stały się bydłące wagony wiozące wysiedlonych Polaków na „niehumanitarną ziemię” – powiedział minister Janusz Krupski. Ziemia polska była w przeszłości ziemią bohaterów i ludzi zniewolonych, ale Naród przetrwał, bo miał głęboką wiarę i miłość do Ojczyzny.

W pokornej zadumie podczas całej uroczystości pogłębiły się i nasze refleksje jako Sybiraków. 66 lat temu byliśmy w wieku tych dzieci – małymi zesłańcami Sybiru, o których mówiono tak wiele na tej uroczystości. Kojarzyły nam się okolice Irkucka nad Bajkałem. Bezkresne lasy naznaczone obecnością Polaków. Tu po upadku powstania styczniowego na 10 lat katorgi syberyjskiej skazany był Józef Kalinowski, późniejszy karmelitański święty – ojciec Rafał. Beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II w 1983 roku a 17 listopada 1991 roku wyniesiony na ołtarze. Święty Rafał Kalinowski stał się Patronem Sybiraków.

Dalsza część uroczystości odbyła się w budynku szkolnym, gdzie można było obejrzeć ciekawą wystawę prac konkursowych dzieci i młodzieży szkół gryfińskich pod nazwą „Mali Zesłańcy Sybiru”, zdjęcia z pobytu Polaków na Syberii oraz kolekcję odznak wojskowych i orzełków, którą zorganizowali wnukowie Sybiraków ubrani w oryginalne mundury ułanów podolskich. Można było też wpisać się do Kroniki Szkolnej i Księgi Pamiątkowej Sybiraków, a niektóre z tych tekstów wyrażały refleksję o czasach minionych, pamięć i podziękowanie wyrażające się słowami: „nie zapomnimy i nie pozwolimy zapomnieć innym”; „dziękujemy organizatorom za przywołanie tej historii”; „były to lekcje patriotyzmu, jak kochać i cenić Ojczyznę”

*Kazimierz Stranc*

- **NOWA SZKOŁA IM. ZESŁAŃCÓW SYBIRU**

W dniu 8 maja 2007 roku w Piławie Górnej (pow. Dzierżoniów) odbyła się piękna i wzruszająca uroczystość nadania miejscowemu gimnazjum imienia Zesłańców Sybiru. Dla Wrocławskiego Oddziału Związku Sybiraków ma to wydarzenie szczególne znaczenie – jest to bowiem pierwsza na Dolnym Śląsku szkoła, która za patrona przyjęła nas Sybiraków. Inicjatywę nadania jej takiego imienia podjął prezes Koła Związku Sybiraków w Dzierżoniowie Eugeniusz Kuszka, a młodzież, nauczyciele, rodzice i wreszcie Rada Miasta w Piławie Górnej inicjatywę tę poparli.

Podczas uroczystości został poświęcony i przekazany szkole sztandar ufundowany przez Sybiraków, poświęcona i odsłonięta została tablica z nazwą szkoły oraz tablica na obelisku usytuowanym na szkolnej posesji.

W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, orkiestra i kompania honorowa Wojska Polskiego, liczne poczty sztandarowe, organizacje kombatanckie, Sybiracy, rodzice i przede wszystkim młodzież, dla której było to autentyczne patriotyczne przeżycie.

*Włodzimierz Kowalczyk*

#### • GDZIE PRAWDA?

Członek prezydium Zarządu Głównego Związku Sybiraków, przewodnicząca Komisji Współpracy z Zagranicą Jadwiga Ostrowska zwróciła się do Rady Naukowej naszego Związku z prośbą o pomoc w sprawie odtworzenia prawdziwych danych dotyczących liczby osób wywiezionych z Kresów Wschodnich na tereny byłego Związku Sowieckiego. Komisje Historyczna i Współpracy z Zagranicą zwracały się w tej sprawie do IPN, Ośrodka „Karta”, IPN w Gdańsku, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urzędu ds. Kombatanatów i Osób Represjonowanych w powyższej sprawie. Niestety, żadna z wymienionych instytucji nie raczyła nawet odpowiedzieć. Obecne oficjalne dane podają, według źródeł rosyjskich, rzekomo na podstawie archiwów, w tym ilości transportów, znacznie zaniżone dane, około 400 tysięcy osób. Jest to liczba zakłamana. Związek Sybiraków oczekuje na wyjaśnienie tej sprawy i to nie dlatego by pomnażać ilościowy obraz martyrologii naszego Narodu, ale przede wszystkim dlatego aby w przyszłości, gdy już nas nie będzie unikać sytuacji, że nikt nie będzie dążył do wyjaśnienia tej prawdy!

Opierając się na pracach Piotra Żaronia, Juliana Siedleckiego i innych autorów opracowujących materiały historyczne, liczba wywiezionych mogła dotyczyć nawet około 1.200.000. Autorzy tych opracowań opierali się na danych m.in. z Instytutu im. J. Piłsudskiego w Londynie oraz innych materiałach. Gdzie jest więc prawda!?

W periodyku „Nasza Polska” nr 16 z dnia 17 kwietnia 2007 roku ukazał się artykuł J. Sawickiego i W. Terleckiego pt. *Próba zakłamania dziejów*. Autorzy podali w wątpliwość dotychczasowe dane o obywatelach Polski, którzy zginęli w obozach niemieckich i mordowanych poza nimi. Podobnie ma się sytuacja z ofiarami systemu sowieckiego, z nami Sybirakami.

Gdzie jest prawda? Należy co rychlej skorygować współczesne fałszerstwo w tym zakresie, a przynajmniej nie podawać arbitralnych liczb dotyczących wywiezionych na Sybir!!! Jednocześnie zwracamy się do wszystkich osób, które mogłyby pomóc w ujawnieniu prawdy, by nawiązali kontakt ze Związkiem Sybiraków! Są to bowiem sprawy godne rozważenia i co rychlej należy podjąć próbę ich wyjaśnienia poprzez utworzenie specjalnego programu badawczego.

Ostatnio upomniał się o to Stanisław Rymaszewski w książce zatytułowanej *W obronie zaginionych krzyży. Protest Sybiraka*, wydanej w Gdańsku w 2006 roku, napisanej z potrzeby zwrócenia uwagi historyków, którzy upowszechniają nieprawdziwe sady, co nas Sybiraków boli! (Zobacz omówienie książki S. Rymaszewskiego w tym numerze „Zesłańca, w dziale „Regał z książkami”).

Przypominam, że gdy reaktywowano nasz Związek liczył on prawie 100 tysięcy, z gen. Władysławem Andersem wyszło z ZSRR prawie 140 tysięcy (wliczając w to żołnierzy i ludność cywilną), a ponadto wielu spośród nas Sybiraków znalazło się w wojsku polskim tworzonym przez płk Zygmunta Berlinga, dziesiątki tysięcy osób zmarło na zesłaniu, wiele zmarło po powrocie do kraju. Powtarzam: gdzie jest więc prawda? W tzw. indeksach represjonowanych wydawanych przez „Kartę” wiele osób nie może odnaleźć swoich nazwisk, wiemy też, że nie zachowały się wszystkie tzw. ewidencje konwojowe, zwłaszcza te dotyczące ostatniej wywózki w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku. Znam takie transporty z woj. tarnopolskiego, których nie ma w sowieckich spisach.

Gdzie więc jest prawda powtarzam! I zarazem pytam!!? Kto mi odpowie? Może wreszcie Instytut Pamięci Narodowej uczyni tematyką sybiracką ważnym elementem swoich badań.

*Wiesław Krawczyński*

***Każdy członek Związku Sybiraków  
czytelnikiem „Zesłańca”***





---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **G. S. Bildziukiewicz, *Żiwopisnyj albm s priloženijem kratkogo opisanija zamieczatelniejszych widow i miestnostiej na bieregach r. Szilki, Amura i Wostocznego Okieana 1859*. Sostawitiel E[katerina] N. Tumanik, Nowosybirsk 2006, s. 124 i ilustracje.**

Jednym z efektów transformacji ustrojowej w Polsce oraz byłym Związku Radzieckim jest podjęcie rzeczowych studiów nad dziejami diaspory polskiej w Rosji. W Polsce problemem tym zajmuje się wiele organizacji i instytucji: w pionie korporacyjnym Komisja Badań nad Historią Syberii Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, a w pionie instytucjonalnym – głównie Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego. Ostatni, sprawnie kierowany przez prof. dr. hab. Antoniego Kuczyńskiego, od lat organizuje wielkie konferencje międzynarodowe, zawsze dokumentowane znaczącymi publikacjami. Jedną z nich w 2002 r. ukazała się w Moskwie pt. *Sibir w istorii i kulture polskiego naroda*. Jest ona cytowana przez historyków rosyjskich w niniejszym opracowaniu, przygotowanym do druku przez E. N. Tumanik, wydawca powołuje się na dwa opracowania z tego tomu: Janiny Wołczuk i Antoniego Kuczyńskiego. W innych publikacjach, jakże często, znajdujemy odwołania do ustaleń Kuczyńskiego przedstawionych w książce *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory* (ostatnia, trzecia edycja we Wrocławiu w 1998 r.).

Rękopis wraz z rysunkami krajobrazów Syberii Wschodniej Hektora Bildziukiewicza (później Bildziukiewicza) z 1859 r. odnalazła wspomniana już E. N. Tumanik w Oddziale Rękopisów Rosyjskiej Biblioteki Narodowej, a jeden z dołączonych dokumentów w Rosyjskim Archiwum Państwowym Dalekiego Wschodu. Tekst H. Bildziukiewicza poprzedziła starannym komentarzem wstępnym. Skomentowała również tekst autora albumu, a także starannie opisała zachowane w nim rysunki krajobrazów syberyjskich. Sześć z nich zakwalifikowała do publikacji (w zmniejszeniu). Przedstawiła także herb rodziny oraz sporządzone przez autora albumu – w języku polskim – drzewo rodu Bildziukiewiczów. Ze zrozumiałych względów nie podała jednak narodowości autora i artysty; bo w XIX w. w Rosji spraw tych nie ujmowano w dokumentach jednoznacznie. Podała jednak, że ród został wylegitymowany w 1802 r. i wywodził się z Wileńszczyzny, a ojciec Hektora – Stanisław miał swoją posiadłość w powiecie wileńskim. W domu mówiono po polsku. Byli wyznania rzymsko-katolickiego, podobnie jak i żona artysty Emiliana Irzykiewicz.

Autor książki urodził się w 1829 r. Studiował prawo w Uniwersytecie Kijowskim, który ukończył w 1852 r. i niemal natychmiast dobrowolnie z żoną udał się do pracy we Wschodniej Syberii. Do Irkucka dotarli bodaj na początku 1853 r., wówczas gdy zarządzał tą częścią imperium sławny generał Mikołaj Murawiew-Amurski. To właśnie jemu dedykował swój album, który wykończył w latach 1858-1859, ale szkice do obrazów sporządzał od początku pobytu za Uralem. Wtedy też zaczął gromadzić materiały do opracowania wstępnego, stanowiącego opis geografii, historii i etnografii. Niezwykły wprost obserwator przyrody i ludów tubylczych Syberii, a przy tym bardzo wnikliwy znawca spraw związanych z podbojem przez Rosję terenów Syberii Wschodniej. Dość wspomnieć, że kilkakrotnie przywołuje Nikifora Czernichowskiego – w nawiasie zaznaczył: Litwin z pochodzenia – który walnie przyczynił się do podboju przez Rosjan dorzecza Amuru. Píše także o traktacie nerczyńskim z 1689 r. zawartym między Chinami i Rosją, z udziałem duchownych Polaków w obu pertraktujących stronach (w grupie rosyjskiej był S. Kornicki), bo językiem międzynarodowym była wtedy łacina.

Bildziukiewicz był urzędnikiem państwowym w różnych miejscach: w okolicach Irkucka i Czyty, ale także w Nerczyńsku i Giżyndze (w pobliżu Kamczatki). W Nerczyńskim Urzędzie Górniczym pracował jeszcze w 1870 r., choć zapewne miał już uprawnienia do emerytury. Są przekazy, że zmarł około 1890 r. na Syberii. Tych danych dociekliwa autorka nie zdołała jednak ustalić jednoznacznie. Bildziukiewicz jako prawnik o romantycznym usposobieniu, był przede wszystkim krajoznawcą. Nie ukrywał, że dźwięk kajdan zesłańców burzy harmonię przyrody na Syberii. Fascynował się pięknem krajobrazów, w których wielkie rzeki i majestatyczne góry tworzyły ramy jego obrazów. Z pewnością był dużej klasy malarzem, acz bez studiów specjalistycznych. Wierniej przedstawiał krajobrazy górskie niż wielu romantycznych malarzy środkowej Europy tego czasu. Musiał więc sporo wysiłku wkładać w realizację swych pasji krajoznawczych.

Hektor, syn Stanisława, Bildziukiewicz był zatem jednym z Polaków, którzy dobrowolnie wybrali Syberię jako miejsce pracy. Było ich wtedy wielu, choć na ogół – dorobiwszy się na krańcach imperium – starali się wracać w strony rodzinne. On zapewne został, choć mógł urlopy spędzać u rodziny na Kresach. Z pewnością drukował w prasie miejscowej, bo przecież jest odnotowywany w zabajkalskich informatorach jako krajoznawca. Jest więc szansa na dalsze ustalenie szczegółów jego życia, a w tym jego stosunku do zesłanych zwłaszcza do Nerczyńska naszych rodaków. Do takich poszukiwań szczerze namawiam autorkę omawianego tu „Albumu”.

Odnotować należy, że publikacja została zrealizowana w ramach planu badawczego (grantu) Oddziału Syberyjskiego Rosyjskiej Akademii Nauk w Instytucie Historii, Filologii i Filozofii w Nowosyberyjsku. Wydano ją starannie i z ogromną kulturą edytorską opatrując książkę interesującymi ilustracjami autora albumu. Niestety książka ukazała się w nakładzie 300 egzemplarzy (z tego bodaj 10 dotarło do Polski. Mimo to *Žiwopisnyj albom* będzie bardzo przydatny dla historyków zajmujących się dziejami Syberii, m.in. tym, którzy powinni zabrać się do ogłoszenia krytycznej edycji Agatowa Gillera *Opisanie Zabajkal-*



*skiej krainy w Syberii*, książki polskiego zesłańca prawdopodobnie kontaktującego się z Hektorem Bildziukiewiczem.

Zbigniew J. Wójcik

- **Piotr Biliński, *Moszyńscy. Studium z dziejów łoniowskiej linii rodu w XIX wieku*, Kraków 2006, Uniwersytet Jagielloński – Biblioteka Jagiellońska, s. 344.**

Odejście w przeszłość epoki PRL umożliwiło szeroki nieskrępowany rozwój badań w wielu różnych dziedzinach. Jedną z nich są losy ziemiaństwa. W ten nurt wpisuje się praca Piotra Bilińskiego poświęcona linii łoniowskiej rodu Moszyńskich w XIX w.

Poza wstępem i zakończeniem omawiana książka dzieli się na cztery rozdziały. W pierwszym, mającym charakter antecedencji, przedstawiono przodków łoniowskiej linii Moszyńskich. Kolejny rozdział – wyraźnie najobszerniejszy – poświęcony jest najwybitniejszemu przedstawicielowi rodu w XIX w., Piotrowi. W następnym skoncentrowano się na ukazaniu kontrowersyjnej postaci Jerzego Moszyńskiego, „błędnego rycerza przegranych spraw” jak nie bez racji określił go Autor. Zamykający książkę rozdział: „Spadkobiercy” stanowi zbiór niewielkich biografii mniej ważnych przedstawicieli tej części rodu żyjących na przełomie XIX i XX wieku. Przedstawiono tu także w skrócie losy ostatnich członków linii łoniowskiej (wymarła w 2000 roku). Konstrukcja pracy jest trafna i odpowiada całkowicie tytułowi książki. Słusznie wyeksponowano Piotra i Jerzego – najwybitniejsze postaci łoniowskiej linii w XIX wieku. Podział na rozdziały i podrozdziały jest czytelny.

Na pierwszy rzut oka opracowanie jest pierwszą w literaturze przedmiotu wszechstronną biografią Piotra i Jerzego Moszyńskiego. Jak jednak uprzedza we wstępie Autor, książka traktuje głównie o życiu codziennym i obyczajowym, aktywności politycznej, zainteresowaniach kolekcjonerskich oraz bibliofilskich poszczególnych członków rodu. Spośród tematów pominiętych należy wymienić brak omówienia spraw ekonomiczno-majątkowych rodu w XIX w. oraz działalność Piotra i Jerzego na rzecz potrzebujących (z podanym niżej wyjątkiem). Tego typu luki nie są błędem. Autorowi pracy pozwala na nie umieszczone w tytule książki sformułowanie: „studium z dziejów”. O pominięciu spraw majątkowych uprzedzono zresztą czytelnika we wstępie pracy (s. 14). Mimo tej deklaracji szczególnie w pierwszym rozdziale można znaleźć sporo informacji na ten tematy gospodarczo-ekonomiczne. W kolejnych częściach pracy danych takich jest mniej. Pozwalają jednak czytelnikowi na ogólną orientację w sytuacji majątkowej rodu. Z kolei działalność Piotra i Jerzego Moszyńskich na rzecz ubogich zasygnalizowano szeregiem wzmianek w tekście (np. s. 127-128, 147, 184, 186, 245, 247, 248) i – odnośnie fundacji Pelagii Russanowskiej – odesłano (s. 147 przypis 338) do szerszego omówienia w literaturze przedmiotu (m.in. w oddzielnym artykule Autora będącym w druku).

Dobrą orientację Piotra Bilińskiego w literaturze przedmiotu ukazuje bibliografia. Niemal 12% całej pracy stanowi obszerny wykaz wykorzystanych źródeł, opracowań i pamiętników. Obejmuje on głównie prace polskich badaczy lub po polsku opublikowane, choć trafiają się też pozycje po niemiecku, francu-

sku, włosku czy węgiersku. Na dużą erudycję autora wskazują wykorzystane przy pisaniu książki materiały archiwalne. Autor oparł swą pracę o kwerendę w zbiorach 38 archiwów, bibliotek (i 1 muzeum), zarówno krajowych jak i zagranicznych (Słowacja, Włochy, Czechy). Najważniejsze znaczenie wśród nich posiada, słusznie obszernie opisane we wstępie (s. 14-16) archiwum Moszyńskich. Jest ono przechowywane w zbiorach prywatnych. Autor wykorzystał również komplementarne w stosunku do niego materiały rodu przechowywane w Bibliotece Narodowej. Znaczna część źródeł, na których Autor oparł swą książkę, nie była wcześniej wykorzystywana przez historyków.

W pierwszym rozdziale pracy, sięgając obficie po źródła archiwalne, przedstawiono zwięźle dzieje magnackiej i łoniowskiej linii rodu w XVI-XVIII w. Autor wychodzi z założenia, że „Warto przyjrzeć się wczesnym przedstawicielom tej rodziny, spróbować wydrzeć mrokom dziejów ich losy, bowiem to właśnie drobne postacie, to niewyraźne, często nieuchwytnie tło dla wielkich bohaterów, wydarzeń i przemian decyduje o kształcie i charakterze epok.” (s. 70). Ukazano karierę poszczególnych członków rodu i ich sytuację majątkową. Szczególnie wiele miejsca poświęcono najwybitniejszym przedstawicielom linii magnackiej Moszyńskich – Augustowi i Fryderykowi.

W drugim rozdziale została przedstawiona postać Piotra Moszyńskiego. Jak słusznie pisze autor, dzieje tego najwybitniejszego przedstawiciela rodu w XIX w. otwierają „nowy etap w historii rodziny” (s. 87). Po krótkim opisie dzieciństwa omówiono działalność niepodległościową ówczesnego marszałka szlachty guberni wołyńskiej. Obszernie odwołując się do, pisanego po latach, *Pamiętnika* Piotra, szeroko przedstawiono przesłuchania, jakim go poddano. Nieugięta postawa Moszyńskiego budziła szacunek, nawet, u co najmniej części przesłuchujących go wrogów. Ostatecznie po złagodzeniu kary Piotr został skazany „tylko” na utratę stanowiska, tytułu hrabiowskiego i szlacheckiego oraz na zesłanie na 10 lat na Syberię. W styczniu 1830 r. Moszyński został wywieziony do Tobolska. Autor ukazał jego pobyt i działalność dobroczynną wobec zesłańców na Syberii po powstaniu listopadowym. Jak pisano na ten temat kilkadziesiąt lat później, Moszyński to był „prawdziwy ojciec i opiekun wszystkich skazańców, uszanowany przez nich mianem św. Piotra.” Głównie na bazie literatury omówiono związki Moszyńskiego ze spiskowcami planującymi z bronią w ręku uciec w 1833 r. z zesłania do Indii. W 1834 r. Piotr został przeniesiony najpierw do Symbirska, a następnie Czernichowa. W 1839 r. wyjechał do Kijowa. W 1840 r. uzyskał przywrócenie szlachectwa i zwolnienie z wygnania. Autor trafnie, jak się wydaje, ocenił pobyt Moszyńskiego na Syberii i mit, jaki się rozwinął wokół byłego marszałka szlachty guberni wołyńskiej w związku z tym faktem. Słusznie zauważa, że nie można „syberyjskich doświadczeń Piotra umniejszać bądź lekceważyć, czy oceniać przez pryzmat doświadczeń XX wieku, bowiem w jego czasach kara, jaka go spotkała była dotkliwa” (s. 110). Dla ukazania mentalności rządzących wówczas Rosją na s. 101-102 opisano karanie przez carów rosyjskich martwych przedmiotów – m.in. zesłanie dzwonu cerkiewnego (Borys Godunow), smaganie batami armat (Piotr Wielki), spalenie okrętu Rafael i zakaz nadawania tej nazwy nowym statkom (Mikołaj I).

Resztę rozdziału o Piotrze Autor poświęca głównie problemom rodzinnym Moszyńskiego, wszechstronnej jego aktywności w czasie pobytu w Krakowie (za wyjątkami wspomnianymi wyżej) i kolekcjom (rycin, książek, archiwalniów, militariów, obrazów oraz rzemiosła artystycznego). W tym rozdziale zna-

lazła też swe miejsce krótka biografia powstańca styczniowego Emanuela Moszyńskiego (syna Piotra). Taką lokalizację jej w książce Autor nie bez racji uzasadnia poważnymi konsekwencjami, jakie dzieje Emanuela miały dla późniejszych losów całej rodziny (s. 173). Ważniejszym – zdaniem recenzenta – powodem przemawiającym za taką lokalizacją wspomnianej niewielkiej biografii w pracy są względy konstrukcyjne. Alternatywne rozwiązanie groziło drastyczną dysproporcją w wielkości rozdziałów.

Kolejna część książki jest poświęcona Jerzemu Moszyńskiemu. Przedstawiono w niej kolejno jego młodość, życie rodzinne, kontrowersyjną działalność publicystyczną, aktywność społeczną (z wspomnianym wyżej wyjątkiem) oraz losy książek i rękopisów tego obdarzonego bardzo trudnym charakterem „błędnego rycerza przegranych spraw”. Autor udowadnia, że ugodowa wobec zaborców postawa Jerzego „miała swe źródło w tragicznej historii rodzinnej, w doświadczeniach zesłańczego ojca i śmierci brata [Emanuela].” (s. 234).

Zarysowany w tytule zakres chronologiczny recenzowanej publikacji (XIX w.) narzuca, odnośnie losów ostatnich przedstawicieli linii łoniowskiej rodu w XX w., dwie możliwości: skrótowe omówienie albo rezygnacja z zamieszczenia informacji na ich temat. Tym bardziej, że jak całkowicie słusznie i oględnie zauważa Autor, „nie odegrali oni większej roli w historii” (s. 277). W tej sytuacji zbędne jest uzasadnianie braku obszerniejszego omówienia ich życia (s. 22) brakami źródłowymi. Skoro – jak pisze Piotr Biliński – ich losy stanowią „przykład przesładowań ziemian pod rządami komunistycznymi” (s. 276) oparcie tego podrozdziału niemal wyłącznie na materiałach rodzinnych i publikacjach zupełnie niepotrzebnie może sprowokować u części czytelników pytanie, dlaczego we wstępie i wykazie wykorzystanych zespołów archiwalnych brak informacji o próbach poszerzenia kwerendy (np. o materiały UB; akta Uniwersytetu Poznańskiego i Politechniki Poznańskiej – odnośnie Marii Moszyńskiej). Jeżeli Autor uważa, że kwerenda taka dałaby wynik negatywny powinien to zaznaczyć we wstępie.

Orientację w tekście omawianego opracowania znacznie ułatwia czytelnikowi indeks osobowy, przystępnie podane dane genealogiczne (na końcu książki), wykazy ilustracji oraz skrótów. Ten ostatni zawiera w większości nazwy archiwów, bibliotek i zespołów archiwalnych, które wykorzystano w przypisach. Jest to posunięcie słuszne. Dzięki temu skróty są niemal nieobecne w tekście głównym. Znacznie ułatwia to lekturę opracowania. Wykaz nie obejmuje skrótów powszechnie używanych np. PRL, ks., mjr, JCM. Opisywane postacie przybliżają czytelnikowi ilustracje.

Dużo miejsca autor zdecydował się poświęcić „burzliwemu” życiu rodzinnemu łoniowskiej linii rodu w XIX w. Słusznie zauważa, że pozwala ono „wzbogacić naszą wiedzę na temat życia prywatnego, motywów postępowania i moralności polskiego ziemiaństwa” (s. 281). Duże znaczenie ma tu jednak, także ukazany w pracy, wpływ, jaki wydarzenia w tej sferze miały na losy Piotra Moszyńskiego i jego potomków.

Wartość książki podnosi dystans Autora do opisywanych zagadnień i obiektywizm ocen poszczególnych członków rodu (m.in. s. 28, 47, 70, 110, 150-151, 228, 235, 277). Piotr Biliński często oddaje głos źródłom. Pozwala to lepiej oddać klimat epoki. Jest też wygodne dla Autora przy opisywaniu niektórych zagadnień (zwłaszcza życia rodzinnego).

Pracę czyta się dobrze, napisana jest jasno. Autorowi udało się też uniknąć zbędnych powtórzeń (drobnym wyjątkiem potwierdzającym tę regułę jest kilka słów kończących podrozdziały na s. 173 i 183).

Z obowiązku recenzenta trzeba wymienić część z kilku znalezionych drobnych potknięć. Na stronie 48 w przypisie 210 brak formułowania „cyt. za:” przed przywoływaną tam publikacją (trudno dostępną dla przeciętnego czytelnika). Niezrozumiałe jest pominięcie w bibliografii cytowanej w przypisach na s. 101, 102 wydanej w Petersburgu w 1905 r. publikacji A.I. Dimitrijewa-Mamonowa, *Diekabristy z Zapadnoj Sibiri*. Tym bardziej, że akurat na nadmiar prac po rosyjsku w bibliografii nie można narzekać... W wykazie skrótów brak rozwiązania dla użytego w przypisach na s. 218 „WKC” [Warszawski Komitet Cenzury]. Można też wspomnieć o literówce w wykazie źródeł na s. 287. W wierszu 11 (od góry) ma być nie KSG 99/974, ale KSG 99/74 (w zasadniczym tekście pracy zapis jest prawidłowy: s. 143). Kilka tak drobnych usterek nie może jednak w żadnym stopniu umniejszać wartości omawianej pracy, wysokiego poziomu opanowania przez jej autora zasad i techniki pracy naukowej. Recenzowana książka, oparta na szerokiej znajomości literatury przedmiotu i obszernej kwerendzie archiwalnej, wzbogaca dotychczasową wiedzę na temat ziemiaństwa. Najwięcej miejsca poświęca dalekosiężnym konsekwencjom patriotycznej postawy zesłanego na Syberię Piotra Moszyńskiego.

*Tomasz Skrzyński*

- **Seria wydawnicza: *Duchowieństwo polskie w więzieniach, łagrach i na zesłaniu w ZSRR***

Powstałe na przełomie lat 1989-1990 Wydawnictwo „Norbertinum” w Lublinie, jako swoje ideowe przesłanie od początku działalności, podjęło wydawanie publikacji w szeroko pojmowanym nurcie kultury chrześcijańskiej. Było to zamierzenie nie tylko ambitne w sensie edytorskim, ale i aktualne wobec wyzwań czasu przemian ustrojowych, pośród których zapotrzebowanie społeczne na przydanie prawdy do rozpoznania „białych plam” w najnowszych dziejach pokolenia Polaków, prawdy opisanego przez świadków, było odważną odpowiedzią na owe wyzwanie i potrzeby. Stąd koncepcja kilku serii wydawniczych, by w związkach problemowych mogły powstawać nie tylko rzeczowe zbiory informacji o wielu zapoznanych, bądź przemilczanych, albo represyjnie traktowanych wątkach najnowszej polskiej historii. Ale nie tylko. W owych seriach, z których tylko jedną recenzyjnie prezentujemy, ratowane były świadectwa-udokumentowane przeżycia – losy ludzi „przecieranych w żarnach” totalitarnych systemów, które po 1 września 1939 r. zawojowały ojczyznę Polaków. Losy jednostkowe, ale zarazem zbiorowe, bowiem „działy się” pośród społeczności co prawda lokalnej, bądź regionalnej Kresów wschodnich Rzeczypospolitej, a więc przez swoistą personifikację dotyczyły spraw ogólnych i powszechnych, ujawniają mechanizmy sowieckiego systemu okupacyjnego, bądź wewnątrzustrojowego ZSRR. Czynnikiem czasu, rozpoczętego 17 września 1939 r. trwał na kartach dokumentalnych relacji, nierzadko w żywej pamięci Autorów, aż do momentu ich spisania, i na swój sposób był „przedłużony” przez redakcyjne

opracowania, w których antecedencja przydana do faktów w postaci rzeczowego objaśnienia, uzupełnienia, oraz uprawomocniona odesłaniem do urzędowych źródeł, czyniła „czas” w całym tego słowa znaczeniu historycznym.

Nie jest przypadkiem, że Wydawnictwo wyodrębniło jako zamierzoną serię losy duchowieństwa polskiego w poszczególnych ogniwach organizacyjnych systemu represji w ZSRR, bowiem jak to kiedyś pisał w swoim raporcie ambasador Francji Jacques Herbet, datowanym 16 kwietnia 1928 r. „GPU przesładuje systematycznie duchowieństwo katolickie, ponieważ stanowiło siłę intelektualną i moralną, niezależną od kontroli komunistów”. Dodać do tej trochę historycznej opinii wypada uwagę, że w warunkach sowytyzacji ogarniającej całokształt życia polskiej społeczności, nie tylko na dawnych Kresach, ale dosłownie wschodniej połowy obszaru Rzeczypospolitej, za granicznymi, Sanem, Bugiem, Narwą i Pisą od 28 września 1939 r., represja wobec Kościoła katolickiego była obok likwidacji aparatu państwowego, administracji i szkolnictwa, celem szczególnym w walce o panowanie nad społeczeństwem. Stąd aresztowania i więzienie duchownych w tej represji było policyjnym zadaniem pierwszoplanowym. W następstwie powstały ich świadectwa pamiętnikarskie.

Kończąc te wprowadzające uwagi trzeba stwierdzić, że objęcie redakcji tej serii przez ks. prof. dr hab. Romana Dzwonkowskiego SAC, jest okolicznością wyjątkową, bowiem za określeniem o redagowaniu, kryje się nie tylko jego myśl metodologiczna, ze wszech miar pionierska w zakresie publikacji tej kategorii źródeł, ale podobnego wymiaru myśl metodyczna oparta na mistrzostwie warsztatu i erudycji udokumentowanych kilku wyjątkowego znaczenia publikacjami<sup>1</sup>.

Nie jest więc przypadkiem, że skromne, osobiste i życiorysowe świadectwa kapłanów, otrzymują w postaci wydawniczej oprawy dokumentacyjną najwyższej próby i stają się tym samym pełnej wartości źródłami do poznania historycznego. Pojedyncze fakty uzupełnione odniesieniem rzeczowej informacji w przypisie, przybierają postać wydarzenia w procesie historycznym.

Natomiast wydarzenia relacjonowane we wspomnieniach, także podobnie redakcyjnie potraktowane, stają się już fragmentami narracji historycznej „opowiadającej” o czasie i ludziach w przestrzeni geograficzno-ustrojowej sowieckiego państwa. By te spostrzeżenia nabrały prawomocności, przejdźmy do bliższej prezentacji poszczególnych publikacji w omawianej serii wydawniczej.

Rozpoczęły tę serię wspomnienia ks. Tadeusza Fedorowicza: *Drogi Opatrzności*, i jeszcze trzykrotnie wznowione, wyd. IV, Lublin 2005, s. 266 + 12 s., ilustracji kolorowych, kapłana, który w okolicznościach masowych deportacji Polaków w 1940 r., za zgodą abpa Bolesława Twardowskiego, ochotniczo dołączył do transportu, by wśród zesłańczej rzeszy pełnić posługę kapłańską, wpierw na Syberii, a potem w Kazachstanie. Stał się ks. Fedorowicz niezwykle świadkiem Chrystusa nie tylko w osobistym wyznaniu Wiary, ale heroicznej służby w różnych warunkach zesłania. Ojciec Święty Jan Paweł II trzykrot-

<sup>1</sup> R. Dzwonkowski SAC: *Kościół katolicki w ZSSR 1917-1939. Zarys historii*, Lublin 1997. Id., *Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917-1939. Martyrologiem*, Lublin 1998. *Skazani jako „szpiedzy Watykanu”*. Z historii Kościoła katolickiego w ZSSR 1918-1956, red. Roman Dzwonkowski SAC, Ząbki 1998. „Bez sądu świadków i prawa”. *Listy z więzień, łagrów i zesłania do Delegatury PCK w Moskwie 1924-1927*, red. R. Dzwonkowski SAC, Lublin 2002. R. Dzwonkowski: *Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939-1988*, Lublin 2003.

nie wspominał to niezwykle świadectwo Wiary, w Kazachstanie, w miejscu wieloletniej pracy ks. Fedorowicza, na kartach *Daru i tajemnicy*, gdzie pisał o osobistych związkach określając je jako „...kierownictwo duchowe” i w telegramie – liście kondolencyjnym, gdy ks. Fedorowicz z ostatniego posterunku kapłańskiego trudu w Laskach, odszedł po nagrodę do Pana.

Niemal równocześnie wydano pamiętnik ks. Stanisława Ryżko *Trzeba zostać*, Lublin 1999, ss. 369+60 s. ilustracji, kapłana pracującego w okolicy Pińska, który w warunkach sowietyzacji tej części Rzeczypospolitej zamienionej na „Obwody Zachodniej Białorusi”, miał możliwość przedostać się na zachód, pod niemiecką okupację, ale pozostał wśród parafian. Mimo represji wobec nich i szczególnie osobistych udręk, ks. Ryżko pełnił kapłańską posługę. Do czasu. Jako niebezpieczny dla ustroju, został przez Specjalne Kolegium NKWD zakwalifikowany do grupy, którą sowieckie prawo karne nazwało „Socjalno Opasnyj Element” (SOE), który bez postawienia zarzutów w śledztwie, mógł być skazany na umieszczenie w kolonii karnej systemu łagrów, na minimum 3 lata, ale najczęściej na 5 lat. Obdarzony świetną pamięcią, wpięty w obozie w Omsku, a potem w Ekibastuzie, spotkał nie tylko kapłanów – Polaków, ale Litwinów, Łotyszy i Ukraińców, zapamiętał ich nazwiska i utrwalił w opisie losów, podobnie jak ich prześladowców-funkcjonariuszy systemu represji. Na tej osobistej kanwie zrekonstruował elementy systemu represji wobec Kościoła, bowiem te jednostkowe losy poszczególnych postaci obejmują jego „obszary” społeczno-narodowe na ziemiach państw anektowanych w latach 1939-1940 do ZSRR.

Ważnym dopełnieniem tych wspomnień, jest dołączony aneks zawierający listy ks. Ryżki pisane do rodziny, oraz zebrane relacje parafian o pracy i postawie ich duszpasterza. Warto wspomnieć, że zostały dwukrotnie odrębnie wydane pt. *Z Bogiem w łagrach*, wyd. II, Lublin 2005, ss. 64, co trzeba odnotować, jako ważną i odmienną kategorię źródła historycznego. Ks. Stanisław Ryżko nie skorzystał z możliwości wyjazdu do Polski. Pozostał wśród Wiernych na Wschodzie, co uzasadnia tytuł wspomnień.

Podobnie tytuł kolejnego tomu „*Ty nie zginiesz*” autorstwa O. Hieronima Marcina Wilka OFM Cap. , Lublin 2002, ss. 263+8 s. ilustracji, jest zapamiętanym przez pamiętnikarza zapewnieniem sędziego śledczego ogłaszającego wyrok na umieszczenie kapłana w łagrze. Ten cynizm oprawcy wydał się tak wyjątkowy, że warty „oznakowania” osobistego losu w łagrze Inta na terenie Komi ASSR i późniejszej pracy duszpasterza w latach 1944-1959 na Wołyniu i Podolu. Tekst charakteryzuje znakomita faktografia, zwłaszcza dotycząca posługi kapłańskiej przez ćwierć wieku po II wojnie światowej, i z tego względu jest to świadectwo szczególnie ważne, bowiem dotyczy losów Kościoła nie tylko w sychyłkowym okresie stalinizmu, ale i „odnowy” po XX Zjeździe.

Losy pracy duszpasterskiej na obszarze Białorusi okupowanej przez Niemców, tylko pozornie odbiegają od tytułowej problematyki serii wydawniczej, bowiem i ziemia i ludzie mimo pożogi wojennej, pozostali rzecz można sobą. Wacław Sęk SJ, *Proboszcz z gorącego pogranicza*, Lublin 2002, ss. 147+1 nlb., jest świadkiem, duszpasterzem – relantem, który jako młody kapłan, ale o szczególnej formacji duchowej jezuita, podejmuje w tych warunkach pracę. Opowiada o tym w sposób nad wyraz interesujący, bowiem postrzega nie tylko swoich Wiernych – krąg ludzi, którym posługuje, ale także ludzi w krajobrazie wojny partyzanckiej, terroru i sytuacyjnego przymusu okupacji, co przydaje tej wypowiedzi pamiętnikarskiej waloru pierwszorzędnej źródła historycznego.

Natomiast ks. Wincenty Ilgin, *Wspomnienia kapłana z Solówek. Jak to było w raju bolszewickim?*, Lublin 2006, ss. 132+6 il. na wkładce nlb., stanowią jakby chronologiczny początek serii, bowiem dotyczą losów kapłana „dopisanych” drugą częścią tytułu: *Charków-Solówki-Piniega-Moskwa-Warszawa (1917-1933)*. Jest to wręcz epicka opowieść o losach Kościoła w warunkach bolszewickiego przewrotu i powstawania systemu politycznej represji, aż po jej instytucjonalny kształt łagru „Słon” na Wyspach Sołowieckich – pierwszym, pionierskim miejscu jego tworzenia, do tego z więziennie-zesłańczym udziałem duchownych wszystkich wyznań, objętych planem unicestwienia Boga w sowieckiej przestrzeni geograficzno-państwowej. O tym wszystkim z niezwykłą wiernością „opowiada” ks. Ilgin, a tę relację redakcyjnie dopełnia ks. R. Dzwonkowski SAC w sposób, który warto krótko określić: opracowanie przypisów, wybór aneksów i fotografii. Przypisów we „W stepie” na 10 stronicach jest 43, a w tekście „Wspomnień”, dalszych 174. Ale w aneksach są fragmenty akt śledczych ks. Ilgina, w których oskarżenia, uzasadnienia wyznaczonych kar (zesłania, zastosowania amnestii, pozbawienia prawa zamieszkania w Charkowie „oraz innych miejscowościach SRSR”, opatrzone przypisami, nie tylko dopełniają czytelniczej wiedzy o losach księdza, ale ujawniają jeszcze jeden, wręcz obszar, represji w państwie sowieckim.

W zakończeniu trzeba dodać, że spojrzenie na konfesyjną panoramę wielonarodowego społeczeństwa państwa sowieckiego, pod rozległą szerokością geograficzną, gdzie trwa *bezposzczadnaja baru* (bezwzględna walka) z Bogiem, postrzegana przez polskich kapłanów, jest nie tylko świadectwem czasu w znacznej części XX wieku. Jest źródłem poznania historycznego, którego żadną miarą nie można przecenić – tylko poznać. Stąd prestiżowa nagroda „Feniksa” dla serii „Norbertinum”, nadawana przez Wydawców Katolickich, zdaje się być szczególnie uzasadniona.

*Mieczysław Wieliczko*

- Jerzy Surwiło, *Rachunków nie zamykamy*, Wilno 2006, s. 612.

W Muzeum Historycznym m. st. Warszawy 22 lutego 2007 roku odbyła się promocja książki Jerzego Surwiły *Rachunków nie zamykamy*. Jest to poprawione i uzupełnione wydanie, opublikowanej przed piętnastu laty, książki *Rachunki nie zamknięte* tego samego autora.

Praca traktuje o zesłańczych losach Polaków z Wilna i Wileńszczyzny w latach 1939-1956. Składają się na nią zbierane przez lata urywki wspomnień, listy, notatki, informacje przekazywane przez rodziny i przyjaciół ofiar represji, a także materiały archiwalne. Pierwotnie publikowane na łamach „Czerwonego Sztandaru” a potem „Kuriera Wileńskiego”, w rubryce „Kronika pamięci: wileńskie ślady na drogach cierpień”, opowieści bezpośrednich uczestników, świadków opisywanych wydarzeń przybliżają dramatyczne karty historii ziemi nękaną przez obydwu totalitaryzmy. Pojawia się też wątek powikłanych relacji polsko-litewskich. Osobny rozdział dotyczy ofiar zbrodni katyńskiej pochodzących z Wileńszczyzny. Wiele miejsca poświęcono również pierwszym ofiarom terroru NKWD – wileńskim Polakom deportowanym na Wschód już jesienią 1939 roku. Lista ich nazwisk nadal jest uzupełniana, a los wielu z nich pozostaje nieznany. Dopełnieniem tekstów jest bogata kronika fotograficzna, w której każde zdjęcie opatrzone zostało obszernym komentarzem.

Choć książka *Rachunków nie zamykamy* nie jest usystematyzowanym wywodem historycznym, stanowi cenny zapis wojennych i powojennych losów kresowiaków, uświadamiając jak wiele w tej dziedzinie jest jeszcze obszarów nierozpoznanych. Warszawską promocję zorganizowały: Zarząd Oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Warszawie oraz Europejska Fundacja Edukacji Audiowizualnej „DISCE”.

Jerzy Surwiło, wilmianin z dziada pradziada, znany publicysta o zacięciu historycznym, wydał między innymi: *Wileńskimi śladami Józefa Piłsudskiego* (Wilno 1992), *Cmentarz Rossa w Wilnie* (Wilno 1993), *Wileńskimi śladami Adama Mickiewicza* (Wilno 1993, Warszawa 1995), *Scena polska nad Wilią* (Warszawa 1995), *Przechadzki po Wilnie. Zarzecze. Cmentarz Bernardyński* (Warszawa 1977), *O Adamie Mickiewiczu niekonwencjonalnie. Od Wilna po Nowy Jork* (Wilno, 1998), *Zostali tu z nami na dobre i złe* (Wilno 2000), *Spacerkiem z Marszałkiem po Żmudzi, Wilnie i Wileńszczyźnie. Zdarzenia, fakty, anegdoty* (Wilno 2003, drugie wydanie 2005), *Pamiętam Antokol. Przechadzki po Wilnie* (Wilno 2005).

Ewa Ziółkowska

- **Stanisław Rymaszewski, *W obronie zaginionych krzyży. Protest Sybiraka* [!], Gdańsk, 2006, s. 54.**

Autor przed ogłoszeniem owego *Protestu sybiraka* opublikował obszerną książkę *Wykarczowani zza Bugu* (trzecia edycja poprawiona i poszerzona ukazała się w Gdańsku w 2004 roku). Jego poprzednie opracowania zawierają rozważania dotyczące deportacji i losu deportowanych w latach 1940-1946 w ZSRR. Zdobią je ponadto rysunki Autora o dużych walorach artystycznych. Do zalet jego dzieł należy także znakomity język przekazu, logika przeprowadzanej



analizy, a przede wszystkim pasja podejścia do podjętej tematyki oraz świadomość amatorskiego ujęcia problematyki.

Jako 11-latek został „zza Buga” z rodziną deportowany na północ europejskiej części ZSRR. Przeżył więc tam gehennę zesłanych obywateli polskich, ale także kilka lat dzieciństwa, w czasie którego pracował m.in. przy wyrębie drzew w tajdze. Przeniesiony w 1944 r. na Ukrainę (podkreśla, że stało się to dzięki zabiegom Związku Patriotów Polskich), odżył. Po powrocie do kraju osiadł na Pomorzu, dochodząc z czasem do wysokich funkcji w dalekomorskich przedsiębiorstwach łowieckich. Wprowadzenie stanu wojennego zastało go w USA, gdzie otrzymał azyl polityczny. Po powrocie do Polski dał się poznać jako pamiętnikarz i eseista tematyki zesłańczej i morskiej (m.in. książka *Rozbitka z „Arki” Gdynia*). „Protest sybiraka” jest przede wszystkim dyktowany potrzebą zwrócenia uwagi historyków zawodowych na odmienne podejście do oceny represji radzieckich niż to ujęto w książce pod redakcją S. Ciesielskiego *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946* (Wrocław 1997), a zwłaszcza w raporcie wydanym przez Ośrodek „Karta” z 2002 r. pt. *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, firmowanego przez Instytut Pamięci Narodowej.

Jak przystało na tekst polemiczny pierwszy rozdział *Niezawodnej pamięci NKWD – cześć!* jest zdecydowanie ironiczny i ostrze krytyki uwieńczone zostało stwierdzeniem, iż ogłoszone przez historyka rosyjskiego A. Gurianowa – i stanowiące podstawę ocen przyjętych w raporcie – jest z założenia błędne, gdyż „[...] po sześciu latach katorgi i śmiertelnego głodu powróciło z zesłania o 54 458 więcej (zesłano wg NKWD 320 tys., a wróciło 374 458)” (s. 15).

Kolejny rozdział *Polski raport na „bazie źródłowej” NKWD, czyli weryfikacja zesłańców* – to krytyka owego raportu, w którym Autor zdaje się wskazywać niedostatki udostępnionych historykom dokumentów z archiwów rosyjskich. Z tego zresztą zdają sobie sprawę także specjaliści, co autor wychwytuje m.in. cytując opracowania prof. A. Głowackiego z Łodzi, dr J. Giżejewskiej z Warszawy i wielu innych. Nie dotarł jednak do publikacji prof. S. Alexandrowicza z Torunia, również krytycznie oceniający raport, ale i wskazujący na możliwość weryfikacji danych przedstawionych przez Gurianowa na podstawie analizy dokumentów NKWD, ale z miejsc osiedlenia deportowanych.

Kolejny rozdział z ironicznym tytułem: *Zdyskredytowani: prof. Wielhorski, gen. Anders i reszta – do lamusa*. To przede wszystkim wskazanie na rzetelność opracowań wymienionych osób. Pierwszy z nich, jak wiadomo w książce *Los Polaków w niewoli sowieckiej* (Londyn 1956) oszacował liczbę represjonowanych na 980 tys. W książce W. Andersa *An Army in Exile. The Story of the Second Polish Corpus* (1981) liczba ta przekracza nawet 1,5 mln osób. Zarówno Wielhorski, jak i Anders (tu przede wszystkim duży zespół historyków Drugiego Korpusu), jak to wiadomo z innych źródeł, robili wszystko by uzyskane przez nich wyniki odpowiadały bazie źródłowej, którą wówczas dysponowano (rozmowy z dostojnikami NKWD, wywiady z zesłańcami wstępującymi do Armii Polskiej – słowem w dużym stopniu źródłami wywołanymi). Są to dane szacunkowe, ale i wspomniany raport również posługuje się takimi.

Rozdział *Zesłańcy – dzieci* to próba spojrzenia na liczbę represjonowanych przez pryzmat najmłodszych, także tych którym udało się z wojskiem An-

dersa opuścić ZSRR. Wreszcie ostatni *Historykom ku rozwadze* w zakończeniu zawiera m.in. zdanie, które Autor umieścił także na czwartej stronie okładki. Oto jego fragment:

[...] z przykrością stwierdzam, że dane zawarte w raporcie pt. *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, stanowią zakłamanie jednego z większych rozdziałów historii martyrologii narodu polskiego; martyrologii polskiej ludności kresowej z zesłań w latach 1940-1941 do ZSRR

Specjaliści z pewnością ustosunkują się merytorycznie do zarzutów „Protestu sybiraka”. Podana przez niego liczba represjonowanych (z podkreśleniem, iż ma charakter szacunkowy) to 1 080 000 deportowanych tylko w latach 1940-1941, z tego zmarło 680 542 osoby (do 1946 r. włącznie). Są to dane godne rozważenia i próby weryfikacji w miejscach, gdzie zsyłano represjonowanych. Uruchomienie odnośnego programu badawczego wydaje się więc pilną potrzebą, choć jego realizacja nie będzie należała do zajęć łatwych. (Prof. S. Alexandrowicz ma już w tym względzie doświadczenia – był bowiem na zesłaniu i w Kazachstanie pozostawił groby dwóch sióstr, a ponadto prowadził kwerendy w terenie).

Godnym specjalnego studium jest sprawa rozbieżności ocen represjonowanych przedstawionych przez historyków zajmujących się relacjami polsko-radzieckimi (znakomitych fachowców) oraz przez tych wszystkich, którzy – jak Rymaszewski – bezpośrednio otarli się o radziecki system represji. W związku z tym kilka uwag autora tej notatki, zamieszkałego w czasie II wojny światowej w Łucku na Wołyniu. W okolicy tego miasta istniały dwa obozy pracy przymusowej: w Janowej Dolinie przy kamieniołomie bazaltów – tam karę odbywał mój ojciec, oraz koło Ołyki, gdzie represjonowani budowali duże lotnisko wojskowe. W jednym i drugim przypadku były to obozy wielotysięczne. Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r. niektórych wcielono do wojska, ale większość pognano piechotą na Wschód (mój ojciec dotarł do Barnanulu w Altajskim Kraju). Tego typu „deportacji” w ogóle nie odnotowano w aktach NKWD, bo nie było na to warunków. Dane o tych, którzy przeżyli wędrówkę są w miejscach osiedlenia. Grobów zamordowanych w drodze nie sposób policzyć.

Ustalenie, oczywiście szacunkowo, liczby więźniów obozów usytuowanych na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej nie powinno stanowić większej trudności, bo w centrach decyzyjnych są dane na ten temat.

Inny problem: wywózki lat 1940-1941 (na mniejszą skalę zaczęły się one jesienią 1939 r.): szkoła polskojęzyczna w Łucku w czerwcu 1941 r., wskutek ubytku nauczycieli i dzieci, prawie nie istniała. Niemcom zezwolono wyjechać wcześniej za Bug. Inne szkoły z głównym językiem narodowym (np. czeska) były również przzerzedzone. Dane na ten temat również wskazują na skalę represji.

Nie ma powodów do podważania metodologii ustaleń historyków piszących raport *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*. Trzeba jednak mieć na uwadze, że pozyskane – nie bez trudu – przez A. Gurianowa dane dotyczą ledwie wycinka rzeczywistej represji. Dalsze, bardziej wszechstronne, studia przybliżą obraz tego wszystkiego co się działo w latach 1939-1946 na Kresach. Zaginionych krzyży, tych którzy zmarli na zesłaniu, i pogrzebanych poza ZSRR, nikt już nie zliczy.

- **Maria Dybowska, *Zapísane w śniegu czyli polska wiedza o Kamczatce i sąsiednich wyspach*, Warszawa 2006, s.**

Dwa cytaty z tej niewielkiej książeczki zasługują na przytoczenie. Pierwszy – z karty tytułowej – pochodzi z książki Józefa Morozewicza pt. *Komandory* (Warszawa 1925), stanowiącej relację z geologicznej wyprawy badawczej w 1903 r.:

Niech tylko obcy przybysz okaże im choć cień życzliwości, a serce zacznie im znowu bić tempem przyspieszonym, a usta otworzą się i szeptać zacząną skargi ciężkiego ich na tych wyspach bytowania.

Drugi cytat zamyka *Wprowadzenie* Autorki i stanowi zapis słów współczesnego itelmeńskiego poety Siergieja Worochtina: „Naszego biednego narodu już nie ma, ale ratował nas zawsze równie nieszczęśliwy naród jakim byli Polacy”. Dwa te cytaty mieszczą się w tym wszystkim co Autorkę fascynuje od lat i co można ująć w zdaniu: polskie zainteresowania ludami północnego wschodu Azji. Rzecz zrozumiała, że Bronisław Piłsudski i jego studia na Sachalinie (znakomite zdjęcia Ainów), Benedykt Dybowski (skuteczny reformator życia gospodarczego na Komandorach) czy Leon Hryniewiecki (przedwcześnie zmarły na Czukotce lekarz) są bohaterami pierwszego planu. Plejada Polaków, którzy wywarli większy wpływ na los tubylców jest zresztą większa. Autorka odwołuje się do prac Iwana Kozyrjiewskiego (kartografia), Maurycego Beniowskiego, Józefa Kopcia, a nawet Ludwika Sienickiego, który akurat w tej części Azji nie był. Odwołuje się przy tym, rzecz interesująca, do literatury przedmiotu, którą poznała w muzeach i bibliotekach Kamczatki, Sachalinu i Władywostoku oraz Moskwy, ale także w kraju. Tu ciekawostka – na wersję internetową wspomnień brygadiera Józefa Kopcia, skazanego na pobyt na Kamczatce w końcu XVIII w. (Jest to skrót pamiętnika z wydania lwowskiego z 1863 r., a nie rękopis zachowany w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie).

Ze wstępu dowiadujemy się, iż badania swe Autorka mogła realizować dzięki półrocznemu stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W Rosji wszędzie przyjmowano ją serdecznie, choć z pewnością musiała pokonać wiele trudności by zwiedzić Bystrinski Park Narodowy, bo to podkreśliła na karcie poświęconej tym, którzy pomogli w jej pracy.

Treść książki jest rodzajem przypomnienia polskich dokonań w tej części Azji. Z pewnością historycy polscy i rosyjscy mają już znacznie więcej danych o badaczach, którymi zajęła się Autorka, przy czym znaczna liczba publikacji na ten temat wydrukowana została w Polsce (m.in. w wydawnictwach konferencji organizowanych przez prof. dr. hab. Antoniego Kuczyńskiego). Mimo to jej sprawozdanie z podróży badawczej oraz kwerend w bibliotekach w Polsce nie pozbawione jest wartości, bo bardziej przybliży czytelnikom polskim zwłaszcza dokonanie Leona Hryniewieckiego najpierw na Nowej Ziemi, a później na Czukotce, gdzie przedwcześnie zakończył życie ten niepospolity badacz i dobroczyńca ludów tubylczych.

Jako ciekawostkę podać należy, że nakład tego opracowania wynosi 34 egzemplarze. Rzecz jest skromniejsza (mimo ilustracji kolorowych z kolekcji Hryniewieckiego z Muzeum Morskiego we Władystoku), niż Jej inna książka *Kamczatka i jej ludy autochtoniczne – w fotografii, tekstach i eksponatach Benedykta Dybowskiego* (toż wydawnictwo, 2003 r.). Zdaje się więc, iż spodziewać się możemy w najbliższej przyszłości większej monografii na ten temat. Oby została udokumentowana poważniejszą liczbą źródeł i otrzymała starszą oprawę edytorską.

Zbigniew J. Wójcik

- **Michał Siewrug, *Wilniana z Syberią w tle. Powieść biograficzno-wspomnieniowa*, Wilno 2006, s. 443.**

Pasjonująca to lektura. Wydawnictwo Polskie w Wilnie wydało w 2006 roku tom Michała Siewruga, który początkowo miał nosić tytuł „Michał i Piotr z Wileńszczyzny”, a ostatecznie ukazał się pod bardziej frapującym „szyldem”: „Wilniana z Syberią w tle”. Dobrze napisane dzieje rodzinne wzbogacają naszą wiedzę zarówno o życiu pokoleń polskich na Wileńszczyźnie, jak i o losach Sybiraków z Kresów. Kolejni przedstawiciele tej rodziny „wdawali” się w spiski i powstania, a potem doświadczali plag syberyjskich. Byli na tyle niepokorni, że wszyscy też próbowali ucieczek, a zarazem wykazywali dużo umiejętności, by przeżyć. Pozostali wrażliwi na położenie innych, w razie możliwości służyli im pomocą, imali się różnych zajęć, bacznie obserwowali zachodzące zjawiska. Przekazywali po powrocie swe wrażenia młodszemu, kształtowali ich charaktery.

Jako pierwszy został zaprezentowany Piotr Siewrug, pradziad autora a syn ułana Michała z wojny 1812 roku, właściciela majątku w Wojdagach, nadzarpaniętego wskutek grabieży czynionych przez kozaków. Piotr, student czwartego roku Wydziału Archeologii Uniwersytetu Petersburskiego został aresztowany w 1830 roku, próbował uciekać z więzienia w Smoleńsku, złapany powędrował na 10 lat katorgi. W rejonie Krasnojarska pracował w tajdze, nauczył się żyć w ekstremalnych warunkach. Dostrzegał i piękno ziemi, „bo wiele tu można zobaczyć i wypróbować, wiele przyjemności doświadczyć – pod warunkiem, że się jest wolnym”. Niełatwe to były lata i dla Michała Siewruga, zatroskanego losem syna i narastającymi trudnościami w gospodarowaniu. Piotr zaś po zwolnieniu został jeszcze, by przygotować ekspedycję archeologiczną, polował, zgromadził pokaźną sumę rubli, poznał ludzi rozumnych i dobrych, jakże odmiennych od carskich funkcjonariuszy. Dokładnie opisana została jego droga powrotna do domu, 20 grudnia 1838 roku był już w Wilnie, zasiadł wraz z rodziną do wigilijnego stołu. Czekala na niego ukochana Ewa, młodzi pobrali się, przyszły na świat dzieci. A jednak ciągnęło Piotra do konspiracji, pilnie obserwował i komentował politykę rosyjską na ziemiach zabranych. Naciągnęło kolejne powstanie i Piotr Siewrug znalazł się w 1863 roku w oddziale w Lasach Ponarskich koło Wilna. Szybko minęła nadzieja na wolność, spadły nieszczęścia, zmarli rodzice Piotra a on sam raz jeszcze przeszedł przez więzienie i Sybir. To znów barwna historia przygód, bo anonsowany tom zawiera szeroką panoramę losów ludzi, „i tych zesłanych, wyrwanych ze swych małych ojczyzn, i

tubylców, którym surowa syberyjska ziemia została przypisana od urodzenia [...]. To zawikłane, często splecione ze sobą losy zesłańców i ludności rdzennej, z ich mentalnością, odczuciami, marzeniami”.

Skorzystał Michał z amnestii carskiej, wrócił do żony i dzieci ... bogaty, zamieszkał w majątku Kłaci. Zmarł w wieku 77 lat w 1883 roku. Jego miejsce w rodzie Siewruków zajął syn Piotrek, bo taka była tradycja, że pierworodnemu synowi nadawano imię dziadka. Nieszczęścia przyniosła I wojna światowa, potem cieszą się z powrotu wolnej Polski, hucznie i wesoło powitano w Kłaciach Nowy Rok 1939. Nikt nie przewidywał, że jednocześnie od zachodu i wschodu zbliża się nowe niebezpieczeństwo. Po pierwszej okupacji sowieckiej i następnej niemieckiej ustaliły się granice pojałtańskie, Piotr Siewrug długo ważył w myślach, jak ma postąpić „wobec powszechnego pędu na zachód”. Górę wzięła nadzieja, że już ich ominą represje, bo częściowo zostali wcześniej rozkułaczeni. Niestety, znów skończyło się na wywózce w marcu 1949 roku na Sybir, życiu kołchozowym we wsi Kułtuk. Tam spędził swe dzieciństwo i kolejny w rodzinie Michał (miał 11 lat w chwili „deportacji”), syn Piotra, autor książki. Doświadczył „uroków” obcej szkoły, poniewierki, głodu i chorób, wzorem swych przodków dwukrotnie podejmował ucieczkę. Ojciec po 5 latach zestarzał się o lat dwadzieścia, dorobili się jedynie kozy, „niezastąpionej żywicielki”. Nastroje Michała poprawiła Irina, ona wyprowadziła go z ciężkiej choroby. Dopiero 20 lutego 1957 roku Siewrukowie (rodzice Piotr i Stanisława, córka Tęcia i syn Michał) dostali pozwolenie na wyjazd do Polski. Osiedli w Białymstoku, do Kłaci Michał pojechał po wielu latach, zastał tylko olchy, strumyk.

Autor jest członkiem Związku Sybiraków i Związku Inwalidów Wojennych. Pracował kilka lat nad maszynopisem, zadbał o wartką relację, poprawność nazw, wiarygodność faktów historycznych. Ze szczególną wdzięcznością winny przyjąć tę pozycję osoby związane w przeróżny sposób z Wileńszczyzną, bo będą miały okazję do wzruszeń, do podróży sentymentalnej. M. Siewrug napisał jednak tekst głównie z myślą o młodych pokoleniach. A jako bezpośrednią przyczynę sięgnięcia po pióro uznał apel Jana Pawła II. 10 czerwca 1999 roku Ojcu Świętemu wręczono w Drohiczynie m.in. dar w postaci krzyża wykonanego właśnie przez autora książki metodą inkrustacji z bursztynu. Papież powiedział wówczas, „że losy Sybiraków, które są częścią naszego narodowego dramatu, nie powinny być zapomniane. I zobowiązał każdego z nas, by każdy – w miarę swoich sił i możliwości – podzielił się wspomnieniami z tamtych tragicznych lat. Byśmy pamiętali o zwykłych – niezwykłych ludziach z gorącymi polskimi sercami i odważnie kroczyli ku lepszej przyszłości, w której się nie gwałci godności ludzkiej. Żebyśmy wszyscy pamiętali”.

*Adam Dobroński*



---

## LISTY DO REDAKCJI

*Do Zarządu Głównego Związku Sybiraków*

*Szanowny Panie Prezesie*

*W imieniu Stowarzyszenia Sybiraków Polskich w Wiktorii, Australia, pragnę gorąco podziękować Zarządowi Głównemu Związku Sybiraków w Polsce za przesyłanie nam pięknie wydawanego kwartalnika „Zesłaniec”. To jest naprawdę wartościowe i bardzo informacyjne pismo w sprawie historii Sybiraków.*

*Zależy nam, żeby ono się utrzymało. Dlatego zwróciliśmy się do czytelników „Tygodnika Polskiego” wydawanego w Melbourne z apelem o poparcie. Dla informacji załączam kopię naszego listu w tej sprawie w Tygodniku.*

*Jeżeli chodzi o przesyłkę „Zesłańca” dla Stowarzyszenia Sybiraków Polskich w Wiktorii to prosimy, ażeby wysłać tylko w jedno miejsce na adres naszego skarbnika p. Władysława Bernata, jak dotychczas. On przekazuje otrzymane egzemplarze do naszej małej biblioteczki. Proszę wstrzymać wysyłkę do mnie (Jerzego Króla) i tym zaoszczędzić kosztów pocztowych.*

*Dotychczas otrzymałem 10 egzemplarzy (Nr 19 – Nr 28) „Zesłańca”, za które serdecznie dziękuję. To pismo bardzo mnie interesuje. Będę go nadal czytać korzystając z naszej biblioteczki.*

*Z serdecznym pozdrowieniem*

*Jerzy Król*

*Prezes Stowarzyszenia Sybiraków Polskich w Wiktorii*

\*

Oto kolejny list, którego kopię przesłaną do redakcji „Zesłańca” publikujemy, informując, że był on adresowany do Ministra Romana Giertycha. Nie wiemy czy jego autor otrzymał odpowiedź, natomiast w pełni solidaryzujemy się z zawartym w liście postulatem by TVP poświęcała więcej uwagi problematyce zesłań Polaków na Syberię oraz ich kulturotwórczej roli na Uralem.

Wyjaśniamy naszym Czytelnikom, że wspomniany w liście film zatytułowany „Śladami Bronisława Piłsudskiego” został zrealizowany w 2005 roku i jest jednym z ośmiu filmów składających się na cykl pod nazwą „Polacy na Syberii” zrealizowanych przez Panią red. Jadwigę Nowakowską (TVP), która zadała sobie wiele trudu by pokazać jakże złożone losy Polaków za Uralem. Pozostałe filmy tego cyklu to: „Nieprzewidywalna Kamczatka”, „Bajkalski szlak”, „Tajemnice stepu”, „Oddech tajgi”, „W kraju szamanów”, „Syberyjskie Ateny” i „Polscy Rockefellerzy”. Konsultantem naukowym tych filmów był prof. dr

hab. Antoni Kuczyński, kierownik Ośrodka Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz mgr Tadeusz Markiewicz z Zarządu Krajowego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Oto treść wspomnianego listu. (red.).

\*

*Kraków, 22 czerwca 2007 roku*

*Dr Janusz Kamocki  
ul. Zabłocie 41  
30-7001 K r a k ó w*

*Szanowny Panie Ministrze*

*Trudno nie docenić wartości edukacyjnej takich filmów jak „Bronisław Piłsudski” czy cyklu „Sybiracy”, nadawanych przez Telewizję Polską. Ukazują one ogromny dorobek kulturalny Polaków na Syberii, na której imionami polskich uczonych nazywane są góry i uniwersytety. Dość powszechnie znana jest Syberia jako miejsce polskiej katorgi, mniej jako ziemia ogromnych osiągnięć polskiej nauki, osiągnięć ludzi, którzy przybywali na Syberię jako zesańcy, a opuszczali ją nieraz jako światowej sławy uczeni.*

*Filmy te nie tylko pobudzają dumę narodową, lecz uczą szacunku dla innych narodów, wśród których Polacy pracowali i za swa prace byli otaczani czcią i miłością powinny być oglądane przez młodzież szkolną – niestety jednak są nadawane w godzinach nocnych, czyli z punktu widzenia edukacyjnego są bezwartościowe.*

*Doświadczenie uczy, że Zarząd TVP na indywidualne prośby i protesty nie odpowiada, toteż uprzejmie proszę Pana Ministra, aby autorytetem swego urzędu wpłynął na Telewizję (przecież podobno mającą obowiązki misyjne), by wyświetlała te i podobne filmy w godzinach popołudniowych – wtedy kiedy może je oglądać młodzież szkolna.*

*Pozwalam sobie przesłać kopię tego listu do redakcji „Zesłańca”*

*Z wyrazami szacunku dr Janusz Kamocki*



